

wołowskie obrazki



**ze stanu wojny
polsko-jaruzelskiej
1981-1989**

**wołowskie obrazki
ze stanu wojny polsko-jaruzelskiej
1981-1989**

**wołowskie obrazki
ze stanu wojny
polsko-jaruzelskiej
1981-1989**



Wrocław 2017

Korekta
Agnieszka Thoman

Autor ilustracji wykorzystanej na okładce
Janusz Halicki

Projekt okładki
Stanisław Ryczek

Copyright © by Stanisław Ryczek, 2017

Copyright © by Andrzej Manasterski, 2017

All rights reserved.

ISBN 978-83-64195-???

WYDAWNICTWO „LENA”
ul. Pasteura 15a-20
50-367 Wrocław

www.wydawnictwo-lena.pl

Druk
„Kontra”
www.kontra-druk.pl/polska.html

Dystrybucja:
tel. 0603 96 46 39 e-mail: info@wydawnictwo-lena.pl

Spis treści

Przedmowa.....	7
Wstęp	9
Wołowskie obrazki ze stanu wojny.....	11
Kolce na ulicach Wołowa	55
Warto było podjąć trud walki.....	61
Historia jednego zdjęcia.....	63
O co walczyliśmy	67
Jaka okupacja, taka konspiracja	76
Wspomnienie o rewizji u Niedzielskich.....	84
Spotkanie z Kornelem.....	85
Opowiadania zza krat i nie tylko.....	86
Sylwetki działaczy	170
Lista osób prowadzących nielegalną działalność w Wołowie i okolicach w okresie 1981-1989.....	190
Zakończenie	194
Miejsce dla zapomnianych działaczy	195

Przedmowa

Mija trzecia dekada, odkąd żyjemy w Polsce wolnej od komunizmu i obcej władzy. Demokracja czasem rodzi gorzkie owoce, nie zawsze akceptujemy kształty, jakie przybiera. Gdy jednak czasem słyszymy głosy nostalgiczno-sentymentalne, odwołujące się do rzekomego ładu i sprawiedliwości czasów PRL, to traktować je musimy jako próbę oszustwa, restytucji tamtego kłamstwa, które bez reszty zawładnęło Polską na powojenne półwiecze. Dobrze przecież pamiętamy brutalność i głupotę, egoizm i cynizm rządzących. To, że wielu z nas przeżyło w tamtych czasach swoją młodość, bynajmniej nie tworzy jakiegoś alibi dla reżimu komunistycznego ani jego odwróconej hierarchii wartości. Żyliśmy w takich czasach, bo nie mieliśmy wyboru.

Chcieliśmy żyć w wolności i dobrobycie, nie zaś być trybikami w sowieckiej maszynie sprawowania władzy nad światem. Gdy w 1980 roku udało nam się stworzyć Nadzieję, przeraziło to rządzących i ich mocodawców. Wypowiedzieli nam wojnę.

Wiemy wiele o oporze w dużych ośrodkach miejskich, o masowych strajkach i protestach, spektakularnych walkach ulicznych, na ogół jednak nie znamy przebiegu stanu wojennego w małych miastach i na wsi. Perspektywa, z której oglądamy tę wojnę w niniejszej książce, jest wyjątkowa. Pokazano tu mieszkańców małego miasta, którzy wzięli udział w rozgrywającej się walce o Polskę. Ryzykowali w sumie znacznie więcej niż działacze z wielkich miast. Tu przecież każdy zna każdego i wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. To w dużym stopniu ograniczało zakres ich możliwości. Podjęli jednak działalność, bo byli wierni Solidarności. Nie chcieli pozostać obojętni, gdy próbowano wdeptać w błoto obudzoną przez nią Nadzieję.

Do triumfu zła wystarczy bezczynność dobrych ludzi – zauważył osiemnastowieczny myśliciel Edmund Burke. Wołów może być dumny z tego, że w tamtych trudnych czasach byli tu *dobrzy ludzie*, którzy nie chcieli być obojętni wobec zła. Swą wierność wartościom przypieczętowali gotowością na represje czy więzienie. Inaczej mówiąc, własną wolność inwestowali w przyszłą wolność nas wszystkich. To wielki dar. Paradoksem jest to, że korzystają dziś z niego również ci, którzy ich wtedy tropili, prześladowali, zamykali.

Osobiście jestem pełen uznania i chylę czoło wobec wołowskich bojowników Solidarności, a w ich osobach również tych wszystkich osób, które w prowincjonalnych miejscowościach nie zapomniały, że są częścią tej wielkiej wspólnoty – Polski.

Romuald Lazarowicz

Wstęp

Stanisław Lem stwierdził kiedyś, że „historia to rodzaj walca drogowego, nie interesują jej losy mrówek”. Faktycznie, zjawisko „walca drogowego” występuje, zwłaszcza kiedy się patrzy na Historię, tę przez duże H. Szczególnie, gdy studiujemy podręczniki. Inaczej jest, gdy bierzemy się za te zjawiska, które nam są bliskie, czy to przez miejsce wydarzeń, czy z powodu osób, które w nich uczestniczyły. To historia lokalna, nazywana także historią przez małe „h”, bo jej wydarzenia nie szły w tonie fanfar. To jednak one, te lokalne wydarzenia, zsumowane i wrzucone do jednego kosza pamięci ludzkich, sprawiły, że mogła powstać Historia, znana z podręczników i encyklopedycznych haseł. O takiej zaś Ciceron wyrażał się, że „jest świadkiem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci, nauczycielką życia”.

Przed paroma laty Joanna Frankiewicz, wdowa po Maćku Frankiewicz, działaczu Solidarności Walczącej z Poznania, udzielała wywiadu jednej z miejscowych gazet. Dziennikarka, osoba młoda, dla której lata 80. XX wieku to mniej więcej to samo co czasy przysłowiowego króla Ćwieczka, stwierdziła, że „Solidarność Walcząca to taka organizacja kierowana przez Lecha Wałęsę” (!). Dopiero krótki wykład, który wygłosiła młodej dziennikarce Joanna Frankiewicz, wyprostował nieco jej wiedzę historyczną.

Ta sytuacja skłoniła mnie do refleksji, że skoro dziennikarka, która musiała jakoś do rozmowy się przygotować, nie zauważyła różnicy między SW a podziemnymi strukturami „Solidarności” w latach 80., czego oczekiwać od reszty społeczeństwa, dla którego to nie jest temat „codziennego chleba”? Szczególnie gdy od dobrego ćwierćwiecza media oraz różnej maści politycy i celebryci nawołują, by „skończyć z przeszłością, pozostawić ją historykom, a patrzeć w przyszłość”. Dodajmy – „w przyszłość” lansowaną przez tzw. autorytety moralne, ćwiczone myślami Sartre’a i jemu podobnych, dla których „odrzuć zasady to także zasada”, a „przeszłość organizuje się wciąż na nowo”. To niebezpieczne zjawisko odrzucania prawdy jako jedynej wykładni przeszłości.

Przystępując do pracy nad badaniem dziejów podziemia w powiecie wołowskim, postawiłem sobie, jako naczelną zasadę, przesłanie Józefa Mackiewicza, że „tylko prawda jest ciekawa”. Tej prawdy o wydarzeniach sprzed ponad trzydziestu lat szukam wśród ludzi, którzy wówczas zdecydowali się stanąć po stronie dobra w walce ze złem. Wobec tych osób odczuwam wielki szacunek. W tamtym czasie ryzykowali znacznie więcej niż głośni przywódcy „Solidarności”, za którymi stały media na całym świecie i wobec których władza

komunistyczna obchodziła się często „w rękawiczkach”. To lokalni działacze podziemia byli narażeni na represje, bo nie mieli głośnych nazwisk, znanych na Zachodzie. Na takich działaczy można było łatwiej wywrzeć nacisk, zwolnić z pracy, ukarać więzieniem, zastraszyć rodzinę.

Do takich osób Zbigniew Herbert kierował „Przesłanie Pana Cogito”:

(...)

*idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch*

*ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać
świadećtwo*

*bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny
w ostatecznym rachunku tylko to się liczy
(...)*

W takich małych miejscowościach brakowało anonimowości, działacze byli „jak na widelcu” – rozpoznawalni, łatwiej było ich obserwować i szkłować w miejscu zamieszkania czy w pracy. Także aparat bezpieczeństwa w małych miejscowościach czuł się bardziej bezkarny. Chociaż zdarzało się, że prywatne znajomości z funkcjonariuszami SB czy milicji, pomagały. To były jednak wyjątkowe sytuacje.

Wspomnienia „ludzi wołowskiego podziemia” mają charakter osobisty. To chyba ostatni moment, by zachować je dla przyszłych pokoleń. Bo inaczej, to „Wałęsa obalił komunę wraz z Frasyńkiem i Michnikiem”, jak usłyszałem parę lat temu od znajomego Niemca. Dodałem do jego złotej myśli: „między 7 a 10, z przerwą na śniadanie”.

Mam nadzieję, że niniejsze opracowanie będzie początkiem większego opracowania dziejów „Solidarności” w powiecie wołowskim w latach 80. I że stanie się nie tylko lekturą dla ludzi, którzy pamiętają tamte czasy, ale też dla uczniów i studentów.

Andrzej Manasterski



Wołowskie obrazki ze stanu wojny

W tamtych czasach zdarzały się dziwne, groźne, zaskakujące, a czasem śmieszne sytuacje, myślę, że warto je zapisać, zanim pamięć zatrze czas. Przedstawione tu historie to autentyczne sytuacje, które wydarzyły się ludziom związanym z wołowską konspiracją. Relacje dotyczą zarówno stanu wojennego, jak również okresu bezpośrednio po nim, gdy ciągle jeszcze obowiązywały nieco złagodzone jego rygory.

*

13 grudnia 1981 rano telefony wołowskie jeszcze działają, zostaną wyłączone dopiero około jedenastej. Ludzie z wołowskiej Solidarności informują się o wojnie, dopiero co ogłoszonej przez radio i telewizję. Umawiają się na spotkanie w szpitalu, na oddziale chirurgii, u dr. Janusza Warszawskiego. Spotkanie jest konspiracyjne, a więc nielegalne. Nie wszystkie zakłady są reprezentowane, wiadomo – telefonów jest bardzo mało, ale MKK jest prawie w komplecie. Są ludzie z Lubięża, a nawet z niektórych wiosek. Tak jak w całej Polsce, panuje atmosfera niepewności i tak jak wszędzie pytanie: co robić? Ustalają



Linoryt, autor nieznany

sposoby komunikacji, padają pierwsze propozycje działalności. Zawiazują się pierwociny wołowskiego podziemia. Gdy nagle na podwórzu szpitalne wjeżdża milicyjna nyska, wszyscy rozbiegają się po salach, chowając się w różnych zakamarkach. Po chwili milicja odjeżdża. Działacze wychodzą z ukrycia, by dokończyć zebranie. Nie wiedzą jeszcze, że już nazajutrz wielu z nich będzie zmuszonych do podpisania oświadczeń o lojalności, tzw. lojalek, a **dr Janusz Warszawski** i **Stanisław Kielar**, przewodniczący z PBR-olu, w niedalekiej przyszłości znajdą się w obozach internowania.

Milicyjny rozkaz

14 grudnia 1981 wołowskich działaczy Solidarności zwieziono na komendę MO. Przyjął ich komendant placówki **kapitan Rymer**. Siedzieli rzędem i słuchali jego przemowy. Byli przestraszeni, bo przecież nie wiedzieli, jaką niespodziankę wymyśliła dla nich „władza ludowa”, jednak stopniowo coraz bardziej zdziwienie brało górę nad strachem.

Krzycząc na nich jak na niesforne dzieci albo jak na niezbyt rozgarniętych podkomendnych, kapitan zarzucał im, że zniszczyli miasto. Faktycznie po listopadowej ogólnopolskiej akcji malowania haseł w sprawie dostępu związku Solidarność do radia i telewizji, wiele ich pojawiło się na wołowskich murach, ale o żadnych zniszczeniach nie mogło być mowy. Na tle szarzyny ówczesnego Wołowa kolorowe napisy mogły uchodzić za upiększenie go.

Jednak komendantowi Rymerowi taka działalność kojarzyła się raczej z sabotażem. Milicjantów najbardziej drażnił napis na murze przychodni zdrowia, pewnie dlatego, że znajdował się naprzeciw komendy i mogli podziwiać go z okien swoich biur. Napis ten miał swoją historię. Powstał przez kilka dni, a udział w tym miało kilka osób, również jeden milicjant. Zaczęło się od tego, że dr **Kazimiera Huczek**, dentystka, wykorzystując fakt trwania w przychodni robót malarskich, wyprosiła trochę farby i na całą szerokość budynku trzasnęła napis: „Żądamy dostępu do radia i telewizji”. Obserwujący tę akcję milicjant, chcąc ją zawstydzić (bo przecież jak to wygląda, żeby lekarka pisała po murach), dopisał: „napisała doktor Huczek”. Jednak następnego dnia domalowano: „i doktor Warszawski”, co zmieniło zamysł funkcjonariusza, bo zamiast wstydu spowodował, że czyn w pewnym sensie chuligański, stał się powodem do dumy. Gdy następnego dnia dopisał się jeszcze jeden lekarz, mieszkańcy stwierdzili, że na murze trwa jakiś spektakl czy może walka, a najpewniej obrazuje to solidarność innych lekarzy z dentystką.

Wskazując okno, komendant zażądał, aby w ciągu 24 godzin zamalować hasła, które, jego zdaniem, oszpecały miasto. Po opuszczeniu komendy działacze zdecydowali, że choćby mieli ich zamknąć, nie zamalują napisów, a jako alibi wymyślili, że byłoby to złamanie dekretu o stanie wojennym. Można by to było interpretować jako kontynuację działalności związkowej, a oni jako praworządni obywatele nie mogą łamać prawa. Tym samym zastosowali dekret WRON-y w swojej obronie. Jednak po kilku dniach tylko plamy świadczyły, że ktoś tam kiedyś o coś walczył i krzyczał na murach. Zastępując leniwych działaczy, którzy sprzeciwili się rozkazowi komendanta, nocami ciężko pracowała pędzlami ekipa krasnoludków. Krasnale były ubrane w mundury moro, z napisami ORMO na lewym rękawie.

Wanna

Działo się to we Wrocławiu na przełomie lat 1982/83. **Wiesiek Leśnianski**, wtedy już mieszkaniec Wołowa, remontował łazienkę i udało mu się kupić wannę. Wiadomo, że wtedy nie było łatwo o takie „luksusy”, więc ludzie radzili sobie na różne sposoby i zdarzało się, że armaturę kupowali na lewo od budowlańców. Jednak Wiesiek kupił w sklepie, zupełnie legalnie (trafił akurat na towar i udało mu się). Kiedy wioził wannę wózkiem, został zatrzymany przez milicjanta i poproszony o przedstawienie dowodu zakupu. Ponieważ rachunek miał schowany w chlebaku wypakowanym podziemnymi gazetkami „Z Dnia na Dzień”, nie mógł go okazać, obawiając się wpadki. Skłamał więc, że rachunek musiał mu wypaść gdzieś po drodze.

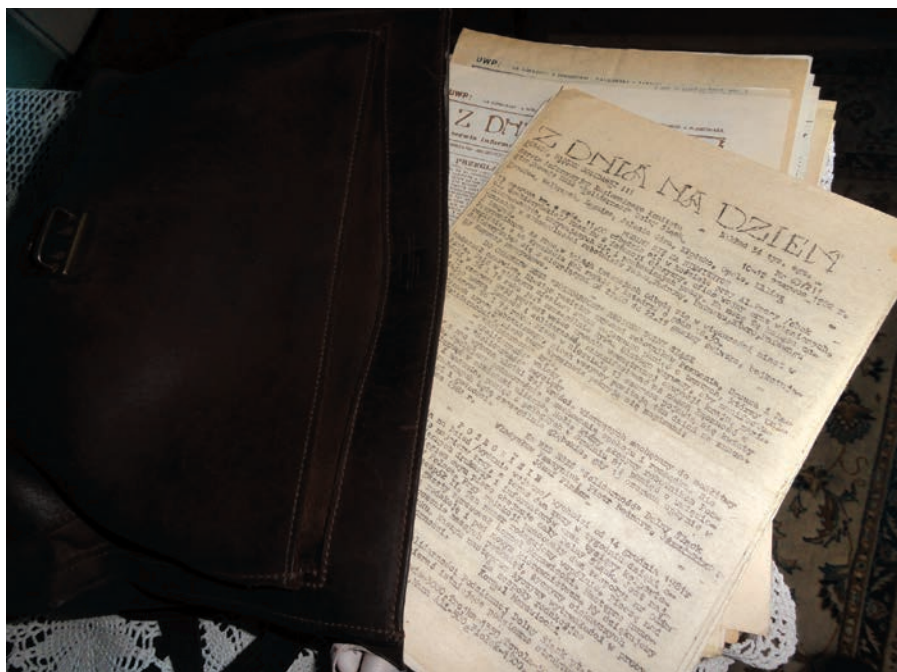
Skład Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego

Przewodniczący — gen. armii Wojciech Jaruzelski

Członkowie: gen. broni Florian Siwicki
gen. broni Tadeusz Tuczapski
gen. broni Eugeniusz Molczyk
admirał Ludwik Janczyszyn
gen. dyw. Czesław Kiszczał
gen. dyw. Tadeusz Hupałowski
gen. dyw. Czesław Piórowski
gen. dyw. Józef Baryła
gen. dyw. Włodzimierz Oliwa
gen. dyw. Henryk Rapacewicz
gen. dyw. Józef Użycki
gen. dyw. Tadeusz Krepski
gen. dyw. Longin Łozowski
gen. bryg. Michał Janiszewski
gen. bryg. Jerzy Jarosz
plk Tadeusz Makarewicz
plk Kazimierz Garbacik
plk rez. Roman Leś
ppłk Jerzy Włosiński
ppłk Mirosław Hermańszewski

Skład osobowy WRON-y — Monitor Dolnośląski 14. 12. 1981

Milicjant odprowadził go na posterunek — twierdził, że wanna została ukradziona z jakiejś budowy. Na komendzie zamknięto go w celi do wyjaśnienia, jednak bez wcześniejszej rewizji, chlebak więc miał ze sobą. Siedział kilka kwadransów, nie wiedząc, co robić. Znalazł w torbie nieszczęsny rachunek, ale nie wiedział, jaka będzie reakcja milicjantów, gdy go pokaże, czy nie zrobią mu rewizji. Ulotek nie mógł się pozbyć, bo w pomieszczeniu nie było ubikacji. Wszystko jednak skończyło się szczęśliwie: po okazaniu rachunku zwolniono go i oddano mu wannę. Milicjanci nie przypuszczali, że traktując go jak drobnego złodziejaszka, wypuścili z rąk jednego z solidarnościowych kolporterów, na których tak polowali. Ta zabawna sytuacja dla Wieśka mogła skończyć się wyrokiem więzienia. Wcale nie krótkim w tamtym czasie.



Strach

W szkole w Starym Wołowie mieszkali **Marta i Janek Krasowscy**. Ich mieszkanie było na parterze, natomiast klasy i biblioteka szkolna mieściły się na piętrze. W bibliotece często urządzano sobie wieczorki gry w szachy albo w brydża. Wiadomo było, że gdy świeciło się na piętrze, to Janek urządza jakieś rozgrywki. Ale tylko naprawdę wtajemniczeni wiedzieli, że ukryta tam była również tajna drukarnia. Oczywiście nie była to jakaś maszyna, tylko zwykła, prymitywna ramka obciążona płótnem, z drewnianą podstawą. Po wcześniejszym przygotowaniu matrycy i przymocowaniu jej do ramki podkładało się papier. Farbę drukarską rozprowadzano wałkiem i w ten sposób odbijano tekst na papierze. Jednym słowem był to druk wczesnowojenny, bo w późniejszych latach został znacznie ulepszony. W tym czasie, a był to rok 1982, większość ulotek powstawała właśnie na takich powielaczach.

Późnym wieczorem **Fred Kaduszkiewicz** z Jankiem zajmowali się drukowaniem kolejnego numeru „Podaj Dalej”, podziemnej gazetki zawierającej wiadomości z Wołowa, Brzegu Dolnego i Milicza. Nagle struchleli, bo na dole ktoś zaczął walić w drzwi i rozległo się wołanie „Otwierać! Milicza!”.

BIULETIN INFORMACYJNY

Region : Wuzów

Ms 1108

Brzeg Dolny

Nakład 2000 egzemplarzy

Wojciech Wójcik: Właściwie, że zawiódła tak zwana oddolna inicjatywa i tylko będzie mówili, że walczyli, może podchwalić się w telewizji utworzenia nowego państwa, walczyli, padł także skierowany do sekretarzy i dyktatorów telewizji, że nie ma tu komedii: z różnej masli kalabragów, miazgów i z wosku, zacięli SB zaczęto na kolanie tworzyć z wosku inicjatywę, która ma być z trybunu ludzi nowy statut i zgłaszać gdzie trzeba. Ludzie, którzy wczoraj jest kompletny brak zainteresowania, tu mówią, że to mi zwiastnik, warto jest umyślowić sobie z kim i o co toczy się gra, nie ma tu wykluczyć, że dla "zachęty" do wstępowania w szeregi nowych zwolenników, może zostać uruchomiony szereg ekonomicznych /finansowych, preśkaskich, woskowy, a nawet awans i przeszerzwanie. Czy ten tryb. może zacząć funkcjonować, dlatego że władca w zaborowym mandatu zaufała społeczeństwu, należy na utrzymaniu porządku, który nie ogromna kampania zgryzanieli Polaków, podłożona z udziałem okupacji, niechże światła na temat destrukcji socjalistycznej. To nie jest uważane ciawny są mocno w tarte, więc ludzi da się na to nakręcić. I jak można mówić o sukcesie, lipne pozory i półprawdy sączonej funkcjonalizacji, jako społeczne poparcie, wzrost produkcji, samorządność, czy wreszcie socjalizm.

REDALCJA

xxxxxx Rozważając sprawę samorządu pracowniczego należy zacząć od stwierdzenia iż kompletna niezależność dyrektora od decyzji rad, są podwójnie samo uzależnienie funkcjonowania rady pracownczej. Jest zatem, jak i wszelkie inne działania robotników do uzyskania wpływu na decyzje o losie ich zakładu pracy są w rzeczywistości nieporozumieniem. Warto się wobec tego zastanowić dlaczego rządzący mają taki zalew na umiarkowanie samorządu. Sprawa wydaje się wrota od początku wiążą się w sposób robotniczy, że oni mają decydować o losach przedsiębiorstwa. Kwestionując tych decyzji. Ponieważ jednak sfera decyzji przetrwała nadal decyzje odległa decydują bowiem w dalszym ciągu o konsumowaniu centralizacji biurokratycznej, samorządność pozostaje jako konsumowanie skutków tych decyzji. Będzie to więc konieczność dla państwa, które odpowieć innym, innymi słowami stanąmy wobec zjawiska demokracji odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie ma demokracji. Będzie to więc konieczność dla państwa, które odpowieć innym, innymi słowami stanąmy wobec zjawiska demokracji odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie ma demokracji. Będzie to więc konieczność dla państwa, które odpowieć innym, innymi słowami stanąmy wobec zjawiska demokracji odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie ma demokracji.

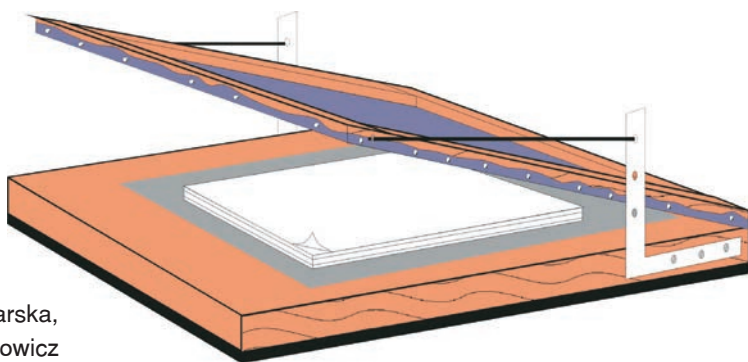
TKCZ

znanym Wójcikiem tokarskim, pracownik Rokitny od 1972 roku.
 Delegat NF na wiec zakładowy 13.09.1982r./HSZ/ Solidarności
 we Wrocławiu. Członek Komisji Wniosków z ramienia związku a następnie
 członek Komitetu Zakładowego HSZ. Solidarności we Rokitnie.
 Ogromna przewaga głosów przy wyborze do Komisji Zakładowej, która wybrała
 regionalnego przedstawiciela w wyborach do Komisji Zakładowej HSZ
 Solidarności w Brześci Dolnym, organizator wyborów
 Cichy na nieprawidłowości i krzywdy, odwołanie się do sądu
 Interwencyj 5 listopada 1982r. przed sądem, zgłoszenie sprawy
 Cichy i małżonkowi, na poczekaniu.

Podaj Dalej nr 7 z 1983 r.

Pismo ukazywało się w Brzegu Dolnym, Miliczu i Wołowie w latach 1982-83. Wyszło 10-15 numerów.

Obaj konspiratorzy zamarli – utyłłani po łokcie w farbie, wokoło schnące ulotki – całe dziesiątki, jeśli nie setki, szyba, ramka i wałek, wszystko w farbie. W dodatku żadnego zapasowego wyjścia. Jednym słowem wpadka. Obaj pamiętali wiadomość niedawno podaną przez Radio Wolna Europa, że w lutym 82 r. Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni skazał Ewę Kubasiewicz na 10 lat więzienia za rozpowszechnianie ulotek. To ile będziemy siedzieć za drukowanie? –zaświtało im w głowach. Fred nawet nie usiłował chować przedmiotów „przestępstwa”, bo wiadomo było, że i tak wszystko znajda przy rewizji, zresztą nie



Ramka drukarska,
rys. R. Lazarowicz

zdążyliby się umyć. Janek poszedł otworzyć drzwi, a Ferdynand, zapaliwszy papierosa, usiadł, z rezygnacją czekając na aresztowanie.

Usłyszał szcęk klucza otwieranych na dole drzwi, a następnie okrzyk Janka: – Ty, skur...synu – i odgłos uderzeń.

Okazało się, że to podpity znajomy nauczyciel od WF-u zrobił im kawał. Otrzymał za to podziękowanie od Janka – laską po plecach. Oczywiście, że po takiej porcji strachu i adrenaliny musiało nastąpić odreagowanie.

Sklepik

Historia ta przydarzyła się **Kazikowi Żakowi**, pracownikowi sklepiku parafialnego, a właściwie, jak się obecnie mówi, wolontariuszowi, bo przecież była to praca bezpłatna. Sklepik należał do Dekanalnego Komitetu Charytatywnego w Wołowie. Kazik otrzymał to zajęcie po Piotrze Berezie i Stanisławie Ryczku, którzy wcześniej tam pracowali. Finał tej historii nastąpił na sali sądowej, a właściwie kolegiальной, na rozprawie o kradzież roweru, o co oskarżony został Kaziu. Po odczytaniu aktu oskarżenia i złożeniu wyjaśnień przez Kazika, protokolant Henryk Maniul nieoczekiwanie złożył oświadczenie, że on Kazimierz Żaka zna od dziecka i nie wierzy, że ten dokonał kradzieży roweru, i dlatego składa protest. Przewodniczący kolegium poprosił, żeby protokolant się uspokoił, a następnie odroczył posiedzenie kolegium. Sprawa nie została już wznowiona i w ten sposób Kazik uniknął odpowiedzialności za czyn, którego nie popełnił.

Cała historia zaczęła się nieco wcześniej.

Pewnej niedzieli spod kościoła pw. św. Karola Boromeusza Kazikowi skradziono porządny rower, a w zamian pozostawiono jakiegoś starego grata. Kazik zgłosił to księdzu dziekanowi E. Kuźmnikowi i powiedział, że gdyby ktoś zauważył swoją pomyłkę, to rower będzie u niego do odebrania. Nie przypuszczając, że jest to prowokacja, poszedł z rowerem do domu. Po około stu metrach

został zatrzymany przez znanego w mieście ormowca, który oskarżył go o kradzież. Milicja pojawiła się błyskawicznie. Jasne było, że wszystko wcześniej przygotowano. Prowokacja została zorganizowana prawdopodobnie przez wołoską bezpiekę, która od kilku lat miała na celowniku Dekanalny Komitet Charytatywny. Mimo nękania przesłuchaniami księży (**ks. dziekan Bosak, ks. Jerzy Kubik**), a rewizjami i aresztami na 48 godzin jego członków (**Wiesiek Fiszer, Janek Krasowski, Piotrek Bereza, Staszek Ryczek** i inni) nie udawało się spacyfikować komitetu. Posunięto się zatem do tej prowokacji. Na skutek tego incydentu Kazik zakończył swą trzyletnią działalność w DKCH. Inna sprawa, że był to już rok 1986 i więźniów politycznych i ich rodzin, dla których m.in. komitet był powołany, było już niewielu, a w naszym powiecie już żadnego.

Po DKCH pozostał ten sklepik, działa on do dziś, już 32 lata (1983-2015), przyczyniając się w jakimś sensie do utrwalania wiary na naszym terenie.

Sklepik był obiektem ciągłej inwigilacji. Właściwie nie było niedzieli, żeby jakiś ormowiec, milicjant w cywilu czy inna gnida nie „zapuszczali żurawia” za jego ladę dla wytropienia czegoś nielegalnego. Jednak byliśmy świadomi niebezpieczeństwa i nigdy takie rzeczy się tam nie pojawiły, zresztą byłoby to nielojalne wobec księdza dziekana, który użyczył nam lokalu. Ignorancja funkcjonariuszy tamtego aparatu owocowała niemal kabaretowymi sytuacjami. Jedną z nich przytoczę.

Milicjant w cywilu z kilkuletnią córeczką zakupił za kilka złotych „Tajemnice Różańca Świętego”, by po półgodzinie oddać je z tłumaczeniem, że nie o takie tajemnice mu chodziło. Oczywiście śmiechu było co niemiara z tego tłumaczenia i jego wyobrażenia, jakie to ważne tajemnice oferują ludziom niedawno wypuszczeni z więzienia „ekstremiści wołoskiej Solidarności”.

Wróżba

Wieżenie to miejsce, w którym wszelkie przepowiednie i wróżby są mile widziane, szczególnie te pozytywne. Zabawna scenka wydarzyła się na oddziale 2c Aresztu Śledczego przy ul. Świebodzkiej we Wrocławiu, gdzie siedziała „Solidarność”. Tam też dotarł **Piotr Bereza**, przeniesiony z oddziału 4a, tzw. ubeckiego. Nawet się nie rozpakowywał, bo wiedział, że w tej celi na pewno nie zostanie. Powód był taki, że siedziało tam już dwóch z jednej sprawy: **Edek Ziętek** i **Staszek Ryczek**, więc było pewne, że Piotr, który był współoskarżonym wraz z nimi, znalazł się tu przez pomyłkę i zostanie ona szybko skorygowana. Oczywiście tak się stało i jeszcze tego samego dnia przeniesiono go do celi obok. Jednak zanim to nastąpiło, mieli kilka godzin na rozmowę. Piotr miał on w swoich rzeczach cebulę posadzoną w puszcze po konserwie. W pewnym

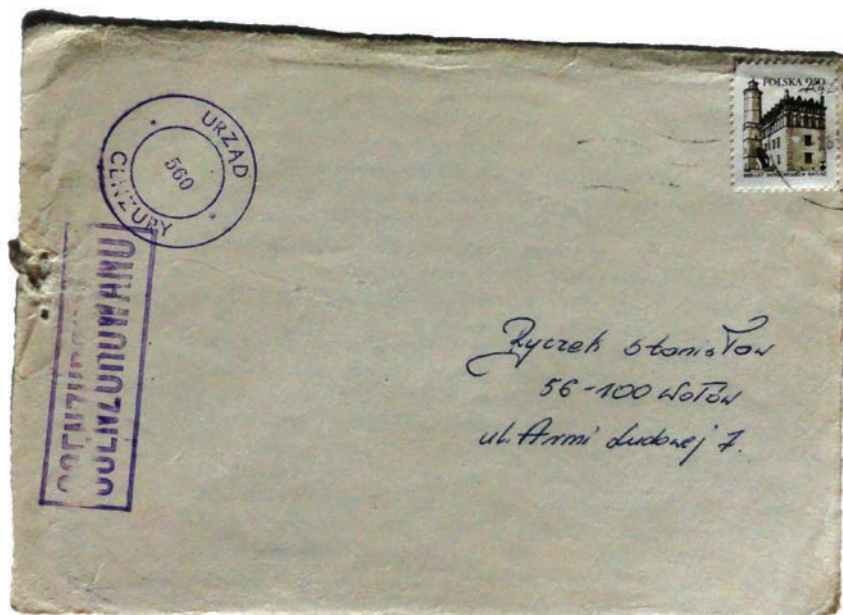


Widok z bocznych drzwi kościoła pw. Karola Boromeusza

momencie rozmowa zesłała na temat wyroku, jaki ich czeka. Piotrek wskazał na swoją roślinkę i stwierdził, że według wróżby cebulowej czeka go wyrok trzy-letni, plus jeszcze kilka miesięcy, bo obok trzech szczypiorków wyrósł cieniutki chwaścik. W skupieniu oglądali wróżebną roślinę, gdy Ziętek z przekonaniem stwierdził, że według niego to chwaścik wygląda raczej na grzywnę. Chociaż szybko zapomnieli o tej żartobliwej rozmowie, okazało się, że wróżby cebuli poniekąd się sprawdziły, tylko zostały źle odczytane. Trzy szczypiory oznaczały 30 tysięcy zł grzywny, a chwaścik symbolizował rok i sześć miesięcy więzienia, a był taki cieniutki, bo wyrok był jednak w zawieszeniu. Trochę to zagmatwane i prawdę mówiąc naciągane, ale z wróżbami już tak jest.

Płonące ulotki

Inna historia, która niekoniecznie mogła się skończyć happy endem, wydarzyła się w mieszkaniu **Kazika Żaka** przy ul. Komuny Paryskiej, gdzie ze Staszkiem Ryczkim drukowali kartki świąteczne z zakazanym logo Solidarności. Do rozcieńczenia farby drukarskiej zastosowali olej jadalny. Okazało się to jednak złym pomysłem, bo druk się rozlewał i na dodatek farba ani myślała wysychać. Trzeba więc było druk odłożyć do czasu zorganizowania terpentyny. Ale jak tu pozbyć się nieudanego nakładu? Oczywiście, najlepszym sposobem byłoby spalenie, jednak z jakiegoś powodu pod kuchenką paliło się to bardzo słabo i opornie. Ale po odkręceniu szybra do komina i napchaniu tam papierów cug chwycił, ogień huczał, a za oknem aż pojaśniało. Jasność ta zaniepokoiła ich. Okazało się, że silny cug spowodował wyrzucenie na zewnątrz płonących kartek, przy tym nie spalały się one do końca, ale raczej gasły od silnego przeciągu. Podwórko było zaścienione kompromitującymi owocami ich działalności. Na szczęście udało się wszystko sprzątnąć i nie zostali zdekonspirowani. No i, co ważne, nie zaproszyli ognia.



Ocenzurowany list

Podejrzliwość

Podobną przygodę przeżył **Wiesiek Leśniański**. Przez pewien czas był kolporterem, woził bibułę z Wrocławia do Wołowa. Pewnego razu, gdy pociąg dojeżdżał już do Wołowa, Wiesiek zauważył, że jest obserwowany przez jakiegoś faceta. Chcąc to sprawdzić, zaczął przepychać się na koniec pociągu. Gość ruszył za nim. Po przejściu do końca składu Wiesiek był pewien, że jest śledzony. Facet nie odpuszczał. Niemal pewne było, że po wyjściu na peron zostanie zatrzymany i poddany rewizji. Musiał pozbyć się torby z ulotkami. Nie namyślając się wiele, bo pociąg zaczął już hamować, wyrzucił torbę przez okno ubikacji. Zauważył, że torba się otworzyła i ulotki się wysypały. Miał nadzieję wrócić po nie, gdy niebezpieczeństwo minie, ale obawiał się, że zbyt wiele osób widziało chmurę ulotek lecącą za pociągiem. Jednak wieczorem postanowił zaryzykować. Udając spacerowicza, szedł wzdłuż torów w okolice tartaku. Jakież było jego zdziwienie, kiedy zobaczył, że rozsypane ulotki nadal leżą. Oczywiście zebrał je i już nazajutrz zasiliły podziemny krwiobieg wolnego słowa w Wołowie i okolicach. Wiesiek do dziś nie wie, czy facet w pociągu rzeczywiście go śledził, czy był to przypadek.

Żart

Był bodaj rok 1986. Do mieszkania Teresy i Wieska Leśniańskich przy ul. Matejki w Wołowie na umówione spotkanie przyszedł Kazik Żak. Wiesiek powitał go znad lektury. W tym momencie lichy podkusiło Kazika, żeby wykręcić mu jakiś numer.

Z grobową miną oznajmił, że Janek Krasowski siedzi i że jeżeli coś trefnego jest w mieszkaniu, trzeba to schować jak najprędzej. Reakcja była natychmiastowa i można powiedzieć piorunująca. Zerwawszy się z fotela, Wiesiek chwycił książkę, którą właśnie czytał, wyszarpnął z szuflady solidny plik jakichś broszur czy ulotek, wsadził to wszystko do foliowej torby i z rozmachem szurnął za wielką szafę. Kazik, który początkowo z rozbawieniem przyglądał się gorączkowym zabiegom kolegi, po tym rzucie za szafę trochę się zafrasował i zreflektował, że chyba lekko przegiął.

Chcąc jakoś wybrnąć z sytuacji, przyznał, że Janek, owszem, siedzi, ale w samochodzie na ulicy i czeka na nich, żeby razem podjechać do Starego Wołowa. W tym momencie wściekłość ogarnęła Wieska i z dobrze ułożonego faceta zmieniła go w bestię żądną krwi. Wyzwał Kazika od najgorszych, na debilach i osłach nie kończąc. Przez niego na wiele lat pozbył się najważniejszych rzeczy, jakie posiadał, bo olbrzymią szafę przesuwają się tylko przy okazji jakichś dużych remontów.

Jest to przykład, jak dowcip, rzeczywiście może nie najmądrzejszy, w warunkach konspiracji może zaszkodzić, a nawet na jakiś czas poróżnić przyjaciół.

Dlaczego reakcja Wieśka była taka nerwowa? Zrozumie to ten, kto miał chociaż jedną rewizję. Dla esbeków nie było żadnego tabu ani świętości. Jeżeli istniał choćby cień podejrzenia, że coś może być nielegalne albo służyć do czynu ich zdaniem zabronionego, taką rzecz po prostu rekwirowali i nie zawsze było to odnotowane w protokole przeszukania. Czasem takiego protokołu w ogóle nie sporządzali. Szukaj potem wiatru w polu, bo skargi rozpatrywali też esbecy.

Jeżeli czasem udawało się coś odzyskać, to po dłuższym czasie i z wielkim trudem, zazwyczaj z pomocą adwokata. Oczywiście nie dotyczyło to pism podziemnych, ulotek czy tzw. wydawnictw bezdebitowych, czyli wydanych poza cenzurą. Takich rzeczy nie tylko się nie odzyskiwało, ale można było za to pójść siedzieć, szczególnie w początkowym okresie wojny polsko-jaruzelskiej.

Jaskrawym nadużyciem było zabranie taśmy magnetofonowej z kazaniem ks. Jerzego Popiełuszki i krzyżyka z orzełkiem ściągniętego z szyi przez esbeka Marka Sęka Staszewi Ryczkowi. Po interwencji adwokata te przedmioty zostały po trzech miesiącach zwrócone, ale taśma obcięta była w miejscu, gdzie ksiądz mówi o szykanach wobec niego. Jednak żeby Ryczek nie cieszył się zbyt długo, otrzymał wezwanie na milicję w samego sylwestra na godz. 20 i wtedy dopiero zwrócono mu te rzeczy. Taka drobna złośliwość...



Taśma z kazaniem ks. J. Popiełuszki i krzyżyk to jedno z niewielu przedmiotów, jakie udało się odzyskać z łap SB przed 1989.

Moim kolegą był Krzysztof Gulbinowicz, który pracował kiedyś w Lubiążu, mieszkaliśmy wówczas razem na Nadodrzańskiej. Z zawodu był drukarzem, a pracował w Zarządzie Regionu Solidarności we Wrocławiu. Krzysiek zaopatrzył mnie w ramkę, płótno i przeszkolił, a chińskie matryce i farbę oraz papier miałem przygotowane. Trzymałem to potem w skrytce, razem z ulotkami i gazetkami. Chociaż dwa razy miałem rewizje SB-ków i stali nawet w progu, na samej skrytce, nie byli w stanie nic znaleźć.

Gdy na początku stanu wojennego na zebraniu MKK zaproponowałem, żeby każdy zrobił sobie w domu taką skrytkę, jeden czy dwóch gości wysmiał to „harcerstwo”. Z perspektywy lat myślę sobie, że nieprzypadkowo.

Generalnie drukowałem w nocy, w miejscu odległym, gdzie była kiedyś stara przeprawa promowa. Kilka razy, kiedy żona z dzieckiem pojechała do mamy, drukować pomagał mi Bogdan Adamski. Zbierał też składki na działalność od swojej „piątki”. Mieszkał wtedy na początku tej ulicy, przy kościele, i wszystkich znał. Skontaktował mnie z chłopakiem, którego imienia i nazwiska już nie pamiętam. Nocami wymykałem się z domu ze sprzętem, przez okno i mur, i szedłem do niego poboczami, a po druku nad ranem wracałem. Tylko... chłopak miał skłonność do włamań. Nie wiedziałem o tym, aż go złapali po włamaniu. Poszedł siedzieć chyba na rok. Ale on nie doniósł, był w porządku, nie znosił komunistów, a przecież za zdradę mógł uniknąć odsiadki.

Powrót z pracy

Była fatalna pogoda, gdy **Ryszard Gruś** wracał do Wołowa z głębowickich lasów, gdzie pracował jako drwal. Leśniczy zabierający robotników zapomniał o nim, do domu musiał więc wracać piechotą. Był zmęczony i głodny, czekało go kilkanaście kilometrów marszu, a w dodatku zaczęło robić się ciemno. Był już solidnie przemoczony i zmarznięty, kiedy udało mu się zatrzymać fiata 125p. Kierowca nie był z Wołowa, nie wiedział więc, że Rysiek, zanim został drwalem, pełnił funkcję przewodniczącego Solidarności leśników i w dodatku był szefem Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej w Wołowie. Był więc bardzo zdziwiony, gdy po zatrzymaniu do rutynowej kontroli dokumentów, jego samochód gruntownie przeszukano. I nie było to zajrzenie do bagażnika, jak zazwyczaj w takich przypadkach, ale dokładne przeszukanie, z wyciąganiem foteli i dywaników, a nawet przejrzeniem komory silnika. Przeprosiwszy zdezorientowanego kierowcę, Rysiek wyjaśnił, że te szykany są z jego powodu. Milicjanci, rozpoznawszy go w nietutejszym aucie, byli przekonani, że przewożona jest podziemna prasa. Za przechwycenie transportu nielegalnej bibuły, a przy okazji aresztowanie wysokiej rangi wołowskiego działacza „S” jak Ryszard Gruś awans byłby murowany. Nie pomyśleli o tym, że zdegradowany do prostego robotnika działacz może po prostu wracać z roboty.

Prorok

Edek Ziętek dopiero po kilku latach od wyjścia z więzienia opowiedział o bardzo dziwnym przesłuchaniu w komendzie wojewódzkiej MO.

Rozmowa odbyła się jeszcze w drodze do pokoju przesłuchań. Prokurator zagadnął Edka, dlaczego jest taki smutny. Ten odparł, że w zasadzie nie ma się z czego cieszyć, bo żona z ośmiorgiem dzieci została bez środków do życia, a on nie wiadomo kiedy wyjdzie z więzienia. Chcąc go pocieszyć, prokurator przedstawił mu przyszłość w optymistycznych barwach.

– Nie będzie tak źle – mówił wiceprokurator Wojciech Kubiński. – Niedługo nastąpi porozumienie. Rząd będzie rozmawiał z Solidarnością, jeszcze będzie tak, że Wałęsa będzie rządził, a wszyscy internowani wyjdą z więzienia.

Odmalował wizję ogólnego porozumienia i wybaczenia win, amnestii. Nie było więc co się smucić, bo czekała nas świetlana przyszłość. Po tym pozytywnym wstępie nastąpiło przesłuchanie, którego skutkiem było postawienie zarzutu „pomocnictwa w dokonaniu sabotażu” (art. 220 par. 1), zagrożonego karą do 10 lat więzienia. Przy okazji Edkowi cofnięto decyzję o internowaniu a wydano inną o tymczasowym aresztowaniu.

Po takim zakończeniu rozmowy Edkowi trudno było uwierzyć w prawdziwość tamtej optymistycznej wizji. A jednak się spełniła, co prawda dopiero po siedmiu latach i pewnie wbrew chęciom samego przepowiadającego. Bo przecież jemu chodziło tylko o poprawienie humoru aresztanta, żeby nie sprawiał kłopotu przy składaniu obciążających go zeznań.

Jednak, prokurator (w slangu więziennym – „prorok”) miał w tym momencie dar jasnowidzenia.

Wieszanie na latarniach

Wojtek Stróżyk przesłuchiwany był we Wrocławiu w KWMO na okoliczność wieszania komunistów na latarniach. Działo się to w grudniu roku 1981, w okresie okołoświątecznym, kilkanaście dni po wprowadzeniu stanu wojennego. Wojtek pracował jako sekretarz w wołowskim MKK i było oczywiste, że znał wszystkie sprawy poruszane w tym gremium. Jego zeznania mogły okazać się na wagę złota, gdyby zeznał to, o co SB chodziło, czyli o chęci wieszania komunistów przez „Solidarność”, a najlepiej gdyby ujawnił listę komunistów przeznaczonych do powieszenia. Wtedy wprowadzenie przez WRON stanu wojennego zyskałoby dodatkowe uzasadnienie. Uzyskane chociaż dwa czy trzy takie zeznania zostałyby wykorzystane na konferencji prasowej Jerzego Urbana, w celu zobrazowania „prawdziwego oblicza Solidarności”. Do konieczności zapewnienia Polakom spokoju i umożliwienia przetrwania zimy doszłoby udokumentowane działanie przeciwko rozlewowi krwi. Jednak

Wojtek nie potwierdził idiotyzmów lansowanych przez komunistyczną propagandę, a nawet je wyśmiał. Jednak wiara prowincjonalnych władz w nieomylność centrali była tak silna, że nie uwierzono w niewinność wołowskiej Solidarności. Zamknięty w areszcie z konfidentem, który miał go sprowokować do zwierzeń, Wojtek nie dał się podejść. Rozszyfrował oszusta po sposobie zwracania się. Otóż przesłuchujący esbek pomylił się co do imienia i zamiast Wojciech używał imienia Michał, a prowokator w celi popełnił dokładnie taki sam błąd. Nawet tak podstawowe rzeczy mylili, a chcieli wygrać z narodem!

Ujawnienie się działacza

Gdy komuniści ogłosili jesienią 1986 r. ustawę o amnestii i abolicji, chyba już drugą w ciągu kilku lat, Wiesiek Fiszer postanowił się ujawnić. Jednak nie naprawdę, tylko zakpić sobie z „aparatu bezpieczeństwa”. W tym celu po obmyśleniu całej strategii pożyczył gitarę i określonego dnia zgłosił się do wołowskiej komendy MO. Czekano na niego z niecierpliwością w mieszkaniu jego teściów, p. Niedzielskich, jednak poszedł do „jaskini lwa”. Gdy po około 40 minutach wrócił, opowiedział historię swego ujawnienia. Przyjęty został bardzo serdecznie, w końcu starający się o objęcie amnestią musiał ujawnić całą prawdę o swojej działalności oraz o współnikach. A ktoś taki jak Fiszer był w samym centrum decyzyjnym lokalnej opozycji, a może nie tylko lokalnej, tego byli świadomi. Więc wiadomości, jakie mogli od niego uzyskać, były nie do przecenienia. Oczywiście wezwano protokolantkę i Krzysztofiaka, szefa wołowskiego SB. Wiesiek zagrał i zaśpiewał im piosenkę pt. „Na Wojtusia z wieży Spaskiej Łońka chytrze mruga” i to było jego całe ujawnienie się. Wiesiek nie jest gitarzystą, zazwyczaj gra na akordeonie, jednak zna akordy i radzi sobie



z instrumentem. Po wysłuchaniu piosenki padł komentarz, że „wszyscy jeździliśmy na wycieczki i pod namioty” – esbecy dawali do zrozumienia, że nie uważają piosenki za przestępstwo warte ujawnienia. Jednak Wiesiek nie miał nic do dodania. I tak skończyło się jedyne ujawnienie w powiecie wołowskim.

Historia jakich wiele

Niedługo po wyjściu z aresztu, gdzie spędził prawie trzy miesiące, **Antoni Opacki** został wyrzucony z pracy. Pracował jako inspektor w POM-ie w Starym Wołowie, będąc jednocześnie przewodniczącym „S”. Do jego pracy nie było zastrzeżeń, jednak dyrektor dostał polecenie „z góry” i musiał je wykonać, bo inaczej sam by wyleciał. I mimo bardzo dobrych referencji (dyrektor zrobił chociaż tyle) Antoni nie mógł przez wiele miesięcy znaleźć pracy, nie tylko w swoim zawodzie, ale jakiegokolwiek, a gdy się w końcu udało przyjąć do PKP, otrzymał tam najniższe i najgorzej płatne stanowisko. Jak trudno było wtedy przeżyć, mając na utrzymaniu żonę i troje dzieci, wie tylko on. Mimo że przełożeni w nowym miejscu pracy szybko przekonali się o wartości nowego pracownika, awans przychodził powoli. Powodem był oczywiście wyrok (choć w zawieszeniu) ciążyący kamieniem na jego życiorysie. Przełożeni dostawali przekaz: działacz zdelegalizowanej Solidarności, karany za sabotaż, niebezpieczny facet, uważać i nie dopuszczać do odpowiedzialnych stanowisk. Ciągnęło się to za nim wiele lat i pozostawiło zadrę w duszy.

Dopiero w 2009 r., będąc już na emeryturze, Antek uzyskał skasowanie wyroku z 1983 r. W uzasadnieniu napisano: „...z okoliczności popełnienia czynu wynika jednoznacznie, że został on popełniony na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego...”

Niestety w historii tej nie ma nic śmiesznego. Długie łapy komuny nawet w wolnej Polsce mogą zaszkodzić ludziom jej niewygodnym chociażby



Wołów 2015, fot St. Ryczek

przez zmniejszenie emerytury, jak w przypadku Antoniego, bo przecież brak zatrudnienia, a następnie wieloletnia praca za marne grosze przyczyniły się do obniżenia jego emerytury już w wolnej Polsce.

Opinia

Ryszard Gruś otrzymał polecenie dostarczenia opinii z miejsca pracy na poznańską uczelnię, gdzie rozpoczął studia. Niby banalna sprawa, ot, kolejny wymysł komunistycznej administracji. Normalnie załatwiał się takie sprawy rutynowo, mniej więcej tak: dobry pracownik, sumiennie wykonujący swoje obowiązki, zdyscyplinowany, dbający o mienie zakładowe itp. Jednak w tym przypadku nie było to takie proste. Kierownikiem Ryszarda był nadleśniczy J. Dereziński, który w stanie wojennym odgrywał się za wcześniejszą krytykę ze strony przewodniczącego „S”. A był nim właśnie Gruś. Krytyka zaś dotyczyła wykorzystywania materiałów i sprzętu będącego własnością Lasów Państwowych dla prywatnego gospodarstwa nadleśniczego, co powiedziane zostało mu prosto w oczy na forum publicznym. Od tej chwili Ryszard Gruś został znienawidzony przez nadleśniczego Derezińskiego i sama degradacja do poziomu robotnika mu nie wystarczyła. Zrozumiałe więc było, że gdy nadarzyła się możliwość zemsty w postaci wystawienia opinii, oczywiście niepochlebnej, nie omieszczał tego zrobić. Od takiej opinii Rysiek się oczywiście odwołał. W sumie odwoływał się siedem razy i za każdym razem opinia była gorsza. W ostatniej napisano, że Gruś cierpi na manię wielkości, więc jest propozycja, aby wysłać go na badania psychiatryczne. Tego już było za wiele i dyrektor Lasów Państwowych wysłał do uczelni obiektywną opinię o pracowniku, kończąc tym samym sprawę. Jednak Rysiek wroga się nie pozbył, gdyż jeszcze kilka lat temu wypływały w Wołowie różnego rodzaju archiwalne pisma mające go zdyskredytować. Jednak najgorsze, że byli ludzie dający wiarę tej prywatnej propagandzie.

Między Wilkiem a Kiełbasą

Jesienią 1985 roku wołowska bezpieka niezwykle się uaktywniła. Słusznie podejrzewaliśmy, że miało to związek z wyborami do sejmu, zaplanowanymi na 13 października. Jak wszystkie poprzednie tego typu imprezy, Solidarność nakazała je bojkotować. Jednak wiele osób zostało już na tyle zmanipulowanych, że realna była szansa przełamania bojkotu przez reżim. Niestety, było to widać szczególnie u nas, na prowincji.

Kiedy rozmawiało się z – wydawałoby się – rozumnymi ludźmi popierającymi opozycję, czasem aż ręce opadały, gdy słuchało się ich tłumaczeń,

dlaczego muszą iść na wybory: a że córka stara się o paszport, a to syn chce dostać się na studia, słuchaj, mam szansę dostać w końcu mieszkanie, żona ma szansę awansu, jest prawie pewne, że jak nie pójdę, przeniosą mnie na gorsze stanowisko itp., itd. Nas, notowanych i zdeklarowanych przeciwników komuny, nikt nie usiłował przekonywać ani straszyć, dla nas nie było kielbasy wyborczej, nawet zawieszanej na długim sznurku, dla takich jak my był tylko kij i straszenie złym wilkiem.

Rewizje i zatrzymania zaczęły się na początku października i trwały aż do dnia wyborów. W ciągu kilku dni aresztowano **K. Żaka, W. Fiszera, B. Lipowicza, S. Ryczka, W. Leśniańskiego**. Zdziwiałoby było to, że nie przywiązywano wagi do przesłuchań. Przeprowadzano je pobieżnie, żeby nie powiedzieć niechlujnie, i niezwykle krótko – cóż to jest 30 minut przesłuchania! Chodziło chyba tylko o to, żeby na 48 godz. przyskrzynić nas w areszcie. Wyjątkiem był aresztowany jako pierwszy 6 października **Kazik Żak**. W trakcie swoich 48 godz. miał trzy przesłuchania, bo jako wcześniej nienotowany przejął prowadzenie sklepiu przykościelnego po P. Berezie i S. Ryczku. Przy tym na pogrzebie księdza dziekana Franciszka Bosaka 22 lipca 1984 r. niósł wieńiec wraz z Danusią Gruś i Jankiem Krasowskim, co mogło wskazywać, że powiązany jest nie tylko z komitetem charytatywnym, w który zaangażowani byli „ekstremiści” wołowscy, ale być może w jakieś nielegalne struktury. SB dysponowało zdjęciami z tego pogrzebu i postanowiło sprawdzić, czy ten facet z brodą to na pewno Kaziu (obecnie bez brody). Przy tym interesowali się jak zwykle wszelkimi szczegółami organizacji pogrzebu, i nie tylko, dlatego magiel był niezły, jednak jak zwykle nieskuteczny. Bo oprócz identyfikacji osoby na zdjęciu niewiele dało im się uzyskać.

W celi aresztu też nie było spokoju, bo przebywający tam już wcześniej aresztanci – Wilk i Kielbaso, byli ze sobą skonfliktowani i kłócili się na okrągło, nie dając chwili wytchnienia. Moment kulminacyjny nastąpił późnym wieczorem. Otóż śpiący między Kielbasą i Wilkiem Kazik obudzony został wymianą ciosów między antagonistami, przy tym stroną atakującą był Kielbaso. Nieznającym wołowskiego aresztu należy się wyjaśnienie, że jest to pomieszczenie z tylko z jedną pryzką z desek, ale za to szeroką, od ściany do ściany, więc wszyscy aresztanci, a zmieści się tam nawet sześciu, śpią w szeregu obok siebie. Dla spokojnego zazwyczaj Kazika było tego za wiele. Podniesionym głosem oświadczył Kielbasie, że jak się nie uspokoi, to „przypierdoli mu w pysk”. Tak zdecydowana postawa odniosła zamierzony skutek i nastał w końcu spokój.

Jednak nazajutrz Kazimierz doświadczył chwil grozy, gdy za drzwiami aresztu pośród chóru dziecięcego szczebiotu usłyszał głos swojej córki.

Dla wyjaśnienia – 7 października był za komuny obchodzony jako „Dzień Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa”, więc panie wychowawczynie zorganizowały przedszkolakom wycieczkę na nieodległą komendę MO. W trakcie zwiedzania budynku dzieci dotarły pod drzwi aresztu, a dowiedziawszy się, że w areszcie siedzą „źli ludzie”, oczywiście koniecznie chciały takich ludzi zobaczyć. Ten moment Kaziu widział już oczami wyobraźni – drzwi się otwierają i stadko dzieci staje naprzeciwko złych ludzi – Wilka, Kiełbasy i Kazia, a w grupie dzieci zszokowana Madzia, jego córka, z szeroko otwartymi oczami. Koszmar jednak nie nastąpił, bo dyżurny milicjant drzwi nie otworzył.

A wybory jak to wybory wygrała klasa robotnicza reprezentowana przez PZPR, drugie było ZSL, nazywane obecnie nie wiadomo dlaczego PSL. Oficjalna frekwencja wyniosła prawie 80%, chociaż z nieoficjalnych wyliczeń wynikało, że około 66%. Jednym słowem, nic nowego, bezpieczeństwa i milicja znów się wykazały. Część funkcjonariuszy w dniu swojego święta dostała podwyżki i odznaczenia za dobrą pracę, a kilku tzw. oszołomów posiedziało sobie 48 godzin w pierdlu. Wilk i Kiełbasa dostali zapewne jakieś wyroki, jeden za pędzenie bimbru, drugi za znęcanie się nad rodziną. Ot i wszystko.

Kradzieże i ulotki

Marta Krasowska została okradziona w 1982 r., tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Zginął portfel z całą wypłatą, a co gorsza kartki żywnościowe na nią i na dzieci – została na czysto. Kradzieży nie zgłosiła, sama nie wiedziała dlaczego, pewnie nie chciała kontaktu z milicją, ostatnio tych kontaktów miała w nadmiarze. Zaczęło się 10 listopada od rewizji i przewrócenia domu do góry nogami, co prawda powielacza schowanego w bibliotece szkolnej nie znaleźli, ale w komórce sąsiada klawisza odkryli bimbrownię. Sąsiadowi włos z głowy nie spadł, za to Janka, jej męża zabrali, i tyle go widziała. Chodziła później na milicję dowiadywać się, ale wiadomości były coraz gorsze. Najpierw, że jest internowany, później że tymczasowo aresztowany i oskarżony o sabotaż, a ostatnia wiadomość, że najpewniej będzie siedział jeszcze sześć lat, dosłownie ścięła ją z nóg.

O kradzieży w szkole zrobiło się głośno. Dzieci opowiadały w domach o tym zdarzeniu. Reakcja wsi Stary Wołów na dramat nauczycielki, której mąż, też nauczyciel, siedzi w więzieniu „za Solidarność”, była zaskakująca i piękna. Ci niebogaci przecież ludzie, w większości rolnicy lub chłoporobotnicy, zaczęli przysyłać jej pomoc w postaci kartek żywnościowych. Marta była wzruszona ich solidarnością, gdy dzieciaki przynosiły po jednej kartce na mąkę, mięso czy cukier, z prostym oświadczeniem: „mama dała”. Nauczyciele z wołowskiej



Fot. 2005 r.

szkoły nr 2 zrobili składkę ze swych głodowych pensji, a wołowscy księża wystarali się o paczki z darów zagranicznych i również wsparli ją gotówką. Święta, chociaż smutne, bo bez męża, udało się urządzić.

Jednak po kilku miesiącach, znów przed świętami, tym razem wielkanocnymi, okradziona została inna nauczycielka. Wezwani milicjanci stwierdzili, że kradzieży dokonuje ktoś z pracowników szkoły. Podejrzewali jedną z nauczycielek, ponieważ gdy pracowała w poprzednim miejscu, tam też zdarzały się takie przypadki. Nagle jeden z milicjantów zaproponował, żeby wszystkie nauczycielki opróżniły torebki, żeby poszkodowana mogła rozpoznać swój portfel lub jakąś rzecz charakterystyczną, która w nim była. Strachu, który ogarnął Martę w tym momencie, nie da się opisać – jej torebka była dosłownie wypchana „bibułą”. Mimo że do rewizji w końcu nie doszło, bo jak stwierdzono, portfel został zapewne wyrzucony, Marta postanowiła nie nosić przy sobie więcej takiej ilości ulotek. Od tej pory chowała dostawy w bibliotece szkolnej.

Biblioteka była dla Marty szczęśliwym magazynem, w czasie pierwszej rewizji esbekom nie przyszło do głowy, żeby przeszukać to pomieszczenie, więc

Mąka 1000 g III 83	Cukierki 250 g III 83	R-PII 41 III 83	Cukier 1500 g III 83	Papierosy 4 pacz. III 83
P. zbożowe 1000 g III 83	A 0221355 nazwisko i imię adres: gmina-miasto-dzielnica			Papierosy 4 pacz. III 83
Tłuszcze 1 III 83				Papierosy 4 pacz. III 83
Tłuszcze 2 III 83	Proszek 200 g III 83	Proszek 100 g III 83	R-PII 40 III 83	Alkohol 1 but. III 83

Kartka na artykuły luksusowe – marzec 1983

ukryty tam powielacz nie wpadł. Wywieziony przez **Freda Kaduszkiewicza** niejeden raz był jeszcze wykorzystany. Mimo że Janek siedział, a dzieci małe: 5 i 6 lat, u Marty nadal była skrzynka kontaktowa. Co pewien czas Fred dostarczał pakiety bibuły, a kurierzy **Staszek Zabłocki** i **Zbigniew Grabowski** odbierali dalej, na Wołów i Wińsko. Chociaż dom był pod obserwacją miejscowych ormowców, udawało się...

Przy okazji następnej rewizji w szkole, z kluczem od biblioteki w kieszeni, Marta pozornie spokojnie poszła na spacer z dziećmi i wróciła już po wszystkim. Nie włamali się. Na szczęście!

Swego rodzaju zemstą tzw. aparatu bezpieczeństwa i ormowców za ich zdaniem nieukaranie **Jana Krasowskiego**, bo przecież grzywna, trzy miesiące w więzieniu, a zwłaszcza wyrok w zawieszeniu to przecież żadna kara, był zamach polegający na wybiciu okna w jego mieszkaniu. Marta twierdzi, że tak duży kamień mógł zabić, jednak głównym celem było prawdopodobnie zastraszenie rodziny. Ale ani to wydarzenie, ani inwigilacja domu, tudzież powtarzające się co jakiś czas przesłuchania nie spowodowały zaniechania działalności Janka i Marty Krasowskich.

Lokalna łączniczka

Danusia Grusiowa stała już drugą godzinę na czatach przed swoim domem. Była coraz bardziej przekonana, że na dzisiaj ma już dość tej konspiracji. Od ciągłego chodzenia raz po jednej, raz po drugiej stronie ulicy bolały ją nogi, chciało jej się jeść, a na dodatek doskwierał pełny pęcherz. Zmrok już dawno zapadł, a zebranie wciąż trwało. Jej zadaniem było wypatrywać, czy nie nadjeżdża milicja, i w razie zagrożenia dać znać konferującym z jej mężem ludziom z Wrocławia.

Przyjechali trzy osoby, dwóch facetów i kobieta. Oni jacyś inteligenci, jeden chyba profesor, drugi doktor, ona podobno łączniczka z RKS-u. Chodziło o weryfikacje danych o frekwencji w dopiero co skończonych wyborach do sejmu i rad narodowych. Nasi obserwatorzy liczyli ludzi wchodzących do punktów komisji wyborczych, a oni przyjechali tylko zabrać wyniki, ale dlaczego to musi tak długo trwać?

Spojrzała po raz nie wiadomo który w rozświetlone okna swego mieszkania, niestety, nie widać żadnego ruchu. Na dodatek zirytowała ją na samym początku ta łączniczka. Stwierdziła, że ona grzybów w bigosie nie będzie jadła, bo się boi zatrucia. Danusia, chcąc być miła, wyłowiła z jej porcji wszystkie grzyby, a tamta i tak kręciła nosem, bo przecież jakby co, to trujący sok grzybowy w trakcie gotowania i tak dostał się do bigosu. I bądź tu gościnna dla takiej...



Rodzina Grusiów, od prawej Ryszard, Wiktoria Danuta i ich syn Sylwiusz. Wszyscy zaangażowani w podziemną robotę.

Wszystkie zlecenia do tej pory wykonywała bez skargi, mimo że czasem kosztowało ją to dużo zdrowia. Szczególnie przenoszenie ulotek. Kurierzy dostarczali „bibułę” do ich domu, często przywoził ją Rysiek, jej mąż, ale przenoszenie jej pod wskazane adresy czasem spadało na nią. Tłumaczenia były takie, że przecież jej nie zatrzymają, a Rysiek, Wiesiek czy Piotrek od dawna są namierzeni. Obkładała się więc pakietami ulotek, wkładając je za pasek od spódnicy, a gdy mijała milicjantów, naprężała mięśnie brzucha, żeby czasem nic nie wypadło. Potem odruch spinania się w sobie na widok patrolu lub „suki” długo jeszcze pozostał, mimo że już niczego nie przenosiła.

Wszyscy uważali ją za wyjątkowo opanowaną i odważną, szczególnie po tym, jak po którejś rewizji w domu poszła na komendę MO, żeby odzyskać zarekwirowane „Zapiski więzienne” kardynała Wyszyńskiego. Do tej pory nikt na to nie wpadł, żeby żądać zwrotu zarekwirowanego fantu, a ona ze swoim tupetem dokonała tego i książkę od esbeków wydarła. Przy okazji ochrzaniła ubeka za brak kultury, gdy ten nieelegancko rzucił książkę na biurko.

Jednak akcje te kosztowały ją wiele nerwów, nie mówiąc o tym, że w razie niepowodzenia oczami wyobraźni widziała się w więzieniu (a przecież dzieci małe). Najbezpieczniejsze i chyba najbardziej przez nią lubiane były odwiedziny u znajomych, których trzeba było podtrzymać na duchu, dodać otuchy ich rodzinom w razie krótkich zatrzymań na 48 godz.

W końcu, gdy goście wyszli, już mogła opuścić swój „posterunek”. Niczego bardziej nie pragnęła, jak znaleźć się w swoim domu. Ze smutkiem skonstatowała, jak ciężko jest być lokalną łączniczką, bo przecież nie jeździ zbyt daleko, ot, Wołów i do pracy w nadleśnictwie w Dębnie. Nie znają jej wielcy bohaterowie podziemia, różne Piniory i Frasygniuki i, śmiech powiedzieć, nie

może sobie pomarudzić na bigos, że z grzybami albo bez. Nawiasem mówiąc, nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, żeby wybrzydzac na poczęstunek.

Folkslista w Pomecie

Jeszcze przed stanem wojennym **Aleksander Makulus** rozmawiał z dyrektorem Żabickim o podjęciu pracy w tzw. Rolniku, czyli w Technikum Rolniczym. Zapotrzebowanie na dobrego elektryka, jakim był Alek, było tak duże, że dyrektor obiecał mu zakładowe mieszkanie. Nawet zaprosił go do jego obejrzenia, co też razem zrobili. Sprawa chwilowo została odłożona, żeby dojrzała. W międzyczasie Jaruzel wystąpił zamiast Teleranka i niektóre zakłady zostały zmilitaryzowane. Również Pomet, w którym Alek pracował, dostąpił tego „zaszczytu”. Pracowników ubrano w mundury i pomiędzy świętami Bożego Narodzenia a sylwestrem rozkazano im wpisać się na listę potępiającą działalność związku Solidarność. Pracownicy nazwali ją folkslistą. Przewodniczący Solidarności w Pomecie **Marian Żukowski** i **Aleksander Makulus** byli tymi, którzy tej listy nie podpisali i zostali zwolnieni jako pierwsi, później dołączyli inni: **Józef Tokarczyk**, **Jerzy Stołyhwo**, **Eugeniusz Gawel**, **Edward Surma**, **Andrzej Rzeszowski** i **Ryszard Żółkiewicz**. Aleksander miał wcześniej obiecaną pracę w Rolniku, jednak dyrektor, dowiedziawszy się o niesubordynacji w Pomecie, nie zaryzykował jego zatrudnienia (zbyt dbał o zatrudnienie własne). Po kilku nieudanych próbach Alkowi udało się zatrudnić w tartaku, co prawda jako prosty robotnik, ale z czasem zmieniono mu angaż. Nie pełnił żadnej funkcji w związku – był szeregowym członkiem Solidarności, który nie chciał podpisać zbiorowej lojalki połączonej z zaprzańskim tekstem, ułożonym przez jakiegoś komunistycznego padalca.

Maszyna

– Czy kupuje pani Biblię w czerwonej obwolucie? – Słowa te wypowiedział młody facet stojący w drzwiach. Gość był schludnie ubrany i zapięty na ostatni guzik. Szczupła, ascetyczna sylwetka, ubiór, a szczególnie zadane pytanie przywodziły na myśl młodego kleryka.

– Tak, proszę wejść – odpowiedziała młoda dziewczyna, zapraszając gościa do środka.

Zarówno pytanie, jak i odpowiedź były hasłami.

Dziewczyna, która zaprosiła gościa, nazywała się **Joanna Szulc** i była córką nauczycielki **Rafaeli Szulc**, działaczki Solidarności. Gość to też nauczyciel – **Stanisław Zabłocki** – tyle że ze Starego Wołowa. Hasło z Biblią wybrano



z tego względu, że był on członkiem Klubu Inteligencji Katolickiej, więc jak by co (wsypa lub coś z tych rzeczy), korespondowało z jego zainteresowaniami.

Staszek miał za zadanie dostarczyć konspiracyjną maszynę do pisania do Wołowa na ulicę Poznańską, pod wskazany numer. Były to czasy, że wszystkie maszyny wraz z próbkami czcionek były rejestrowane na milicji. **Janek Krasowski**, który wydał to polecenie, podał też hasło i odzew, więc sprawa była wcześniej dograna, zostało tylko wykonać zadanie.

Młody nauczyciel nie miał ani samochodu ani motocykla, ale posiadał rower. Maszyna wsadzona do worka z ziemniakami, a worek na ramę roweru i cztery kilometry pieszo z rowerem. Taką kombinację musiał wykonać Stanisław, żeby dostarczyć zwykłą maszynę do pisania ze wsi Stary Wołów do miasta Wołów. A przy tym w razie zatrzymania przez patrol MO mieć alibi – bo przecież wiezie kartofle do miasta.

Było to o tyle ważne, że przedwojenna maszyna nie była rejestrowana, mogła więc być używana do sporządzania matryc służących do powielania ulotek na tzw. ramce, bez możliwości wykrycia właściciela, bo przecież ten nie figurował w kartotece milicyjnej, tak jak i maszyna.

Akcja z maszyną nie była jedyną w podziemnej karierze Zabłockiego, bo przez następne lata był on jednym z kurierów przewożącym ulotki. Również

Joasia Szulc-Drembkowska zaangażowała się w działalność charytatywną w DKCH (Dekanalny Komitet Charytatywny) przy parafii pod wezwaniem Św. Karola Boromeusza w Wołowie oraz akcję ulotkową.

Joasia miała już za sobą akcję ratowania biblioteki Solidarności Nauczycielskiej w Wołowie 14 grudnia 1981.

Biblioteka mieściła się w budynku przedszkola na rogu ul. Poznańskiej i Fornalskiej (obecnie Piłsudskiego). Pani Rafaela Szulc była opiekunką i bibliotekarką w jednej osobie. Po ogłoszeniu wojny przez Jaruzelskiego pobięły z córką Joasią już czternastego w poniedziałek, aby uratować książki. Po załadowaniu pierwszej partii książek w jakieś tobołki wróciły po następne, ale milicja już tam była. Po pewnym czasie uratowaną część książek zdeponowały u ks. dziekana F. Bosaka na plebanii.

Pechowy listopad 1982 r.

Listopad 1982 r. nie był miesiącem szczęśliwym dla opozycjonistów Ziemi Wołoskiej. Już 5.11. został aresztowany **Henryk Strzyż** z „S” z Brzegu Dolnego. Było to związane z nieco wcześniejszym schwytaniem ukrywającego się **W. Frasyniuka**, przewodniczącego RKS-u i przejęciem jego notesu, w którym było wiele adresów, pseudonimów i innych informacji dotyczących ludzi z nim współpracujących. **Władysław i Krzysztof Dukietowie** zostali internowani. **Wiesław Fiszer** z komisji Zakładowej „S” w lubińskim szpitalu został powołany jako rezerwista do wojska 7. 11. na kilkutygodniowe ćwiczenia.

10 listopada był ogłoszony jednodniowy strajk w związku z przypadającą w tym dniu rocznicą rejestracji NSZZ Solidarność. W Rokicie na niektórych oddziałach podjęto strajk. Z Zakładu Badawczego zostali zwolnieni laboranci: **Elżbieta Mandat** (łączniczka z Wołowem), **Krystyna Olszewska**, **Elżbieta Drzewiecka**, **Zofia Mielniczek**, **Anna Jaruga**, **Wiktor Miszczanowicz**, **Krystyna Pendolska** (ps. Iza – łączniczka z RKS), **Mirosława Suchodolska-Batyska**. **Anna Dukiet i Barbara Strzyż** mimo udziału w strajku otrzymały „tylko” nagany, może dlatego że ich mężowie już siedzieli. Po pewnym czasie po obniżeniu zarobków część osób przyjęto na powrót. **K. Pendolska** została zatrudniona w lubińskim szpitalu w laboratorium. Również zwolniony **Tadeusz Brojanowski** znalazł zatrudnienie w tym szpitalu.

W tym dniu flagi „S”, przygotowane przez panie z pracowni plastycznej szpitala w Lubiążu: **Basię Bohonos i Krysę Skrobek**, pojawiły się na kominach kotłowni szpitalnej i na wołoskiej gorzelni. Po akcji zablokowania dróg w kierunku Lubina, Wrocławia i Lubiąża zostali internowani, a następnie, po miesiącu tymczasowo aresztowani na kolejne dwa miesiące **Jan Krasowski, Piotr Bereza**,

Stanisław Ryczek, Wiesław Krawiec, Antoni Opacki, Edward Ziętek. Barbarę Bohonos, aresztowaną wraz z nimi, zwolniono po 48 godzinach.

Flaga w Lubiążu

Wspomnienie Bogdana Lipowicza

Kłopot z wywieszeniem przeze mnie flagi polegał na tym, że z żoną i dzieckiem mieszkaliśmy na terenie szpitala, w budynku dla pracowników i pierwsze podejrzenia padłyby na mnie, jako przewodniczącego Solidarności.

Już kilka dni przed akcją w rozmowach z sąsiadami wspominałem, że muszę wyjechać do rodziny coś tam załatwić. Tak zamieniłem się zmianami w pracy, żeby mieć te dni wolne „na wyjazd”, wszyscy to wiedzieli. Naprawdę zostałem w domu i nikomu się nie pokazywałem, a kiedy ktoś o mnie pytał, żona mówiła, że wyjechałem.

Tamtej nocy wyszedłem z domu przez uchylone okno na parterze, od strony pół, żeby nikt nie widział. Zgodnie z umową z Jackiem Rydlewskim spotkaliśmy się na terenie szpitala. Byliśmy ubrani na czarno, tak by w razie pogoni nikt nas nie rozpoznał. Stopnie do wejścia na komin zaczynały się ze trzy metry nad ziemią, żeby nie włązili tam przypadkowi ludzie. Przyciągnęliśmy kilkumetrową metalową drabinę z kątowników, która leżała pod murem. Była niewygodna, bo ciężka, trudno było ją nieść, ale problem był w czym innym.

Wejście na komin i zejście trochę trwa, zwłaszcza że to gołe metalowe pręty, a przy tym stres, wysokość, trzeba przystawać – człowiek to przecież nie zręczna małpa. Od Bogdana Adamskiego wiedziałem, że na terenie szpitala planowany jest całonocny „patrol” (ormowiec, pezetpeerowiec, „aktyw społeczny”), gdyby drabina stała oparta o komin podczas jego przejścia, to po zawodach. Zaraz zatem po moim wejściu na szczyble Jacek schował ją w cieniu za jakimś budynkiem.

Ale głupio włożyć tylko po to, żeby flagę zdjęli skoro świt, gdy tylko ją zauważą. Ludzie nawet się nie nacieszą. Więc jeszcze w domu naciąłem w rękawiczkach karton papieru, zapakowałem w szary papier i namalowałem na nim czarną farbą trupa czaszkę i piszczelę. Napisałem: „Uwaga! Nie ruszać, grozi wybuchem”. Flagę powiesiłem na szczycie, paczkę przyczepiłem ze dwa metry niżej.

Po zejściu i na końcu zeskoczeniu z komina bocznymi drogami wróciłem do domu i wszedłem przez pozostawione otwarte okno. Przebrałem się i umyłem (komin u góry kopci!). Znowu wyszedłem oknem.

W tym samym czasie Bogdan Adamski z kimś, kogo nazwiska nie pamiętam, na murach prowadzących do szpitala wymalował kotwice, symbole Polski Walczącej i napisy KPN. Z daleka nawet słyszałem tupot nóg.

Przez pola poszedłem na umówione miejsce, gdzie w maluchu czekała umówiona przez Wiesława Fiszerę młoda lekarka, która zawiozła mnie na stację w Wołowie. Tak celowaliśmy, żeby trafić na pociąg do Wrocławia, bilet był kupiony już wcześniej, żeby się nie pokazywać przy kasach.

Rano „minerskie” zabezpieczenie flagi sprawdziło się. Nikt nie chciał tego ruszyć, wezwano strażaków, ci oświadczyli, że nie są saperami, wezwano więc saperów z Wrocławia. Tymczasem zrobiło się przedpołudnie. Ludzie mieli trochę radości. Jak wiadomo, w tym zamieszaniu flaga Solidarności „zaginęła”. Czyli bezpieczeństwa pozbawiona została nawet trofeum.

Ale o tym wszystkim dowiedziałem się już po powrocie, dwa dni później.

Flaga w Wołowie

Natomiast flaga na gorzelni w Wołowie zawisła dzięki akcji Piotra Berezy i Wiesława Krawca. 9 listopada wieczorem Piotr i Wiesiek ruszyli, żeby zawiesić flagę na kominie wołowskiej gorzelni. Uczynili to po wcześniejszym rekonesansie Piotra i rozeznaniu się w możliwościach dostępu wejścia na komin. Oprócz flagi wyposażeni byli w latarkę i sznurek. Nie wzięli jednak pudełka z napisem „UWAGA, MATERIAŁ WYBUCHOWY”, wykonanego przez te same dziewczyny z Lubiąża. Pudełko to, mimo że puste, miało na celu odstraszenie interwentów i tym samym opóźnienie zdjęcia flagi. Jednak Piotr zrezygnował z tego mimo wcześniejszych ustaleń, być może miał jakieś przeczucie, że w razie wpadki może dojść oskarżenie o terroryzm.

Wiesiek stał w obstawie, a Piotr po wejściu do komina, wspiał się po wewnętrznych klamrach na jego czubek. Jednak tuż przed szczytem musiał się cofnąć, ponieważ brakowało klamer, a ciemność panująca w kominie nie pozwoliła na kontynuowanie wspinaczki. Piotr w pośpiechu nie zabrał latarki. Przy drugim podejściu, już z latarką, udało mu się zawiesić flagę. Umocował ją sznurkiem do piorunochronu i bezpiecznie się wycofał mimo braku trzech klamer. Jeszcze tej nocy wraz ze Staszkiem Ryczkiem mieli rozłożyć kolce na drogach wyjazdowych z Wołowa. Nie przypuszczali, że jest to ich ostatnia noc na wolności. Tuż po ich aresztowaniu zamknięto też jednego z inicjatorów akcji, Janka Krasowskiego oraz pomocników – Antka Opackiego oraz Edka Ziętka.

Połamane żebra i odznaczenie

Ryszard Gruś już od kilku dni leżał w dolnobrzeskim szpitalu z połamanymi żebrami. Spowodował to esbek i żeby wszystko było jasne, nie na żadnym przesłuchaniu, tylko na boisku. Otóż w trakcie rozgrywek międzyzakładowych nadleśnictwo grało mecz z milicją. I w trakcie jednej z akcji Rysiek

został brutalnie sfaulowany przez esbeka. Musiał zejść z boiska, bo nie mógł oddychać, i taksówką dojechał do szpitala. Teraz obandażowany i usztywniony pluł sobie w brodę, że dał się namówić na wzięcie udziału w rozgrywkach. A właśnie dzisiaj miało być pożegnanie wyjeżdżającego do Francji **Staszka Kielara**. Po wyjściu z internowania Staszek postanowił wyjechać do rodziny, ale z biletem w jedną stronę, więc do Polski już nie wróci. To jedyna okazja pożegnania kolegi, członka MKK i przewodniczącego Solidarności z PBR-olu, któremu „towarzysze” zamknęli na zawsze drogę powrotu do kraju. Na sali oprócz Ryśka leżał starszy pacjent czekający na oficjalną wizytę „czynników partyjnych”. Mieli mu wręczyć jakieś odznaczenie. Jeszcze nie wiedział jakie, ale liczył na co najmniej Złoty Krzyż Zasługi. „Towarzysz” był zasłużony „na froncie odbudowy ludowej Ojczyzny”, miał więc prawo liczyć na „chlebowe odznaczenie”. Czyli takie, które daje podstawę do przyznania dodatku emerytalnego. Taki dodatek jego zdaniem należał mu się jak psu kość, w końcu na tym „froncie odbudowy” czy „froncie utrwalania” stracił zdrowie i znalazł się w szpitalu. Czynniki partyjno-rządowe zapewne podzielały jego odczucia, bo dostał zawiadomienie o przyznaniu odznaczenia.

Dziwnym zrządzeniem losu na jednej sali szpitalnej znalazło się zatem dwóch działaczy z wrogich obozów – zdelegalizowanej Solidarności i zwycięskiej komunistycznej PZPR. Za swoją działalność jeden otrzymał już „nagrodę” – złamane żebra, a drugi za chwilę dostanie medal.

Wreszcie są, cała świta. Czarne garnitury, czerwone krawaty, tłuste czerwone gęby. Przemowa, czerwone goździki, wręczenie czerwonego pudełeczka z medalem – do piżamy jakoś nie wypada przypinać. Białe, wypielęgnowane ręce awangardy klasy robotniczej ściskają prawicę zasłużonego „budowniczego” czy może „utrwalacza”. Ostatnie gesty pożegnania, uśmiechy, życzenia powrotu do zdrowia i świta wychodzi. Działacz otwiera pudełeczko z medalem i uśmiech mu widać.

– Co oni mi za gówno dali?
– oburzony pokazuje Ryszardowi jakąś blaszkę.

Rysiek rozkłada ręce w geście niemocy, jednocześnie usiłując nie parsknąć śmiechem.



Co to za gówno?

Nagonka do wstępowania do „wronich związków zawodowych” – relacja Stefana Ryczka

W 1984 lub 85 r., kiedy trwał remont szkoły podstawowej Nr 2 w Wołowie, do robotników tam pracujących, gdzie brygadzystą był Stefan Ryczek, przyjechał dyrektor PBK (Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego). Dyrektor nazywany był przez wołowskich robotników „Gumowym Uchem”, być może z racji nazwiska (Gomułkiewicz), a może z całkiem innej przyczyny. Przyjechali kawalkadą, bo wraz z szefem „nowych” związków zawodowych był jeszcze jakiś inżynier. Dyrektor zwołał zebranie i zagał w ten sposób:

– No chłopcy! Nie ma co dłużej czekać. Co było, to już się nie wróci. Trzeba wstępować do nowych związków zawodowych. Proszę bardzo, tu są deklaracje, podpisywać się i po krzyku.

Na to jeden z robotników, murarz Władysław Śledziona stwierdził, że on, owszem, podpisze, ale nie ręką i, położywszy papier na podłodze, uderzył weń obcasem. Następny to podchwycił, stwierdził, że postawi pieczętkę, i również wałnął papier nogą. Deklaracja powędrowała dalej i każdy piętą stawiał swój podpis. Kiedy ostatni położył ją przed szanowną komisją, była czarna od „podpisów”. Jednak dyrekcja nie była zadowolona z tak licznego akcesu.

Zebranie skończyło się prędzej, niż się zaczęło. A dyrektor jak niepyszny odjechał wraz ze świtą do Trzebnicy, gdzie mieściła się siedziba firmy. Trudno dziś ocenić, czy Śledziona, robotnik, który wpadł na ten pomysł, był świadomy niebezpieczeństwa – „Gumowe Ucho” mógł donieść o tym incydencie do bezpieki. Tak czy inaczej facet wykazał się dowcipem i dużą odwagą, jednak przeciwstawianie



Rys. Tadeusz Kuranda

się dyrektorowi, wystawianie go na pośmiewisko zazwyczaj nie wychodzi na zdrowie.

Historia ta pokazuje jedną z metod naganiania ludzi do OPZZ-tów (Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych), popularnie zwanych „Wronimi Związkami”. Akurat tutaj robotnikom udało się wygrać z dyrekcją, często jednak kończyło się to ich klęską. Ludzie nie wytrzymywali różnych form nacisku pracodawcy. Dyrektor miał do dyspozycji ich cały wachlarz, poczynając od obietnic (wyższa stawka, premia, otrzymanie czegoś poza kolejnością, np. mieszkania, wczasów z FWP itp.), a skończywszy na groźbie przeniesienia na gorsze stanowisko, szykanach dziś zwanych mobbingiem, a nawet, w skrajnych przypadkach, zwolnieniem z pracy. Priorytetem rządu było pokazanie, że wstępując do „wronich związków”, ludzie popierają rząd i partię, więc statystyki musiały się zgadzać, choćby były dopchnięte kolanem.

Komoda

Był rok 1982. **Ferdynand Kaduszkiewicz**, szef Solidarności w wołowskim PKS-ie, przyjechał na wrocławski Nowy Dwór po odbiór z zakonspirowanego lokalu ulotek „Z dnia na dzień”. Sprawa była dograna, Fred zapamiętał adres i hasło, które należało podać po otwarciu drzwi.

Termin akcji niezbyt mu pasował, bo akurat w tym dniu był ważny mecz międzypaństwowy, który chciał obejrzeć, a tu masz, trzeba jechać po „bibułę”. Na dodatek gierkowskie bloki nie tylko nie różniły się od siebie, ale nawet klatki schodowe nie były w nich oznaczone. Po długich deliberacjach i obliczeniach postanowił zaryzykować, wydawało mu się, że to jest mieszkanie, którego szukał. Jednak trafił jak kulą w płot.

Facet, który otworzył drzwi, przez dłuższą chwilę zbierał myśli: o co temu gościowi chodzi? Bo Fred ewidentnie zaskoczył go tym pytaniem – „Czy ma pan do sprzedania komodę?”. Po chwili dopiero krzyknął do żony – „Zośka, jaką my komodę sprzedajemy?!”. Zapewne mieli tych komód wiele.

Oczywiście pomyłka była ewidentna, bo nie taki miał być odzew. Po wycofaniu się z tej idiotycznej sytuacji Fred po ponownych obliczeniach znalazł w końcu odpowiednią klatkę i trafił do konspiracyjnego mieszkania. Akcja zakończyła się sukcesem, bo kolejna partia ulotek trafiła do Wołowa. Pomyłka wydająca się dziś zabawna w rzeczywistości mogła się źle skończyć. Gdyby facet okazał się dociekliwym donosicielem, ormowcem, esbekiem, milicjantem lub ideowym członkiem PZPR. Albo po prostu zwykłą gnidą, jakich nigdy nie brakowało.

Tajemniczy wiatr w PKS-ie

Śledztwo prowadzone przez wołoską Służbę Bezpieczeństwa miało na celu ustalenie, jak to się działo, że konspiracyjny Tygodnik Mazowsze, wydawany i drukowany przecież w Warszawie, często ukazywał się najpierw w Wołowie, a dopiero następnego dnia w stolicy.

Oczywiście, głównymi podejrzanymi byli działacze Solidarności, ale żaden z nich nie wyjeżdżał do Warszawy ani nawet w jej okolice. Bezpieka sprawdzała karty drogowe i rejestr wyjazdów wszystkich kierowców wołoskiego PKS-u, przesłuchano też stróżów... I nic, żadnych efektów. Jednak po którymś z kolei ukazaniu się pisma na bazie PKS-u szef SB Krzysztofiak kazał zatrzymać Freda Kaduszkiewicza na 48 godz., zrobić rewizję u niego w domu i w pracy, uaktywnić ormowców i agenturę. Pogonił swoich pracowników do zakasania rękawów, skończyło się przesiadywanie w kawiarni „Lidka” przy ul. Poznańskiej i markowanie pracy na kacu. I dotyczyło to nie tylko młodszego chorążego Waldemara Wrony, chociaż jego chyba najbardziej. W końcu to on miał „pod opieką” PKS, a za kołnierz raczej nie wylewał. Wołowscy „borewicze” dwoili się i troili, i znowu nic. Nawet te ekstraordynaryjne działania nie dały rezultatu.

Rozwiązanie tej zagadki było stosunkowo proste, choć dla powiatowych esbeków za trudne. Otóż bibułę dostarczał pracownik PKS-u, tyle że nie z Wołowa.

Bronisław Bienkiewicz mieszkał w Sułowie, a jeździł we wrocławskim Dolmelu, dokąd był oddelegowany do pracy w transporcie towarowym. Jego brat pracował w warszawskim Polkolorze, gdzie drukowano między innymi Tygodnik. Wracając z Warszawy, zostawiał Fredkowi paczkę z „bibułą”. Jego kurs nie był w Wołowie odnotowywany, bo nawet nie wjeżdżał na

bazę. W dokumentach żadnego wpisu więc nie było. Kaduszkiewicz lub inny wtajemniczony działacz wkładali ulotki do szafek pracowników, robili to zazwyczaj na nocnej zmianie. Nadwyżki kładziono na plandekach lub na skrzynkach akumulatorowych ciężarówek. Kiedy z rana samochody ruszały, powiew wiatru zrzucał pisma, zaścielały one plac bazy. Oczywiście dyrektor zobowiązany był powiadomić



MO o pojawieniu się na bazie nielegalnych gazetek. Nocna zmiana była już wtedy po pracy, a poranna nic nie wiedziała. Bezpieka, kręcąc się wokół własnego ogona, szukała wiatru w polu, bo przecież to wiatr rozsypywał ulotki po bazie

W końcu sam kapitan Krzysztofiak stwierdził w trakcie przesłuchania Freda, że to jednak inna „firma” robi tę wredną robotę, bo oni, to znaczy wołowscy pracownicy PKS-u, są na to za głupi. Tym sposobem sam szef SB zdjął podejrzenie z Freda i jego ludzi, mogli więc nadal działać i cieszyć się wolnością.

Kara za znaczek „Solidarności”

Wczesną wiosną 1982 roku Fred miał pierwszą akcję z wołowską bezpieką. To właśnie wtedy, za przyczyną inspektora SB R. Olejnika został skazany przez kolegium ds. wykroczeń za noszenie znaczka „Solidarności”. W uzasadnieniu wyroku stwierdzono, że przez noszenie tego znaczka Kaduszkiewicz demoralizuje załogę PKS-u, ukarano go więc solidną grzywną. Dano mu jednak możliwość odsiedzenia tej kary w areszcie przez 90 dni. Nawiasem mówiąc, bardzo by wszystkim odpowiadało, gdyby wybrał tę drugą opcję. Wszystkim, czyli kolegium i bezpiece. Na zapłacenie grzywny dano mu cztery godziny, słusznie przypuszczając, że nie uda mu się zebrać tej kwoty w tak krótkim czasie. I pewnie sprawdząby się ich spekulacje gdyby nie solidarność. Ta pisana małą literą oraz ta druga, stojąca ością w gardle rozmaitym PRON-om, WRON-om i OKON-om, czyli Związek NSZZ Solidarność. To ona spowodowała, że pracownicy pekaesu złożyli się, żeby ratować kolegę przed uwięzieniem. Grzywna została zapłacona w wyznaczonym czasie i choć „sprawiedliwości” stało się zadość, bezpieka nie mogła pochwalić się pełnym sukcesem. Zwycięstwem dla nich byłoby, gdyby jeszcze jeden działacz „S” poszedł siedzieć.

Pomarańczowa Alternatywa i wybory

Pod koniec lat osiemdziesiątych we Wrocławiu na dobre rozkręcił się ruch nazwany przez jego twórcę, „majora” Fydrycha Pomarańczową Alternatywą. Happeningi organizowane przez jej animatorów miały na celu ośmieszenie i kpinę z ówczesnej władzy. A zaczęło się od tego, że na zamalowywanych przez tajniaków i milicję solidarnościowych hasłach zaczęto rysować krasnoludki. Złapany na gorącym uczynku na komisariacie MO w Łodzi „major” wyjaśnił „logikę” tego działania. Otóż według niego napis na murze wyrażał pewną tezę, jego zamalowanie antytezę, a krasnal na tej plamie syntezę. Władzę najbardziej bolały te imprezy, które udawały obchody świąt i rocznic komunistycznych, jak np. „Obchody Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej”, gdzie głównym rekwizytem był krążownik „Aurora” zrobiony z pudeł kartonowych,

a uczestnicy byli przebrani za bolszewików, z Leninem, Stalinem i Trockim na czele. Co rusz organizowane imprezy przyciągały tysiące młodych ludzi. „Dzień milicjanta”, „Dzień Tajniaka” czy „Dzień wojska, czyli Manewry Melon w Majonezie” były naprawdę wielkimi „zbiegowiskami”, jak nazywali je komuniści. Władze jednak nic nie mogły zrobić, bo żadne przepisy nie były łamane. Ich działania ograniczały się do legitymowania uczestników i wlepiania mandatów za nielegalne zgromadzenia oraz tzw. zabezpieczania terenu. I chociaż „major” Fydrych został w końcu aresztowany i odsiedział dwa miesiące, nie powstrzymało to „zbiegowisk” Alternatywy.

Wśród entuzjastów Fydrycha i jego „Manifestu Surrealizmu Socjalistycznego” znaleźli się również chłopcy z Wołowa, ale nie wystarczał im udział we wrocławskich manifestacjach. Postanowili przenieść pomysł happeningów na grunt wołowski. Pierwszym zrealizowanym pomysłem była akcja pt. „Konkurs na najładniejszy rysunek tajniaka”, adresowana do dzieci. **Artur Wojsławski**, bo on był organizatorem imprezy, po wcześniejszym rozpropagowaniu akcji w szkołach urządził ją na wołowskim Rynku. Dzieci dostały nagrody w postaci słodyczy. Wojsławskiego po zatrzymaniu i przewiezieniu na komendę MO przesłuchano i zwolniono bez żadnych konsekwencji, bo znów nie było na to artykułu. W Wołowie odbyły się jeszcze dwie akcje: „Sprzątanie Wołowa” i „Przywitanie nowego roku” w noc sylwestrową 1988/ 1989. I jak przy sprzątaniu Wołowa nie było żadnych interwencji, ograniczono się tylko do obserwacji, to w sylwestra Wojsławskiego znowu zwinęto. Po przesłuchaniu i odpowiedniej porcji pogróżek zasewrowanych przez inspektora SB Waldemara Wrone został zwolniony.



Jednak pogrożki chyba go nie przstraszyły, bo już w kwietniu 1989 roku został wiceprzewodniczącym Komitetu Obywatelskiego w Wołowie, przewodniczącym był Jan Krasowski. Wtedy bardzo przydała się wołowska grupa Pomarańczowej Alternatywy oraz ministranci, bo i tych skaperował Artur, sam będąc ministrantem. Oni to w głównej mierze zajęli się „reklamą i propagandą” wyborów: plakietki, ulotki, plakaty w całym powiecie. Rówieśnicy Artura: **Ryszard Dumański, Mirek Mikszta, Artur Mikszta, Tomasz Moskwiak, Irek Buchbach, Paweł Pietkiewicz, Dariusz Chmura**



ra i wielu innych – jeździli po wioskach starym zielonym moskwiczem i rozklejali plakaty. Organizowane były również spotkania z mieszkańcami okolicznych miejscowości, w których brali udział starzy działacze, m.in.: **J. Krasowski, W. Leśniński, R. Gruś, W. Stróżyk**. Była to wielodniowa ciężka praca, której efektem było zwycięstwo kandydatów Solidarności w naszym powiecie i w całej Polsce.

Przypadek Pomarańczowej Alternatywy pokazuje, że działania artystyczno-zabawowe mogą skłonić młodzieżowe grupy do angażowania się w polityczne sprawy dorosłych. Dzięki temu młodzież mogła również dołożyć swoją cegiełkę do obalenia dyktatury, jaką były rządy komunistów w Polsce.

Władze usiłowały odciągnąć młodych od „Majora” Fydrycha różnymi trikami, między innymi w radiowej „trójce” pojawił się Jerzy Owsiak ze swoim „Towarzystwem Przyjaźni Chińskich Ręczników”, którego hasłem było „Uwolnić słonia”. Młodzi ludzie nie poparli tej idiotycznej inicjatywy, mimo że propagowana była w radiu o ogólnopolskim zasięgu, tym bardziej że poszła fama, że Owsiak jest synem milicjanta (jak się później okazało, była to prawda). Żeby wyśmiać audycję „Jurka”, na murach pojawiło się hasło „Uwolnić słonia, zamknąć Kuronia”.

Wypadek którego nie było

Wiesław Jarmoliński został wezwany przed Kolegium do Spraw i Wykroczeń we Wrocławiu za spowodowanie samochodem służbowym stłuczki na parkingu. Pracował w Spółdzielni Wielobranżowej w Wołowie, czyli mówiąc zwykłym językiem, w kabelkach”, gdzie był przewodniczącym Solidarności. Zakład ten zatrudniał kilkaset osób, w większości kobiety, wykonywano w nim podzespoły wykorzystywane w produkcji elektronicznej. Będąc zaopatrzeniowcem i jednocześnie kierowcą, bywał często we Wrocławiu, podejrzewano więc, że to on dostarcza ulotki do zakładu.

Dlatego też po takich kursach czasem urządzano mu przeszukania samochodu i od czasu do czasu rewizje mieszkania. Był wzywany na przesłuchania na wołowską komendę, gdzie przeprowadzano z nim rozmowy profilaktyczno-informacyjne. Profilaktycznie informowano go, że jeżeli go złapią na przewożeniu „bibuły”, zostanie internowany. Oczywiście były i inne informacje: o tym, że jego dzieci nie dostaną się do szkół, do jakich by chciały, a on po zwolnieniu z pracy nie znajdzie miejsca w żadnym innym zakładzie itp., itd. Ale oprócz kija była również marchewka: gdyby podpisał „lojalkę”, sytuacja może ulec zmianie. A już najlepiej byłoby, gdyby złożył oświadczenie, takie jak doktor Zakrzewski, lub zupełnie zrzekł się przynależności do związku Solidarność. Jednak Wiesław okazał się obojętny na „dobre rady” wołowskiej bezpieki. Na dystrybucji ulotek nie mogli go złapać, a w sprawie członkostwa Solidarności – tłumaczył esbekom – nie można się zrzec przynależności do organizacji, która oficjalnie nie istnieje: przecież w listopadzie 1982 r. została ona zlikwidowana.

Ponieważ ulotki w „kabelkach” nadal się pojawiały, postanowiono zrobić Jarmolińskiemu małe kuku: zrobić go w wypadek samochodowy. Może nie w taki prawdziwy, ale chociaż w stłuczkę, która będzie pretekstem do wytoczenia mu sprawy przed kolegium.

Na pierwszym posiedzeniu Wiesiek dowiedział się więc, że spowodował stłuczkę i uciekł z miejsca wypadku. Jednak oskarżony poprosił o wyjaśnienie, kim jest poszkodowany i dlaczego nie ma go na rozprawie. Wysokie kolegium poinformowało go o wszystkich okolicznościach wypadku, jak również podało informacje o poszkodowanym. Z wyrokiem jednak zaczękano do następnego posiedzenia.

Zjawiwszy się na następnym posiedzeniu kolegium, Wiesiek poinformował wysokie gremium, że pod wskazanym adresem nie mieszka ani nigdy nie mieszkała osoba o takim nazwisku. Po tym oświadczeniu kolegium odroczyło posiedzenie i nigdy go nie wznowiło. SB znowu nie dograło sprawy do końca.

Ponieważ Wiesław starał się o wyjazd do RFN-u, żeby odwiedzić brata, bezpieka postanowiła wykorzystać tę okoliczność i za otrzymanie

paszportu zażądała złożenia relacji po powrocie. Ale i tu nie zdołali namówić go do współpracy.

Pozostaje tylko wyjaśnić, jak dostarczano ulotki do „kabelków” i kto to robił. Otóż sprawa jest banalnie prosta – robili to kurierzy, najczęściej **Wiesiek Leśniański** i **Rysiek Gruś**. Oni z kolei zaopatrywali się w różnych źródłach we Wrocławiu, jeden z takich punktów był przy ulicy Prostej, a prowadziła go **Helena Kanoza**, szwagierka Wieśka. Przywieziona „bibuła” trafiała do kurierów wewnętrznych (m.in. **Józefa Hańczyka**), a oni dostarczali ją na swoje odcinki, bezpośrednio do załogi.

Kusząca propozycja

Pod koniec lat osiemdziesiątych (1988?) **Wiesław Leśniański** dostał wezwanie do Komitetu Powiatowego PZPR w Wołowie. Wiesiek był mieszkańcem Wołowa dopiero od kilku lat, pracę znalazł w Pomocie jako główny energetyk. Jeszcze do niedawna (1987 r.) działał w konspiracyjnej drukarni RW Feniks, a dodatkowo przywoził do Wołowa niezależne wydawnictwa i ulotki z RKS-u, czyli mówiąc po prostu, kolportował „bibułę”. W październiku 1985 był zatrzymany na 48 godzin w miejscowym areszcie milicyjnym, nie żeby zrobić „coś złego”, ale przed wyborami trzeba było profilaktycznie zamknąć kilku oszołomów, o których SB wiedziało, że prawdopodobnie coś tam robią. Spodziewał się więc po PZPR-owskim zaproszeniu czegoś niezbyt przyjemnego. Do partii nigdy nie należał, iść nie musiał, jednak ciekawość zwyciężyła – czego to „towarzysze” mogą od niego chcieć?

Towarzysze czekali na niego we trzech. Pierwszy sekretarz powiatowej PZPR, Sawicki przedstawił swoich kolegów z SD i ZSL i przystąpił do zagajenia. Wiesiek słuchał z coraz większym zdziwieniem o porozumieniu społecznym, zgodzie i zjednoczeniu narodowym itd., itp.

– Więc wicie, rozumiecie, w związku z powyższym proponujemy panu stanowisko naczelnika miasta i gminy w Wołowie”. – Wieśka zamurowało takie zakończenie mowy sekretarza, więc żeby zyskać na czasie, dopytywał się, czy to aby nie pomyłka, czy na pewno wiedzą, z kim rozmawiają. Pan towarzysz twierdzi, że dobrze znają jego przeszłość i wiedzą, co czynią. Po stwierdzeniu przez Wieśka, że nie jest dobrym kandydatem, bo przecież na pewno nie pójdzie na pochód pierwszomajowy ani nie będzie celebrował kolejnej rocznicy rewolucji październikowej, sekretarz zapewnił, że tymi rocznicami to on zajmie się osobiście, a Wiesiek może asystować w obchodach święta Bożego Ciała. Na kolejne obiekcje Wieśka Sawicki oświadczył, że daje mu dwa tygodnie do namysłu i czeka na odpowiedź.

Janek Krasowski i Rysiek Gruś w pierwszej chwili nie uwierzyli w opowieść Wieska. Jednak po kolejnym potwierdzeniu relacji zaczęli rozważać różne warianty przejęcia władzy. Odbył się nawet spotkanie z zaprzyjaźnioną panią radcą prawną. Jednak z tych spekulacji nic nie wyszło, bo Wiesław stanowczo odmówił dalszych układów z wołowską komuną. Nawiasem mówiąc, gdyby propozycję przyjął, uwiarygodniłby lokalnych kacyków wśród ludzi, ta funkcja, jakkolwiek dostojna z nazwy, była podrzędna wobec I sekretarza, a nazwisko zostałoby zeszmacane.

Ciekawa była jednak motywacja wołowskich „towarzyszy”: dlaczego, to w sumie wysokie stanowisko zaproponowano właśnie Leśniańskiemu. Czy zdecydowało to, że miał wyższe wykształcenie (inżynier elektryk), czy może to, że był osobą świeżą na „rynku” wołowskim, nieskompromitowaną ani przynależnością do partii, ani pobytem w więzieniu, jak np. Janek Krasowski, a jednocześnie w jakiś sposób zaangażowaną w działalność przeciwko władzy i dlatego znaną w środowisku opozycyjnym? Trudno rozstrzygnąć bez informacji, jakie właściwie wiadomości na temat Wieska otrzymali oni od wołowskiej bezpieki. Dziś jest to nie do sprawdzenia, bo teczki dotyczące wołowskiej opozycji, między innymi ta o kryptonimie „Jeż”, zostały zniszczone w 1995 roku, czyli już w „wolnej” Polsce!!!

Godzina milicyjna

Po aresztowaniu Piotra Berezy 10 listopada 1982 r. **Krzysiek Gołubowski** został poproszony przez jego żonę, Elżbietę Berezo-
wską o ostrzeżenie jej brata Ryśka Niedzielskiego, żołnierza zawodowego o niebezpieczeństwie rewizji również u niego w mieszkaniu. Podczas rewizji u Berezów SB znalazła dwa granaty dymne. Takie jakie były na wyposażeniu wojska lub milicji, więc niebezpieczeństwo rewizji u szwagra-żołnierza było bardzo realne.

Krzysiek dotarł do wrocławskich Prac, gdzie mieszkali Niedzielscy, późnym wieczorem. Po



Krzysztof Gołubowski, fot. 2015 r.

krótkiej informacyjno-ostrzegawczej rozmowie pożegnał gospodarzy, jednak zaczynała się już godzina milicyjna, a patrol stał kilkadziesiąt metrów od wyjścia z kamienicy. Najgorsze, że był to patrol stacjonarny, bo od płonącego koksownika zomowcom nie chciało się odchodzić. Krzysiek, nie chcąc robić kłopotu Niedzielskim, postanowił czekać do rana na klatce schodowej.

Podjęcie tak trudnej decyzji (spędzenie całej nocy na zimnej klatce schodowej) było spowodowane obawą przed drakońskimi karami za nieprzestrzeganie godziny milicyjnej. W Wołowie wiele osób zostało ukaranych przez kolegium ds. wykroczeń i były to kary niemałe. Znana była historia **Ryszarda Jastrzębskiego** inwalidy (brak prawej ręki), którego za nieprzestrzeganie godziny milicyjnej ukarano grzywną, zamienioną na 14 dni aresztu z powodu braku pieniędzy na jej zapłacenie. Kara aresztu została wykonana i ani kalectwo, ani to, że z jego renty utrzymywana była trójka małych dzieci, bo dochody żony były niewystarczające, nie miały dla wołowskiego kolegium żadnego znaczenia. Jednak eskapada Krzyśka, jakkolwiek ryzykowna i niepozbawiona niedogodności, spowodowała, że aresztowań w rodzinie Niedzielskich nie było.

Pogrzeb ks. prałata Franciszka Bosaka

19 lipca 1984 r. zmarł ksiądz prałat Franciszek Bosak, dziekan dekanatu wołowskiego, duszpasterz i opiekun wołowian. Jego pogrzeb stał się nie tylko wydarzeniem religijnym, ale również w pewnym sensie manifestacją patriotyczną. Można zaryzykować twierdzenie, że była to jedyna taka manifestacja w Wołowie. Pierwszy wieniec, z napisem „W podzięk za wsparcie duchowe – Solidarność”, nieśli Piotr Bereza z Ryszardem Grusiem. Za nimi Danusia Grusiowa z Kazikiem Żakiem i Jankiem Krasowskim nieśli podziękowanie od Dekanalnego Komitetu Charytatywnego, a dopiero za nimi szły inne wieńce.

Dodatkową „przykrością” dla komuny był fakt, że pogrzeb odbywał się 22 lipca, a więc w dzień „święty” dla komuny (ogłoszenie Manifestu PKWN). A cała ludność Wołowa i okolic, zamiast uczestniczyć w imprezach przygotowanych na tą okazję, wzięła udział w pogrzebie księdza. I to księdza niepokornego, bo mimo rozmów przeprowadzanych przez zafrasowaną władzę (SB, MO) nie zmieniał swego postępowania. Pod jego patronatem prężnie działały nie tylko koła modlitewne, ale również Klub Inteligencji Katolickiej (KIK), Dekanalny Komitet Charytatywny (DKCh) i w obu tych organizacjach działali opozycjoniści, a nawet „ekstremiści”, z którymi władza miała wiecz- nie kłopoty. Rzeczą naganną w oczach komunistów była obecność księdza

na sali sądu wojewódzkiego w trakcie procesu grupy sabotażystów wołowskich, z J. Krasowskim na czele. Jednak najbardziej ich bolało, że nie mieli na niego żadnego haka i mimo rozpuszczanych plotek ludzie nadal chodzili do kościoła i dawali na ofiarę. Działalność budowlana księdza Bosaka też była solą w oku komunistycznych ateistów. Bo już trudno, że wybudował kościół w Starym Wołowie, Garwole czy wyremontował kaplice w innych wioskach, ale po co w Wołowie drugi kościół? Tutejsze władze miały za złe tym z góry, że uległy długoletnim zabiegom znienawidzonego „Dziekana” i pozwoliły na przejęcie, remont i reaktywację dawnego kościoła ewangelickiego. A na dodatek ta „indoktrynacja” dzieci i młodzieży,



Ks. prałat Franciszek Bosak
(1913-1984)



R. Gruś i P. Bereza niosą wieniec od Solidarności w kondukcje pogrzebowym ks Franciszka Bosaka. 1984 r.

mimo działań różnych aktywistów organizujących czas wolny młodzieży: w harcerstwie (w pewnych szkołach członkostwo w ZHP było obowiązkowe), w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (TPPR) czy w Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, młodzież i dzieci ciągle chodzą na religię, a w ostatnich latach jakby bardziej zbliżyły się do Kościoła. Towarzysze na swoich zebraniach często zastanawiali się, jak odwrócić ten trend. Teraz, po śmierci Dziekana, byli pełni nadziei, że następny proboszcz będzie bardziej ugodowy. Parafianie Wołowa inaczej postrzegali to wydarzenie, oni żegnali swego księdza Dziekana i było im obojętne, co myślą „towarzysze”. Był to taki czas, że im gorzej komuniści o kimś mówili, tym bardziej ten ktoś zyskiwał w oczach zwykłych ludzi.

Już w miesiąc po pogrzebie księdza Bosaka w reaktywowanym przez niego kościele św. Wawrzyńca zorganizowano poświęconą mu wystawę. I znów bezpieka była niezadowolona, bo w organizację zaangażowali się wołowscy solidarnościowi „ekstremiści” i „kryminaliści”.

Dруга strona barykady

Gdy jedna strona knuła przeciw komunie i marzyła o wolnej Polsce, po drugiej stronie byli obrońcy status quo. Praktycznie większa część aparatu państwa pracowała na rzecz obrony tego, co nazywano socjalizmem, bo jak wyraził się Jaruzelski w słynnym przemówieniu 13 grudnia, „od socjalizmu nie ma odwrotu”. Urzędy państwowe musiały więc realizować linię partii, choćby najbardziej absurdalną. Natomiast dla służb siłowych, takich jak wojsko i milicja, obrona socjalizmu była przykazaniem jedynym i bezwzględnie najważniejszym.

Do dyspozycji mieli wszystkie możliwe instrumenty i środki, poczynszy od kodeksu karnego, a skończywszy na czołgach. Dysproporcja sił była powalająca, bo co takiej sile mogła przeciwstawić strona solidarnościowa – marnej jakości ulotki?

Przy tym dziewięćdziesiąt procent działaczy było namierzonych i Wołów był tego doskonałym przykładem. Rozpracowaniem w głównej mierze zajmowała się oczywiście SB, ale do swojej dyspozycji miała i milicję, i ormowców.

ORMO – Ochotnicze Rezerwy Milicji Obywatelskiej – kwaterę główną miały w bokówce ratusza, za kioskiem Ruchu. Kadry tej organizacji składały się z różnego elementu, raczej słabo wykształconego (inżynierów, magistrów raczej tam nie uświadczyłeś, a i posiadających maturę było tam jak na lekarstwo). Nie będę wnikał, co skłoniło tych ludzi do wstąpienia w szeregi tej pogardzanej przez ogół organizacji. Zapewne w każdym przypadku decydowały inne argumenty, lecz pragnienie władzy i chęć wejścia na wyższy szczebelek, by stać ponad

innymi, na pewno nie była bez znaczenia. O „szacunku”, jakim społeczeństwo darzyło ormowców, niech opowie jeden z kawałów z tamtego czasu.

Ormowiec przybiega do milicyjnego patrolu i melduje, że za rogiem jakiś facet miesza glinę z gównem, twierdząc, że będzie rzeźbił milicjanta. Milicjanci postanawiają interweniować. Podchodzą i pytają „rzeźbiarza”, czy to prawda, że z tego „amalgamatu” powstanie milicjant. Zagadnięty odpowiada, że miał taki zamiar, ale że dodał więcej gówna, więc ulepi ormowca.

Członkowie tej organizacji mieli czynny udział w zbieraniu materiałów obciążających wołowskich działaczy. Najbardziej spektakularne były „występy” ormowców ze Starego Wołowa, którzy inwigilowali rodzinę Krasowskich i tak się rozzuchwalili, że w końcu olbrzymim kamieniem rozwalili okno w ich mieszkaniu.

Ormowców można podzielić na jawnych i tajnych. Ci drudzy byli bardziej niebezpieczni, bo nie ujawniając swojej przynależności, mogli wnikać niepostrzeżenie w różne środowiska i przekazać swoje spostrzeżenia MO lub bezpiece. Pełnili więc de facto rolę TW (tajnych współpracowników).

Milicjantów, wyjąwszy naszprycowanych zomowców, można podzielić na służbistów i takich, co wykonując rozkazy, mieli na uwadze, że ludzie z Solidarności nie są żadnymi przestępcami. Wśród tych drugich trafiali się uczciwi ludzie, którzy wbrew rozkazom potrafili pomóc działaczowi. Oczywiście trafiali się niezmiernie rzadko, ale jednak byli tacy. Władysław Białowas w swoich relacjach wspomina o dzielnicowym z Lubiąża, Janie Poślednickim, który takim milicjantem właśnie był.

Esbecy – królowie życia. Ci wołowscy wpatrzeni byli w filmowego bohatera „07 zgłoś się” niejakiego porucznika Borewicza. Żywcem przenieśli do realu nie tylko sposób ubierania się i zachowania, ale i cechy, które według nich czyniły go milicyjnym supermanem: cwaniactwo, arogancję, bezczelność i nonszalancję. Można powiedzieć, że każdy z nich powielał w jakimś zakresie tego bohatera. Znacznie lepiej wykształceni niż siermiężni ormowcy, a nawet niż szeregowi milicjanci, mieli dyplomy podoficerskich szkół milicyjnych lub nawet oficerskich. Dawało to podstawy do odpowiednich poborów – na to nie mogli narzekać. Czego jak czego, ale pieniędzy państwo ludowe im nie żałowało.

Jednak kształcenie w milicyjnych szkołkach pozostawiało pewne braki, które w różnych sytuacjach dawały o sobie znać. Na przykład w trakcie rewizji u nauczycielek Rafaeli Szulc i jej córki Joanny książka G. Orwella „Folwark Zwierzęcy” potraktowana została przez esbeka jako... podręcznik rolniczy.

Jednak to z nimi mieliśmy najwięcej kontaktów. To oni w trakcie rewizji rekwirowali książki, zdjęcia, odbierali notatki, rysunki, płyty, taśmy, znaczki, przypinki itd., czyli w zasadzie wszystko, co mogło budzić jakieś

skojarzenia z Solidarnością. Ich łupem padały nawet rzeczy legalnie wydane przed stanem wojennym.

Śledzenie, podsłuchiwanie i podglądanie było naturalnym zajęciem bezpieki. Stosowano inwigilację z ukrycia, ale czasem, dla zastraszenia delikwenta – również jawną, demonstracyjną. Poddana jej osoba czuła się osaczona i o to im chodziło (np. Jurek Masalski przewodniczący „S” ZMiCH-u, który popełnił samobójstwo).

Przesłuchania były ukoronowaniem pracy esbeka. Dobry śledczy nie musiał uganiać się za „obiektem” po mieście, siedzieć godzinami w aucie pod jego mieszkaniem ani brudzić rąk podczas rewizji. Jego praca była umysłowa, chyba że potrzebował pomocy kogoś fizycznego.

W takim przypadku zatrudniał jakiegokolwiek esbeka, a nawet prostego zomowca z pałką, aby potem stać się dobrym wujkiem, powiernikiem i w rezultacie spowiednikiem.

Znani byli wśród działaczy podziemia słynni śledczy, np. kapitan Bodnar z Wrocławia, o którym wspomina w książce „Dał mi to los” dolnobrzeski działacz **Henryk Strzyż**. Czy w Wołowie byli skuteczni śledczy? Trudno powiedzieć, chyba najbardziej znany był Wrona, ale pewnie z racji nazwiska. Pewne jest to, że wszyscy próbowali swych sił w tej dyscyplinie, ale najlepiej pracowało im się w duetach, tercetach, a czasem, kiedy „zawodnik” był trudny, nawet w kwartetach. Jednak z najważniejszymi wołowskimi „ekstremistami” rozmawiał sam szef, kapitan Krzysztofiak.

Wołowscy esbecy traktowali swoich przeciwników z „S” jako zło konieczne. Przecież przez tych „ekstremistów” szef gonił ich do roboty, szczególnie kiedy pojawiały się ulotki, plakaty czy inne widoczne ślady ich działań. Każdy chce mieć w pracy święty spokój, oni też. Jednak w trakcie przesłuchań wychodziło przysłowiowe szydło z worka, czyli bezmiar pogardy dla „solidaruchów” i tak często okazywana wyższość nad nimi. Powiedzonka w rodzaju „zgnoiimy ci rodzinę” do Ziętka, albo „takich jak ty powinno się zapakowanych w worki powrzucać do Odry” do Ryczka, świadczą dobitnie, kim dla nich byliśmy.

Jednak bez tak gnębionych przez nich wywrotowców nie żyliby w wolnym kraju i nie pobieraliby sowitych emerytur przez dwadzieścia z górą lat. Bo wychodzi na to, że to te pogardzane „solidaruchy” wywalczyły im przywileje, sami zostając często na głodowych zasiłkach.

Ustawa sejmowa z 16 grudnia 2016 r., tzw. dezubekizacyjna, zrównująca ich emerytury do średniej krajowej (2050 zł), jest oczywiście krokiem w stronę sprawiedliwości, jednak powinien zostać zrobiony drugi krok, żeby gnębionym i pogardzanym „solidaruchom” emerytury zrównać chociaż ze średnią ubecką.

Próba rehabilitacji

Już po wyborach w 1990 r., gdy przewodniczącym rady miejskiej został Janek Krasowski, a sama rada składała się w dużej części z byłych opozycjonistów. Te właśnie osoby dostały zaproszenie do komendy, już wtedy, Policji. Podjęto ich herbatą i pączkami i mimo zmiany nazwy wczorajsi opozycjoniści zobaczyli przed sobą tych samych esbeków i milicjantów, dziś już policjantów, którzy jeszcze niedawno zamykali ich w tutejszym areszcie lub urządzali im przesłuchania i rewizje.

Komendant wygłosił przemówienie, w którym dużo było o nowym otwarciu w kraju i nowych porządkach w policji, że już teraz znowu jesteśmy „braćmi”, bo przecież tworzymy jedną wspólnotę itd., itp. Ogólnie, żeby się na nich nie gniewać, bo przecież takie mieli rozkazy. Funkcjonariusze mieli przygotowane czarne worki foliowe, w których były materiały zabrane w rewizjach, i ustawili je przy krzesłach byłych opozycjonistów. Do worków przypięte były kartki z nazwiskami właścicieli tych rzeczy.

Na pytanie, co z teczkami założonymi opozycjonistom przez SB, w których zbierano donosy i inne materiały przeciwko nim, komendant stwierdził, że zostały odesłane do Wrocławia, więc tutejsza policja już korzystać z nich nie będzie. Niektórzy funkcjonariusze byłej SB pospuszczali głowy, gdy Kazik Żak stwierdził, że widzi wśród nich tych, co go przesłuchiwali, i wcale nie były to przyjemne przesłuchania. Jednak Janek Krasowski załagodził sprawę, bo przecież rada miejska i policja państwowa muszą ze sobą współpracować. Jego przemowa była więc utrzymana w tonie koncyliacyjno-polubownym. Takim akcentem zakończył się okres ścigania, śledzenia, rewidowania i pozbawiania wolności byłych opozycjonistów przez byłych esbeków i milicjantów. Pierwsi z nich przestali być opozycjonistami, a drudzy przestali być milicjantami. Skończyła się pewna epoka, tylko czy na pewno?

Relacje działaczy spisał Stanisław Ryczek.

Kolce na ulicach Wołowa

Andrzej Manasterski

Geneza akcji podziemnej „Solidarności” w Wołowie z 10 listopada 1982 roku sięga kilku miesięcy wcześniej, do przełomu sierpnia i września. Działacze podziemia analizowali demonstracje z 31 sierpnia 1982 r. Były to największe i najbardziej tragiczne wydarzenia od wprowadzenia stanu wojennego w 1981 r. Szczególnym echem odbiły się demonstracje we Wrocławiu, gdzie został zastrzelony Kazimierz Michalczyk. Pobi-



Kolec

to też wówczas Tadeusza Woźniaka. Mieszkaniec Wałów zmarł 1 września, pochowany został na cmentarzu w Brzegu Dolnym. W Lubinie śmiertelnie postrzelono Michała Adamowicza, Andrzeja Trajkowskiego i Mieczysława Poźniaka z Orzeszkowa.

Opozycyjna „Solidarność”

Na spotkaniu wołowskich działaczy podziemnej „Solidarności”, które odbyło się w mieszkaniu państwa **Niedzielskich**, uczestniczyli: **Wiesław Fiszer**, **Ryszard Gruś**, **Ferdynand Kaduszkiewicz**, **Władysław Białowas** i **Jan Krasowski** (zm. w 2003 r.). Zastanawiano się, w jaki sposób można dokonać akcji protestacyjnej w Wołowie, by dać świadectwo obecności podziemnej „Solidarności”.

Po 13 grudnia 1981 r. działania protestacyjne „Solidarności” odbywały się w warunkach szczególnie trudnych. Prowadzone były z reguły w większych miastach i dużych zakładach pracy. W mniejszych ośrodkach, gdzie trudniej było o anonimowość, ograniczano się do kolportażu prasy podziemnej, malowaniu symboli, zbieraniu składek związkowych wśród zaufanych osób itd. Podobnie rzecz się miała w Wołowie. W takich akcjach brali udział także uczestnicy wydarzeń z 10 listopada 1982 r. **Piotr Bereza** malował symbole

Polski Walczącej na ścianach budynków, razem z **Wiesławem Krawcem** (zm. w 2006 r.) i **Stanisławem Ryczkiem** rozklejał ulotki „Solidarności”. 31 października na starym cmentarzu, nieopodal komisariatu Milicji Obywatelskiej w Wołowie opozycjoniści ustawili krzyż (wykonany w POM-ie) upamiętniający ofiary stanu wojennego. **Ferdynand Kaduszkiewicz** i **Jan Krasowski** pomagali w tym ostatnim przedsięwzięciu, dostarczając potrzebne materiały. Sami zresztą także zajmowali się, podobnie jak **Ryszard Gruś**, drukowaniem i rozprowadzaniem podziemnej prasy. Działania prowadzone były ostrożnie ze względu na brak anonimowości w małym mieście. Dodatkowym utrudnieniem byli miejscowi ormowcy, którzy pełniąc społeczną funkcję pomocy dla milicji, szczególnie uważnie obserwowali poczynania działaczy „Solidarności”.



Hasła odbijane stemplem przez P. Berezę i W. Krawca w 1982 r.

Wołowska rzecz listopadowa

Zgodnie z apelami władz związku, w dniach 9 i 10 listopada 1982 r. miały się odbyć w całej Polsce demonstracje uliczne oraz strajki w zakładach pracy. Planujący akcje wołowscy działacze: **W. Fiszer**, **F. Kaduszkiewicz**, **R. Gruś**, **W. Białowas** i **J. Krasowski**, wykluczyli uliczną demonstrację. W lokalnych, wołowskich warunkach nie miała szans powodzenia. Szukano więc innych form protestu. Powstał pomysł zawieszenia flag „Solidarności” na kominie kotłowni szpitala w Lubiążu i starej gorzelni w Wołowie. Brano również pod uwagę zawieszenie flag na ratuszu oraz na kościele pw. Św. Wawrzyńca.

Druga część akcji, zaproponowana przez **J. Krasowskiego**, polegała na ułożeniu w kilku punktach miasta kołców, wykonanych ze spawanych drutów. Celem było zablokowanie dróg wyjazdowych z miasta, szczególnie w kierunku Lubina, by utrudnić dowóz do pracy kilkudziesięciu pracowników

Zagłębia Miedziowego. Była to akcja skoordynowana ze strajkiem w Zagłębiu, gdzie górnicy nocnej zmiany mieli rozpocząć strajk okupacyjny. Ustalono, że około 500 kolców wystarczy do przeprowadzenia całej akcji. Pod koniec października **J. Krasowski** poprosił **Antoniego Opackiego**, przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Państwowego Ośrodka Maszynowego w Starym Wołowie, o wykonanie kolców oraz krzyża. Z kolei **Opacki** zlecił wykonanie kolców **Edwardowi Ziętkowi**. Przewodniczący Komisji Rewizyjnej NSZZ „Solidarność” w POM wykonał je razem z **Bronisławem Aleksiewiczem**, **Ryszardem Jańczakiem** i **Stanisławem Kwietniem**. Aby ukryć prawdziwy cel użycia kolców, mówiono, że są to elementy do ogrodzenia grobowca na cmentarzu.

Kolce już gotowe

Około 4 listopada **E. Ziętek** odebrał około 200 gotowych kolców i ukrył je w pobliżu swego domu w Uskorze Małym. Około 8 listopada w kolejnym spotkaniu **P. Berezy** i **J. Krasowskiego** brał udział także **W. Krawiec**. Wówczas ostatecznie ustalono miejsce i sposób wywieszenia flag oraz opracowano akcję rozłożenia kolców. Bereza zaproponował Krawcowi udział w obu akcjach. Tego dnia podobną propozycję przedstawił **S. Ryczkowi**, członkowi NSZZ „Solidarność”. Ryczek miał brać udział jedynie w akcji rozłożenia kolców. Obaj wyrazili zgodę. Bereza przewiózł z Uskorza Małego kolce i ukrył je w pojemniku na śmieci koło domu Ryczka. Następnego dnia Ryczek przewiózł ich część w pobliże bazy PKS, a część ukrył w rowie naprzeciwko wołowskiego zamku (obecny budynek Starostwa). Wywieszanie flag rozpoczęło się 9 listopada po południu (w Wołowie – Bereza z pomocą Krawca).

Około godziny trzeciej w nocy Krawiec i Bereza spotkali się z Ryczkiem nieopodal bazy PKS przy ul. Ścinawskiej, prowadzącej w kierunku Lubina. Kolce układano tylko po prawej stronie jezdni, w miejscach, w których samochody musiały zwalniać ze względu na uszkodzenia jezdni lub przy wyjazdach. Pojazdy nie mogły mieć wówczas dużej prędkości, co dawało pewność, że nie dojdzie do poważnych wypadków drogowych. Po ułożeniu kolców na ul. Ścinawskiej związkowcy przeszli na ul. Polną i Magazynową, gdzie także zostały rozłożone zapory. Potem Bereza poszedł do domu, a Krawiec z Ryczkiem ułożyli kolejne zapory na ulicach Kościuszki i Leśnej. Wracając do centrum, roztali się koło przejazdu kolejowego. Ryczek wyrzucił pustą siatkę na posesję tartaku. Następnie przeszedł na ul. Trzebnicką i tam rozłożył kolejną zaporę, wykorzystując partię kolców ukrytą koło kuźni rodziny **Borzyńskich**.

Zatrzymania uczestników

Pech chciał, że jadący samochodem z mleczarni ormowiec rozpoznał wracającego z akcji W. Krawca w pobliżu miejsca rozłożenia kolców. Fakt przebitych w samochodzie opon skojarzono ze związkowcem i już około godziny szóstej rano Krawiec został zatrzymany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Po nim zatrzymano także P. Berezę, J. Krasowskiego i S. Ryczka. W przypadku tego ostatniego esbecy sami nie wiedzieli, czy brał udział w akcji. Przeszukali jego dom i znaleźli jakieś pojedyncze plakaty i ulotki, ale żadnych dowodów uczestnictwa w akcji. Znaleziono też stary rewolwer, destrukta (uszkodzona trwale broń, najczęściej pochodząca z wykopalisk – przyp. AM), wykopany w ogrodzie przez kuzyna Ryczka. Rewolwer oddano do zbadania i okazało się, że nie jest sprawny. Nigdy go już Ryczkowi nie oddano. Mimo braku dowodów Ryczek również został zatrzymany. Już tego samego dnia w Wołowie zatrzymanych przesłuchiwali funkcjonariusze SB: **Sabat, Wrona, Olejnik, Sęk** oraz kapitan **Krzysztofiak**. Jak wyglądały przesłuchania? Tradycyjnie. Zatrzymanych straszono, stosowano metodę „dobrego i złego ubeka” oraz krzyżowych pytań.

Na dalsze przesłuchania mieszkańców Wołowa przewieziono następnego dnia do Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu. Tu zatrzymanych bito. S. Ryczek został kilkakrotnie uderzony w twarz przez nieznanego funkcjonariusza, w obecności esbeka Sabata, który na bicie nie reagował. Najbardziej pobity został P. Bereza. Bito go pałąk po nogach i pięścią po głowie. W ten sposób chciano wymóc na przesłuchanych, by przyznali się do winy i wydali wszystkich uczestników akcji. Najprawdopodobniej W. Krawiec najwcześniej przyznał się do uczestnictwa w akcji, już podczas pierwszego przesłuchania w Wołowie. Jak mówił w rozmowie z Ryczkiem we Wrocławiu, bał się bicia. Pozostali zatrzymani, wobec oczywistych dowodów i zeznań świadków, także się przyznali podczas kolejnych przesłuchań. Jedynie J. Krasowski nie przyznał się w śledztwie do zarzucanych czynów.

Wszyscy zostali internowani, a po około trzech tygodniach tymczasowo aresztowani. Krawiec został tymczasowo aresztowany 30 listopada, Bereza 1 grudnia, Ryczek 2 grudnia, Krasowski 8 grudnia, A. Opacki i E. Ziętek 9 grudnia 1982 r. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia zostali przeniesieni do Aresztu Śledczego przy ul. Świebódzkiej. Prokurator z Prokuratury Rejonowej **W. Kubiński** w akcie oskarżenia z 20 stycznia 1983 r. domagał się wobec wszystkich aresztowanych trybu doraźnego rozpatrywania sprawy, stosując art. 220 kodeksu karnego. Wobec A. Opackiego i E. Ziętka prokurator domagał się przepadku mienia, tj. gospodarstw rolnych, stanowiących ich własność.

Działania prokuratury

Wspomniany „tryb doraźny” został wprowadzony na mocy obowiązkiwania stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Wprawdzie stan wojenny został zwieszony 31 grudnia 1982 r., ale jego przepisy nadal stosowano. Tryb doraźny powodował, że oskarżony otrzymywał „na dzień dobry” minimum 3 lata więzienia, bez prawa zawieszenia kary. Oskarżonym z Wołowa groziły kary z przepisów o sabotaż, co mogło zakończyć się wyrokami nawet do 10 lat więzienia. Prokurator Kubiński, znany z prowadzenia innych spraw politycznych w latach 80., szczegółowo wymieniał w akcie oskarżenia szkody powstałe w wyniku akcji. Opony zostały przebite w autobusach wiozących pracowników do Zagłębia Miedziowego, w wyniku czego „górnicy zjechali do pracy z 1,5-godzinny opóźnieniem, co spowodowało zmniejszenie wydobywania rudy o 500 ton (wartości 1 161 000 zł). Także pozostałe kursy PKS miały opóźnienia, co, jak wyliczono, przyniosło straty 27 599 zł. Uszkodzono także ogumienia w samochodach dostawczych PTHW, Spółdzielni Mleczarskiej, PGR Wołów, STW”. Wyjątkowego pecha miał kierowca z Krzydliny Wielkiej, **Ryszard Wasilewski**, dojeżdżający do pracy w Brzegu Dolnym, gdzie rozwoził pieczywo z miejscowej piekarni do sklepów i zakładów Organika-Rokita w Brzegu Dolnym. W pobliżu ul. Wiśniowej przebił na kolcach cztery opony samochodu „star 29” (tkwiło w nich osiem kolców). Chcąc dojechać do Brzegu Dolnego, przesiadł się do samochodu marki „robur”, w którym, po przejechaniu około 500 metrów od bazy PTHW przebił jedną oponę. Po zmianie koła ponownie wyjechał na trasę do Brzegu Dolnego, jednak i tym razem przebił wszystkie opony, co uniemożliwiło dalszą jazdę i wykonanie pracy.

Proces we Wrocławiu

Na przełomie stycznia i lutego rozpoczął się proces sądowy, prowadzony przez Sąd Wojewódzki we Wrocławiu III Wydział Karny. Na uwagę zasługują obrońcy, znani z procesów politycznych w tamtym czasie. P. Berezę bronili **E. Wawrykowicz** i **J. Przegoń**, W. Krawca – **A. Lubczyńska**, S. Ryczka – **W. Mielcarz**, J. Krasowskiego – **J. Przegoń**, A. Opackiego – **D. Derkowska**, E. Ziętka – **J. Ładomirska**. To w zasadniczej mierze dzięki ich obronie aresztowanych sądzono według trybu normalnego. W składzie sędziowskim zasiadali: przewodniczący **L. Kowalska** oraz sędziowie **J. Schulz** i **A. Ciastoń**. Skład sędziowski także był znany z ówczesnych procesów politycznych. Szczególnie dotyczyło to sędziego Ciastonia, jednego z członków tak zwanych brygad tygrysa, jak określano „zasłużonych” dla wyroków ferowanych w stanie wojennym wobec działaczy „Solidarności”. On jeden miał odrębne zdanie podczas przyjętego postępowania, domagając się zastosowania trybu doraźnego.

Wyrok zapadł 4 lutego 1983 r. Krasowski, któremu dopiero podczas procesu udowodniono udział w akcji, został skazany na 2 lata więzienia, Bereza na 1 rok i 6 miesięcy, Krawiec, Ryczek, Opacki i Ziętek – na 1 rok więzienia. W poczet grzywny w wysokości 30 tysięcy zasądzonej dla każdego z oskarżonych zaliczono areszt. Wszyscy otrzymali zawieszenie wykonania wyroku na 3 lata. W uzasadnieniu wyroku można przeczytać: „należy podkreślić godną podziwu – z moralnego punktu widzenia – postawę oskarżonego Berezy, który na rozprawie wziął na siebie część zawinienia Krasowskiego... Ponadto sąd uwzględnił dotychczasową niekaralność wszystkich oskarżonych... i ich dobre opinie zawodowe i środowiskowe, jak również co do oskarżonych: Ziętka, że ma ośmioro dzieci na utrzymaniu i zaręczył za niego miejscowy PRON, co do Opackiego, że ma 3 dzieci na utrzymaniu w w. 9-13 lat, ręczyli za niego miejscowy PRON, sekretarz POP w Jakubowicach, Stronnictwo Ludowe i instruktor rolny, a co do osk. Krasowskiego, iż jest inwalidą III grupy ... oraz poręczyli za niego pracownicy szkoły w Wołowie” (pisownia oryginalna – przyp. AM). Warto w tym miejscu zaznaczyć, że zasądzenie łagodnego wyroku przez sędzię L. Kowską było początkiem końca jej kariery sędziowskiej. Wkrótce potem została odwołana i przeniesiona na emeryturę.

Wyjście na wolność

Jeszcze tego samego dnia wszyscy aresztowani opuścili więzienne mury. Nie był to jednak koniec ich zmagania z władzą ludową. Wszyscy byli „na świeczniku”, pod specjalną obserwacją wołowskiego SB. Wszystkim grożono utratą pracy. W dokumentach Instytutu Pamięci Narodowej znajduje sięteczka osobowa S. Ryczka, z adnotacją sporządzoną przez: inspektora **Wiesława Golczyńskiego** i **Andrzeja Kausa**, funkcjonariuszy SB (KE „Stefan”, 1988 r.): „Wymieniany w przeszłości był internowany i skazany za nielegalną działalność. Aktualnie według danych operacyjnych w dalszym ciągu utrzymuje kontakty z działaczami podziemnych struktur i przy sprzyjających warunkach może podjąć nielegalną działalność”. I w tym wołowscy esbecy mieli rację. S. Ryczek nie zaprzestał działalności, podobnie jak pozostali, związani z listopadową akcją. To już jednak inne historie.

Andrzej Manasterski

Tekst opublikowany w portalu internetowym „Pierwszy z Brzegu” w 2016 r.

Warto było podjąć trud walki

Moją pracę w podziemiu można podzielić na dwa etapy – do aresztowania i po aresztowaniu. W pierwszym okresie największe moje dokonanie to zawieszenie flagi „Solidarności” na kominie wołowskiej gorzelni, a w okresie Wszystkich Świętych wkopanie krzyża (upamiętniającego ofiary stanu wojennego) na cmentarzu. Po kilku dniach krzyż został usunięty. Aresztowanie mnie i kilku innych osób związane było z akcją 10 listopada. Akcja, która była skoordynowana ze strajkiem w kopalniach lubińskich, miała na celu opóźnienie dojazdu do kopalń górników z Wołowa poprzez rozrzućenie kołców przy zajezdni PKS i na trasie autobusów. Chcieliśmy w ten sposób zaprotestować przeciwko stanowi wojennemu. Czy była to akcja rozsądna, dzisiaj można się na ten temat sprzeczać. Czasy były wtedy nienormalne, trudno dzisiaj oddać atmosferę tamtych dni. To władza do nas strzelała, biła pałkami. Nasza akcja nie wyrządziła nikomu krzywdy. Później było zatrzymanie, internowanie, aresztowanie, wyrok, odwołanie prokuratora od wyroku (do Sądu Najwyższego) i amnestia.



Piotr Bereza z synem Tomkiem

Z tego okresu ze wzruszeniem wspominam pełną salę w czasie rozpraw i bardzo życzliwą atmosferę. Ludziom tym przewodził śp. ks. Bosak. Po wyjściu z kryminału zajmowaliśmy się tworzeniem komitetu charytatywnego. Dużą manifestacją polityczną w tym okresie był pogrzeb ks. Bosaka. Na pogrzebie oddaliśmy hołd człowiekowi, który nas wspomagał, był naszym opiekunem duchowym. W kondukcie pogrzebowym nieśliśmy wieńce od nielegalnej wtedy „Solidarności”, które zaraz po pogrzebie ktoś skwapliwie usunął z grobu.



Trwać



Starosta Maciej Nejman z odznaczonymi: ks. Eugeniuszem Kuźmikiem i Piotrem Berezą

Pod koniec lat osiemdziesiątych ponownie zająłem się pracą konspiracyjną. Druk, kolportaż. W 1987 współtworzyłem pismo regionalne RKS – „Echo Terenu”. Współdziałałem z Solidarnością Walczącą. Z tego okresu wspominał miłe młodych i odważnych ludzi. (...) W Komitecie Obywatelskim nie działałem. (...)

Warto było podjąć trud walki z reżimem komunistycznym. Ogólnie rzecz ujmując, tych dziesięć lat wyrzeczeń i ofiar spowodowało, że powoli wybrnęliśmy z beznadziejnego marazmu. Obecny stan może nam dać prawdziwą wolność. Znaczy to, że nie ma jeszcze końca walki. Bez roku 1980 i 1981, bez roku 1989, bez ofiar „Wujka”, Lubina, bez tragicznej śmierci ks. Popiełuszki i wielu innych nie byłoby żadnych szans na lepszą przyszłość.

Piotr Bereza

Fragment wywiadu w „Wiadomościach” 17/96

Historia jednego zdjęcia

*W wydarzeniach lubińskich 31 sierpnia 1982 r. śmierć ponieśli: Michał Adamowicz, Andrzej Trajkowski i Mieczysław Poźniak. Poniżej wspomnienie **Piotra Berez**y, wołowskiego działacza „Solidarności” w latach 80.*

Działo się to 25 lutego 1984 roku. Pamiętam tę datę bardzo dokładnie, 4 lutego wyszedłem z kryminału po ostatniej rozprawie w sądzie. Ja i wszyscy moi koledzy dostaliśmy wyroki w zawieszeniu i wtedy okazało się, że moje zdrowie w więzieniu troszkę się pogorszyło i w związku z tym muszę iść do szpitala. Leżałem na chirurgii w szpitalu w Brzegu Dolnym, stwierdzono, że muszę być operowany. Poznałem tam kilku bardzo ciekawych ludzi, a między innymi panią Poźniak. Była to matka chłopaka zabitego w Lubinie. W sierpniu 1982 roku na ulicach Lubina była wielka manifestacja. Milicjanci strzelali do ludzi. Zabito trzech, a rannych były dziesiątki. Wielu aresztowanych w tym czasie spotykałem później w więzieniu.

Pani Poźniak wiedziała, że wyszedłem z więzienia. Bardzo trudno było z nią rozmawiać, ponieważ rana w jej sercu była zbyt świeża i zbyt bolesna. Kobieta ta przez wszystkie swoje nieszczęścia straciła zdrowie. Jej syn nie



Fot. Krzysztof Raczkowiak

brał udziału w tej manifestacji. Akurat wyszedł z pracy, stał na przystanku trzymając w ręku bukiet kwiatów – dla jego mamy lub narzeczonej. Stojąc tam, dostał serię z automatu. Prawdopodobnie snajper strzelał z dachu budynku, który stał niedaleko. Marynarkę, w którą był ubrany, Poźniakowie przechowywali w domu jak relikwie, były tam na plecach dwa albo trzy ślady po kulach. Później był pogrzeb tego chłopaka, na który przyjechała



Grób w Orzeszkowie, fot. St. Ryczek, 2017 r.

cała „Solidarność” Zagłębia Miedziowego, przyjechali również nasi przedstawiciele z Wołowa. Na tabliczce na grobie było napisane, że zginął z rąk Milicji Obywatelskiej. W nocy nieznani sprawcy podpalili ten grób. Wcześniej Służba Bezpieczeństwa przyjeżdżała do rodziców Poźniaka, nakazując zdjęcie tej tabliczki. Oni jednak uparli się i tego nie zrobili. Poźniakowie nigdy nie mieli nic wspólnego z „Solidarnością” ani z podziemiem.

Pani Poźniak leżała na internie, a ja na chirurgii, gdzie zostałem operowany.

Poznałem wtedy Krzysia Dukietę, który w tej chwili jest wziętym doktorem w Niemczech. Za działalność podziemną w Niezależnym, Zrzeszeniu Studentów został wyrzucony z Akademii Medycznej we Wrocławiu. Chciał zostać lekarzem, ale wyrzucono go na drugim roku i nie udało się. Aby nie tracić kontaktu z medycyną, pracował jako salowy. Wpadał do mnie od czasu do czasu, wymienialiśmy się ulotkami, czyli tzw. bibułą Pewnego dnia przyszedł do mnie i powiedział, że dzisiaj urywa się wcześniej, bo z „Solidarności” „Rokity” dostał zdjęcie. Mówił, że jest to takie zdjęcie, które musi pokazać w kilku miejscach. Trzeba mieć na uwadze to, że wtedy nie było żadnych kserokopiarek, telefonów komórkowych ani komputerów. Zrobienie takiego zdjęcia groziło pobiciem, zdemolowaniem mieszkania w czasie rewizji i otrzymaniem wyroku w sądzie.

Było to zdjęcie przypominające dzisiejszą widokówkę, składające się z czterech części. Pierwsza część przedstawiała idących ulicą manifestantów z flagami „Solidarności” i narodowymi. Druga przedstawiała kolumnę zakratowanych samochodów milicyjnych. Trzecia część ukazywała pięciu lub sześciu ludzi po cywilnemu, którzy strzelali z pistoletów, było widać dym i zamieszanie. Czwarte zdjęcie jest dosyć popularne i często pokazywane w gazetach,

telewizji. Czterech chłopaków niesie za ręce i nogi zabitego piątego, a szósty biegnie z flagą narodową. To wszystko działo się mniej więcej przy kościele w Lubinie. Było to prawdopodobnie jedyne zdjęcie na terenie powiatu wołowskiego, które Krzysz musiał oddać na drugi dzień.

Wpadłem na pomysł, że skoro jest tu pani Poźniak, której zabito syna, może chciałaby zobaczyć to zdjęcie. Poszedłem do niej, na internę i zapytałem jak najdelikatniej potrafiłem, czy widziała to zdjęcie i czy chciałaby zobaczyć. Powiedziała, że nigdy takich fotografii nie widziała, ale rozmawiała ze świadkami tych wydarzeń i wielu opowiadało, jak to było naprawdę. O tym, jak tych ludzi zabijano, jak strzelano do nich z budynków.

Poprosiłem Krzysia, aby dał mi to zdjęcie, i poszedłem z nim do pani Poźniak. Akurat tak trafiłem, że przebywała w świetlicy, gdzie oglądano telewizję. Podeszedłem i dałem jej to zdjęcie. Było wtedy troszkę ciemno. Pani Poźniak podeszła do okna, popatrzyła na nie i po prostu zamarła. Wszyscy spojrzeli na nią, a ona wciąż stała, wpatrując się w to zdjęcie. Do dzisiaj, jak sobie przypominam ten moment, mam ciarki na plecach. Jest to jedno z moich największych przeżyć. Bardzo trudno jest opowiedzieć o wyrazie twarzy matki, która straciła syna i ujrzała takie zdjęcie.

Wpakowaliśmy się z Krzysiem w duże kłopoty, bo to zdjęcie jednak musiał oddać, a nie było takiego odważnego, który poszedłby do pani Poźniak i poprosił, by je oddała. Po prostu uznała, że to zdjęcie do niej należy. Jak długo leżała w tym szpitalu, to tę fotografię zawsze miała przy sobie. W szlafroku, w kieszeni, z której nawet nie wyjmowała ręki. Jeśli zdarzyło się jej wyjąć, to tylko razem z tym zdjęciem.

To kolejna, po prezentowanym na łamach „PzB” Tadeuszu Woźniaku z Wałów, ofiara stanu wojennego, niemająca nic wspólnego z podziemną „Solidarnością”. Ile takich ofiar było? Zapewne znacznie więcej. I ich liczby będą rosły w miarę odkrywania nowych faktów, świadków, dokumentów.

Opracował Andrzej Manasterski

Tekst publikowany w portalu internetowym „Pierwszy z Brzegu” w 2016 r.

Kilka słów do wspomnień Piotra Berezy

Wspomnienia Piotra Berezy z pobytu w szpitalu i spotkania z matką zamordowanego 31 sierpnia 1982 r. Mieczysława Poźniaka wymagają kilku słów wyjaśnienia. Chodzi o ten fragment, w którym jest mowa o strzelaniu funkcjonariuszy milicji z dachu budynków. Być może Piotr Bereza taką wersję usłyszał, weryfikowanie informacji w tamtym czasie było bardzo trudne. Dzisiaj już wiadomo, że milicja strzelała z samochodów milicyjnych (popularne wówczas „nyski”) oraz w czasie bezpośredniego ataku na manifestujących. Wersję o strzelaniu z samochodów podawało wielu świadków, w tym Krzysztof Raczkowiak (zm. 14.09.2016), dziennikarz legnickich „Konkretów”, autor zdjęcia ранego Michała Adamowicza. Krzysztof Raczkowiak użył nawet takiego określenia, że „wyglądało to jak safari”. Ostrzeliwano także budynki mieszkalne, z okien których ludzie obserwowali wydarzenia. Andrzej Trajkowski dostał postrzał w głowę, a Mieczysław Poźniak w brzuch. Obaj zginęli na miejscu. Strzały zostały oddane przez pięciu-sześciu funkcjonariuszy, którzy wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę grupy osób stojących niedaleko pijalni piwa. Jak podawał jeden ze świadków, „zomowcy strzelali krótkimi seriami z biodra”.

Około godz. 17, gdy już manifestacja była praktycznie zakończona, strzałem w tył głowy został trafiony Michał Adamowicz. Był w grupie osób, które w parku uciekały przed atakującymi zomowcami. Gdy grupa przebiegała przez mostek, oddano strzały. Na miejscu był Krzysztof Raczkowiak, który wykonał kilka zdjęć, w tym także to z przenoszeniem ранego Adamowicza do samochodu. Kilka samochodów minęło tę grupę osób, zanim dużym fiatem nadjechali Teresa i Jan Kiperowie, którzy odwieźli ранego do szpitala. Tam Michał Adamowicz zmarł 5 września.

Krzysztof Raczkowiak zrobił trzy komplety odbitek. Jeden komplet zachował dla siebie, drugi przekazał Solidarności, trzeci trafił do Dariusza Fikusa ze zdelegalizowanego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. I stąd zdjęcia „wyjechały w świat”. Na zdjęciach w wersji „krajowej”, którą rozprowadzano w podziemiu, na twarzach widoczne są czarne paski, mające uniemożliwić rozpoznanie osób niosących ранego. To są te najwcześniejsze wersje.

Dwa lata temu jedna z firm próbowała wykorzystać zdjęcie zbrodni lubińskiej do reklamy wódki. Nie chce mi się wierzyć, że było to „niedopatrzenie i brak wiedzy”, jak to tłumaczyła firma reklamowa. To raczej świadome działanie ludzi, dla których zasadą jest brak zasad etycznych.

O wydarzeniach lubińskich i o samym zdjęciu traktuje film dokumentalny Grzegorza Brauna „Krótka seria” z 2001 r., nakręcony dla Programu 2 Telewizji Polskiej we Wrocławiu.

Andrzej Manasterski

O co walczyliśmy

Władysław Białowąs

Minęło wiele lat od tamtych zdarzeń, więc pamięć powoli się zaciera... Czasami wracam pamięcią do okresu stanu wojennego, okresu, w którym doznawano strachu i poniżania ludzkiej godności. Z perspektywy niektóre wydarzenia widzę inaczej niż wówczas, niektóre dzisiaj wydają się wręcz zabawne. I, co istotne, nie żałuję swego skromnego udziału w tworzeniu historii. Choć nie byłem interviewowany, miałem wiele przykrych doznań i upokorzeń ze strony ówczesnej władzy. Gdyby jednak dzisiaj historia powtórzyła się, bez wahania postąpiłbym tak samo, bogatszy o tamte doświadczenia. Mam kaca moralnego, że my, ideowcy, pozwoliliśmy przejąć nasze zdobycze różnym hienom. I w tym zgadzam się z Wałęsą: „NIE O TAKE POLSKE WALCZYLIŚMY”.

13 grudnia 1981 – niedziela, dzień pierwszy

Rano 13 grudnia zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos Janka Krasowskiego.

- Wiesz co się stało? – raczej stwierdził niż zapytał.
- Nie, no skąd – odpowiedziałem nieco zaspanym głosem.
- Ogłoszono stan wojenny
- Co mamy robić?
- Trzeba zebrać chłopaków i spotykamy się w ustalonym miejscu.

Ustalone miejsce to szpital w Wołowie, a ściśle oddział chirurgii, gdzie pracował Janusz Warszawski.

Gdy razem z Wieśkiem Fiszerem, Bogdanem Lipowiczem i Cześkiem Zakrzewskim przybyliśmy na miejsce, było już sporo osób. Dyskutowaliśmy o sytuacji i o możliwości działania. W pewnym momencie ktoś patrzący w okno rzucił ostrzegawczo: „Milicja!”. Szybko rozpieczęśliśmy się po pokojach i spokojnie przeczekaliśmy zagrożenie. Po czym wróciliśmy do dyskusji, ustalając zasady komunikowania się, przyszłych spotkań i ewentualnych działań. W naszej lokalnej rzeczywistości to było wszystko, co mogliśmy wówczas uczynić.

14 grudnia 1981 – poniedziałek, dzień drugi

Drugi dzień stanu wojennego przypadał w poniedziałek. W pracy rano mam „wizytę” por. Jończyka z SB wraz z dwoma „mundurowymi”. Odebrali mi klucze od pokoju i szafy pancerniej z dokumentacją. Przeszukują pokój

i zabierają dokumenty oraz pieczętki. Na odchodnym „zapraszają” mnie na komendę. W drodze Jończyk informuje mnie, że będą ode mnie żądać oświadczenia. Kiedy wchodziliśmy na komendę, zobaczyłem wychodzącego z niej Antka Artymowicza w mundurze moro i z karabinem na plecach. Antek to kolega z pracy, przewodniczący „Solidarności” w ZIB-ie, a teraz w nowym uniformie i z giwerą! Powitałem go słowami:

– Cześć, Antoś, fajnie wyglądasz!

Spuścił głowę i szybko oddalił się z innymi, podobnie jak on wyekwi-
powanymi.

Na komisariacie byli już: moja żona, Wiesiek Fiszer, Bogdan Lipowicz, Antek Opacki, przewodniczący „Solidarności” w POM i inni. Powiedziałem im, że będą chcieli od nas oświadczeń. Z Wieśkiem Fiszerem ustaliliśmy wspólne wersje i że tylko takie podpiszemy.

Jako ostatni byłem przesłuchiwany przez kapitana Rymera. Podczas przesłuchania zdałem sobie sprawę w pewnym momencie, że zaczynam odpowiadać jak automat i mogę przestać się kontrolować. Kiedy Rymer postraszył mnie internowaniem, powiedziałem:

– Panie kapitanie, wyrosłem już z tego wieku, gdy straszło się Babą Jagą i kominiarzem.



Hełm ormowca

– Ależ panie Białowas, ja naprawdę mam takie uprawnienia! – Rymer podniósł ton.

– Znam dekret Rady Państwa i pańskie uprawnienia. Poza tym chcę pana uprzedzić, że mam problemy z wymową, kiedy się zdenerwuję i wtedy już pan słowa ode mnie nie wydobędzie – rzekłem skonfundowanemu esbekowi.

Po tej riposcie zrobił się łagodniejszy. Na koniec przesłuchania podał mi czystą kartkę, bym napisał swoje oświadczenie. Napisałem wersję ustaloną z Wieśkiem Fiszerem, podpisałem i mogłem wyjść na zewnątrz.

Przygody konspiracyjne

Razem z Bogdanem Lipowiczem i Bogdanem Prusem (ps. „Bolek”) zajmowałem się drukowaniem ulotek. Na strychu domu, w którym mieszkałem, znajdowała się skrytka pod podłogą, tam chowałem wałki, ramki, farbę drukarską oraz matryce. Jeździłem także do Wrocławia na umówione spotkania. Najczęściej wiozła mnie tam swoim „maluchem” Jadzia Nagalewska, pani doktor ze szpitala w Lubiążu. Ona zostawała u znajomych na „Różance, a ja dalej jechałem na spotkanie.

Kiedyś spotkanie zostało w ostatniej chwili odwołane. Mając trochę wolnego czasu, postanowiłem odwiedzić kuzyna, który także zajmował się „robotą konspiracyjną”. Jak to bywa, zagadaliśmy się i mocno spóźniony wróciłem po panią Jadzię, która sądziła, że „wpadłem”. Kiedy mnie zobaczyła, najpierw z ulgą odetchnęła, a potem zdrowo „obsobaczyła”. Zdenerwowana niewiasta potrafi być straszna...

Inna „wrocławska przygoda”. Wiesiek Fiszer zdobył papier potrzebny do druku „bibuły”. Razem z kolegą Fredka Kaduszkiewicza – Staszkiem Sawlewiczem, po zdobyczu pojechaliśmy do Wrocławia jego fiatem mirafiori. Okazuje się, że papier jest złożony na peryferiach miasta w bezpiecznym miejscu. Razem z przewodnikiem dotarliśmy do samotnej stodoły na Żernikach. Tam pod złożoną słomą leżały ukryte pakiety papieru. Załadowaliśmy pełny bagażnik, resztę ponownie ukryliśmy pod grubą warstwą słomy. Postanowiliśmy wracać przez Środę Śląską. Przy drogach wylotowych z miasta stały patrole milicji i wojska, które zatrzymywały samochody i sprawdzały nie tylko dokumenty, ale i zawartość bagażnika. Taki punkt znajdował się także w Leśnicy. Dojeżdżając do niego, kombinujemy, jak ominąć kontrolę. Przed nami jechał fiat 125p i jakaś ciężarówka. Mówię Staszкови, żeby „wskoczył” bezpośrednio za nią. Mamy świadomość, że kiedy nas zatrzymają, wpadniemy jak nic z takim towarem. Staszek robi slalom i „siada na ogonie” ciężarówki. Widzę, jak stojący na drodze „mundurowy” szykuje się do zatrzymania.



Kontrola dokumentów

Ciężarówka przejeżdża obok patrolu, my za nią. „Mundurowy” zatrzymał, ale fiata jadącego za nami. W kabinie naszego samochodu panuje cisza. Kiedy dojechaliśmy do Mrozowa, stanęliśmy na poboczu. Obaj ociekaliśmy potem, ja czułem suchość w gardle, język sztywny niczym łopata. Musieliśmy chwilę odpocząć. Nie wiadomo skąd znalazła się woda mineralna, którą wypiliśmy. Po ochłonięciu i dojściu do jako takiej równowagi psychicznej ruszyliśmy dalej. Wróciliśmy z dalekiej podróży. I nie chodzi o Wrocław, a o stan psychiczny. Na szczęście towar udało się bezpiecznie dowieźć na miejsce.

Rewizje, przesłuchania

Słoneczne majowe popołudnie, wracam z pracy jak zwykle, nic nie wskazuje na to, że dalsza część dnia będzie obfitować w wydarzenia. Gdy wysiadałem z autobusu, zatrzymuje mnie kierowca, Władek Bronowicki. Kiedy zostaliśmy sami, przekazał mi najświeższy numer podziemnego pisma. Schowałem do teczki i poszedłem do domu. Po zjedzeniu obiadu, przebrałem się w robocze ubranie i wybrałem się do garażu Czeska Zakrzewskiego, gdzie remontowałem swego „moskwicza”. Czesiek pomagał mi w remoncie, który trwał już kilka dni. W drodze do garażu zostałem ostrzeżony, że czekają już tam na mnie esbecy. Pierwsza myśl to schować się, i tak też zrobiłem. Wszedłem do zakładu krawieckiego, który prowadził Piotr Felczak.

– Piotrek, muszę się schować.

– Co się stało?

– SB-ecy czekają na mnie koło Cześka.

– Naturalnie, zostań. Idź, zobacz, co się dzieje – zwrócił się do jednego z obecnych znajomych.

Ten po kilku minutach wrócił i potwierdził ich obecność.

– Czekają w brązowym fiacie 125p, tajniacy – opowiadał z przejęciem.

Nie mogąc się doczekać mojego przyjścia, postanowili pojechać do mnie do domu. Kiedy odjechali, wyszedłem z ukrycia. Powitali mnie Wanda i Czesiek Zakrzewscy oraz Janek Poślednicki (dzielnicy). „Czekali na ciebie, a teraz pojechali do twego domu” – powiedzieli. Kombinujemy, co robić. Doszliśmy do wniosku, że ukrywanie się nie ma sensu. Czesiek podwiózł mnie pod szpital, gdzie mieszkałem.

Kiedy wszedłem do domu, zaskoczył mnie widok Olejnika, siedzącego w przedpokoju i grzebiącego w mojej teczce służbowej. Były w niej dokumenty: zamówienia, upoważnienia, czek, wszystko opieczętowane i podpisane in blanco. Pracowałem przecież na stanowisku zaopatrzeniowca. Olejnika znałem osobiście, nie jako esbeka, a jako pracownika nadleśnictwa z Dębna. Widząc, jak się panoszy, wkurzyłem się.

– Zostaw to. Nie widzisz, że to służbowe dokumenty?

– To też służbowe? – pokazuje ulotki.

– To wyście mi podłożyli – próbuję wybrnąć z sytuacji. Szarpiemy się, chcę odebrać mu teczkę.

– Idź do szefa, jest w pokoju – wykrzykuje esbek, żeby się mnie pozbyć.

Idę, a tam sajgon, istny bardak, mówiąc delikatnie. Żona z dziećmi siedzą na wersalce, wszyscy przerażeni.



Legitymacja esbecka

– Co tu się dzieje? – pytam. – Co wy tu robicie?

Sabat, młody esbek, podskoczył do mnie, wymachując legitymacją. Po chwili ją chowa.

– Hola, hola, nie tak szybko, jeszcze nie zdążyłem przeczytać – esbek niechętnie pokazuje dokument ponownie.

– Proszę okazać nakaz rewizji – mówię.



– My na podstawie legitymacji dokonujemy przeszukania.

– To bezprawie. Gdybym przyszedł do twojego domu i pomachał jakąś tam legitymacją i zaczął buszować w mieszkaniu, pozwoliłbyś na to? Nie. No to ja też nie pozwalam, wynocha.

– No! no! Nie podskakuj, bo może się to dla ciebie źle skończyć. Możesz w pierdłu posiedzieć dłużej – grozi Sabat.

– Strachy na lachy – staram się bagatelizować jego pogroźki.

– Jeszcze nie wiesz co my możemy – dogaduje Olejnik.

Myślę, róbcie swoje, i tak już więcej nic nie znajdziecie. Ale też nie mogę pozwolić, żeby bezkarnie panoszyli się w moim mieszkaniu.

– Zobaczcie, coście narobili, jak wygląda mieszkanie, jak wyglądają żona i dzieci! Nie widzicie, że są przerażone – mówię, ale oni nie reagują.

Postanawiam wezwać sąsiadów. Zwracam się do żony:

– Idź po sąsiadów, niech ludzie zobaczą, co oni tutaj wyprawiają.

Wystraszona Jaśka ociąga się, ale wychodzi. Przyprowadziła kilkoro. Stanęli w grupie, widzę, że są zaszokowani. O to mi chodziło.

– Zobaczcie, co oni tutaj wyprawiają, jak wygląda dom, jak wyglądają dzieci! Czy ja jestem jakimś bandytą?! Czy ja komuś z was coś złego zrobiłem? Albo ukradłem?

– Nie, skądże. Jesteś w porządku, jesteś dobrym człowiekiem i sąsiadem. Nie rozumiemy tego, co tu widzimy – słysząc oburzone głosy.

Efektem wizyty sąsiadów było to, że przerwali rewizję, trochę ich to zmieszało, nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Przystąpili do sporządzenia protokołu z przeszukania mieszkania, zażądali mojego podpisu. Odmówiłem, argumentując tym, że bezprawnie wkroczyli do mego mieszkania, bezprawnie dokonali rewizji, bez mojej zgody i bez mojej obecności. Do tego prawdopodobnie podłożyli mi świnie w postaci ulotek.

– Już ci mówiłem, nie podskakuj, jak nie chcesz na dłużej zagościć w pierdlu. A swoją drogą będziesz musiał pojechać z nami.

– Nie mam na ochoty dalej przebywać w waszym towarzystwie.

– Czy ci się to podoba, czy nie, będziesz musiał pojechać z nami na komendę.

– Ja mam na dzisiaj inne plany.

– No to będziesz musiał je zmienić – naciskają esbecy.

– Pojadę, jak zaproponujecie mi coś atrakcyjniejszego.

– Uspokój się – mówi żona, próbując skończyć przedłużającą się pyśkówkę. – Jak będziesz się stawiał, to nic nie da – pomyślałem, że ma rację i tak czy siak będę musiał pojechać.

Ale skoro mam jechać w gości, to muszę się przebrać. W roboczym ubraniu nie wypada. Kieruję się do łazienki, jeden z nich za mną, stanął w drzwiach.

– Masz zamiar tak stać? – potakująco kiwnął głową.

Wobec tego postanowiłem się wykapać. Odkręciłem kran, puszczam wodę do wanny, jednocześnie się rozbieram do kąpieli. Gość usiadł na sedesie, wyjął pistolet i z debilnym uśmiechem na twarzy zaczął się nim bawić, demonstrując swoją wyższość. Nie zwracając na niego uwagi, robiłem swoje, pokazując, że sie ich nie boję. Kiedy byłem wykąpany i przebrany, oświadczyłem, że jestem gotowy do drogi.

Na komendzie trzech esbeków przesłuchiwało mnie na zmianę. Kto miał z nimi styczność, ten wie, jak wygląda przesłuchanie. Ci nie grzeszyli inteligencją. Zaprawiony w bojach, nie czułem przed nimi respektu ani lęku, choć wiedziałem, do czego są zdolni. Jeden z nich, trzymając w ręku kartkę, pyta, co to jest. Siedzę zbyt daleko, żebym mógł to rozpoznać. Podaje mi ten papier, oglądam z jednej i z drugiej strony.

– Bibuła – stwierdzam. – Co w tym dziwnego, nigdy nie widziałeś bibuły? – odpowiadam

– Skąd ją masz? Była w twojej teczce.

– To wyście mi ją podłożyli, to są wasze metody. Stosujecie je, żeby kogoś pogrozić – idę w zaparte.

– Nie dowcipkuj, bo możesz stąd tak szybko nie wyjść.

– Już kiedyś powiedziałem kpt. Rymerowi, że wyrośłem z tego wieku, kiedy straszyło się Babą Jagą i kominiarzem.

Wszedł Krzysztofiak, zastępca szefa do spraw SB.

– No i co? Przyznał się? – pyta.

– Mówi, żeśmy mu świnie podłożyli – esbek odpowiada szefowi.

– Oni tak zawsze mówią – niezadowolony Krzysztofik patrzy na mnie.

– Co ja tutaj robię? W jakim charakterze jestem przesłuchiwany? – pytam, udając oburzenie.

– Jest pan oskarżony o działalność wywrotową, antypaństwową i szkodliwą dla PRL – Krzysztofik rzuca ostrym tonem.

– Jeżeli mam takie poważne zarzuty, o tak poważne czyny jestem oskarżony, żądam prokuratora. Od tej chwili tylko z nim będę rozmawiał – zdziwienie na twarzy Krzysztofiaka. Myślał pewnie, że padnę przed nim na kolana, przyznam się do stawianych zarzutów i zacznę błagać o łagodny wymiar kary.

Po chwili ciszy już innym tonem kontynuuje:

– Jest pan podejrzany o nielegalną działalność w strukturach podziemnych.

– A, to zmienia postać rzeczy – powiadam.

Po krótkiej naradzie obaj wyszli, zostawiając mnie na chwilę samego. Ponownie przyszedł Sabat i przesłuchanie zaczęło się od nowa.

Częstuje mnie papierosem. Odmawiam. Po chwili proponuje herbatę. Zgadzam się. Przesłuchanie trwa. Po kilkunastu minutach przypominam Sabatowi, że miałem obiecaną herbatę.

– Ale ja mam tylko jedną szklankę – stwierdza ogłupiały.

– To nic nie szkodzi, ja się napiję – z bólem serca i pewnie wielkim żalem, że mi to obiecał, idzie robić herbatę.

Przyniósł i jak cielę patrzy, jak z jego szklanki piję jego herbatę. Triumfuje.

Zbliżała się 23, godzina, kiedy usłyszałem, że to już koniec przesłuchania i że już jestem wolny, nie zostaję zatrzymany i mogę wracać do domu.

– Jestem wolny, tak? I nie zostaję na waszym wikcie? Mogę wracać do domu? To w takim razie została jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Sprawa mojego powrotu do domu. Wyście mnie tutaj przywieźli i „GOŚCILI”, należałoby teraz odwieźć. Tym bardziej że mój ostatni autobus do Lubiąża odjechał o 21.20 i teraz nie mam już czym wracać do domu.

Esbek drapie się po łysiejącej głowie, z pewnością nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Pewnie myślał, że będę go po rękach całował za to, że mnie puszcza wolno. Dzwoni na dyżurkę, PKS potwierdza, że mówię prawdę. Nie wie, co ze mną zrobić. Czuję, że w tym momencie jestem górą.

– Jak teraz wyjdę na ulicę, a jest godzina milicyjna, to patrol MO mnie

zwinie i wrócę tutaj, a mogą mnie jeszcze poczęstować palami. Albo jeszcze gorzej: wyjdę na ulicę o tej porze, a jakieś bandziory mnie napadną, pobiją i ograbią. Będzie na was, bo wiele osób wie, żeście mnie zabrali z domu – widzę, że ma poważny orzech do zgryzienia. Chcąc mu dołożyć, mówię:

– Nie ma problemu, wezmę TAXI i pojadę do domu.

– Ulżyło mu, ale ja z premedytacją dodaję: – Ale uprzedzam, że w taryfie poproszę o rachunek na wasz koszt.

– Nie! Nie! Proszę tego nie robić! – krzyczy esbek.

Wiedziałem, że Czesiek jest też na komendzie, przyjechał swoim samochodem

i z nim wrócę. Mówię to esbekowi i widzę jego ulgę na twarzy. Widocznie kamień spadł mu z serca, ale przynajmniej kilka chwil triumfowałem.

Wracając z Cześkiem do domu, wstąpiliśmy jeszcze do Danusi i Ryśka Grusiów, tam odbywało się pożegnanie państwa Kielarów, którzy wyjeżdżali do Francji.

Dodam jeszcze, że podczas rewizji w domu mój syn, wówczas 12-latek, zachował się odważnie i uchronił fotografię plakatu Orła w koronie cierniowej, wiszącego w kościele parafialnym w Lubiążu obok ołtarza, autorstwa Basi Bohonos i Krystyny Skrobek, instruktorek terapii zajęciowej, pracujących wtedy w pracowni plastycznej w lubińskim szpitalu.



Praca K. Skrobek i B. Bohonos 1982 r.

Władysław Białowas

Jaka okupacja, taka konspiracja

Zabawne i pouczające historie ze stanu wojennego zbierane na prowincji wołowskiej

Wiesław Fiszer

Po co jest to wspomnienie, jeśli wiele takich książek już było?

Liczne są wspomnienia ludzi znanych, tych ze świecznika. Wynika z nich, że jedynie oni obalali komunizm. Nie oddaje to prawdy. Gdyby tak miało być, gdyby kilka znanych osób walczyło z PRL, to komuna by je czapkami nakryła i nie byłoby potężnego ruchu Solidarności.

Siła Solidarności tkwiła nie w osobach Wałęsy, Kuronia czy Michnika, ale przede wszystkim w tych nieznanach do dzisiaj drobnych działaczach na prowincji, to oni bowiem zapewnili Solidarności zaplecze, osłoniли ją przed owym nakryciem czapkami. Pierwszy raz w historii PRL nie udało się zamknąć protestu w jednym mieście, w jednym wąskim kręgu. Poderwała się jednocześnie cała Polska, a to znaczy, że kapitałem tej zmiany była prowincja. Działali nie tylko wielcy pojedynczy politycy, wielką siłę Solidarności tworzyli przede wszystkim „zwyczajni” ludzie.

Teraz przyszedł czas na ich apel, jesteśmy to winni tym nieznanym żołnierzom wielkiej sprawy. Pozostali wierni i byli sobą, dlatego więc zasługują na wspomnienie. Ci prości ludzie żyjący na prowincji sprawdzili się jako Polacy. Gdy trzeba było, stanęli do walki – na miarę możliwości, sił i własnej pomysłowości.

Trzeba o nich mówić po imieniu – może mają znajomych, którzy nawet nie wiedzieli o ich udziale w walce. Może ich wnukom będzie kiedyś w życiu potrzebna duma z dziadków. Bo skąd by się miała wziąć kolejna Solidarność, gdy przyjdzie czas?

Gdy ich pamięć zaginie albo, co gorsza, zostanie wyśmiana – nie będzie już następców. Urban z Kiszczakiem podziękowałiby nam, że pominęliśmy naszych szeregowych, Bogu tylko znanych wojowników Solidarności, albo po prostu przyjaznych jej Polaków.

Wtedy czuliśmy ich wsparcie. Teraz kolej na nasz rewanż.

Wzywamy ich do apelu!

W Lubiążu pracował pan Kuśnierzewski, zaopatrzeniowiec, który miał obowiązek jeździć w teren i przywozić do „psychiatryka” zaopatrzenie. I jeździł, ale do tamtego, oficjalnego zaopatrzenia dodawał jeszcze inne, podziemne zaopatrzenie – zakładowej Solidarności w „bibułę”.

SB coś przeczuwało, nie aresztowali go, ale postawili mu kiedyś warunek: jego żona, poważnie chora na nowotwór może dostać miejsce w lepszym szpitalu, pod warunkiem, że on już nie będzie podskakiwać. Powiadomił o wszystkim komisję i otrzymał usprawiedliwienie. Zachowujemy go w pamięci jako człowieka prawego i dzielnego.

O szewcu

Był jeszcze w naszym szpitalu szewc, który pił jak szewc. Chcę opowiedzieć teraz jego historię. W nic się nie włączał i nikt go nie utożsamiał z Solidarnością.

Ogłoszono w stanie wojennym strajk generalny i wszystkie zakłady miały się przyłączyć. W „psychiatryku” trudno byłoby strajkować jak w stoczni czy kopalni. Ale w nocy ktoś zawiesił na wysokim kominie pojawiła się flaga Solidarności, a na kłamrach wewnątrz komina przyczepiono paczkę z napisem: „Uwaga! Mina!”. Minęło wiele godzin, zanim z należytą ostrożnością zdjęto najpierw flagę, potem pustą paczkę.

Kiedy zdejmowano ładunek, SB-cy obserwowali akcję z zapartym tchem – wtedy ktoś zwinął leżącą pod kominem flagę. Zniknęła. SB szalało.

Minęło kilka lat. Pod koniec stanu wojennego wieczorem ktoś zadzwonił do drzwi mojego mieszkania. Był to ów szewc. Powiedział: – Teraz już może się przydać, ja ją wtedy zwinąłem – i wręczył mi zawiniątko.

Nikt o nim nie wie i nikt mu nie podziękuje. Cześć jego pamięci! – czy pije, czy nie pije.

Było wielu takich nieznanych żołnierzy. Zwłaszcza na prowincji. Nie oczekują na medale ani wywiady w gazetach. Po prostu – robili swoje. Tak wtedy myśleli. Trzeba im wszystkim podziękować za ich strach, który potrafili pokonać...

Ja chcę wam wszystkim podziękować, wam, którzy po prostu ratowaliście nasze tyłki, kiedy ta cała nasza konspiracja była tak bardzo niedoskonała.

O zakładaniu Solidarności w „psychiatryku”

Wieść o strajkach dochodziła falami. Ludzie na prowincji rozmawiali o nich. Powstawały komitety założycielskie NSZZ „Solidarność”, zazwyczaj przy dużych zakładach produkcyjnych. W okolicy Wołowa nie było tych zakładów wiele: ogromna Rokita, niewielkie Kabelki, ważny, choć niewielki PKS.

„Psychiatryk” w Lubiążu był wielki, liczył 1500 załogi, ale niczego nie produkował...

Pomysł założenia w nim Solidarności wymagał pokonania oporu stawianego przez stare związki zawodowe. Wymyśliłem fortel godny Zagłoby: na zebraniu całej załogi zaproponowałem, żeby wszyscy anonimowo podawali, czym ma się zajmować nowy związek.

Czego nie był w stanie zrobić stary? Postulaty były wrzucane do skrzynki, następnie na kolejnym zebraniu odczytane do wiadomości zebranych. No i się zaczęło!

Było ich ze 300, a wszystkie uderzały w tzw. uprzywilejowanych i dotąd bezkarnych władców. Tutaj wiedzieli sąsiedzi, jak kto siedzi. Po odczytaniu zaczęły się interwencje obrażonych.

Odpowiadałem wszystkim, że dopóki nie ma nowego związku, nie możemy niczego wyjaśniać, a nawet gdy już będzie, to możemy wyjaśniać tylko sprawy dotyczące jego członków. Lepiej więc było zostać członkiem – żeby nie być na marginesie.

W efekcie do nowych związków zapisało się 96% załogi. Jedni w nadziei na oczekiwane zmiany, a drudzy ze strachu przed konsekwencjami zmian.

Zażądaliśmy szpitalnego powielacza i zaczęliśmy wydawać zakładową gazetkę, gdzie były zamieszczane wyjaśnienia kwestii poruszanych w postulatach. I tak to się zaczęło.

O początkach gazetki „Podaj Dalej”

Potem z tej gazetki w stanie wojennym łatwo było stworzyć zręby podziemnego pisma, które zasięgiem objęło 1/3 ówczesnego województwa wrocławskiego. Korespondenci pisali od Milicza do Ścinawy i Lubiąża. Nakład nie był duży: góra 500 szt. Drukowano na ramce w rozmaitych punktach – raz w Wołowie, raz w Lubiążu, po kilka składów i zmiana. To utrudniało namierzenie przez węższą SB. Redakcja jakoś nigdy nie wpadła. Papier kupowano w sklepach papierniczych, tam, gdzie się nikt nie spodziewał, np. w Malczycach. Od dawna zalegały tam stare zapasy, które odkryliśmy przypadkiem.

Farbę i puste matryce przywoził drukarz z Wrocławia. Kiedyś przewiozła matryce w majtkach powracająca z Wrocławia młoda i niebrzydka dziewczyna. Nie powiem, dla facetów był to dodatkowy bodziec, żeby się sprężyć i nie zmarnować takiego materiału...

O SB-kach śmigających po schodach

Oczywiście SB wyczuwało, kto knuje w okolicy. Zwinęli całą komisję ze szpitala i „suką” zawieźli do Wołowa na przesłuchania.

Naszym oczom ukazał się niesamowity widok: wszyscy SBcy jak na rozkaz poruszali się po schodach komendy – biegiem! W górę i w dół. Tacy chcieli wydawać się sprężysti i gotowi.

Rzeczywistość wołowska wyglądała dla nas to groźnie, to trochę śmiesznie. Podczas przesłuchania kapitan Rymer pochwalił się, że nie jest taki ostatni z myślenia, bo też zna język obcy, mianowicie francuski. Pogratulowałem. Potem przyszedł najtrudniejszy punkt przesłuchania, tzw. lojalka.

Byłem pierwszy przesłuchiwany, a po mnie reszta komisji. Jeśli nie podpiszemy, czeka nas internowanie. Zaproponowałem kapitanowi, że sam ułożę tekst oświadczenia i dam mu do zaakceptowania. Miedzy nami, lokalnymi inteligentami...

Napisałem, że nie mam absolutnie zamiaru działać na szkodę narodu polskiego, i przeszło. Identyczne teksty napisali pozostali przesłuchiwani. Wróciliśmy do domów. Szkoda tylko tych 300 postulatów, bo wraz z dokumentami zostały skonfiskowane i już nie wróciły.

O maszynie do pisania, ale nie do poznania

Przygotowywaliśmy matryce na mojej prywatnej maszynie do pisania i wiedziałem, że będzie pod lupą. Dlatego po każdej kolejnej matrycy „Podaj Dalej” kombinerkami delikatnie odginałem każdą czcionkę. Zawsze były inne parametry maszyny. Do teraz ją przechowuję, była skonfiskowana, ale nie puściła farby, nie pasowała do żadnych druków i musieli mi ją zwrócić.

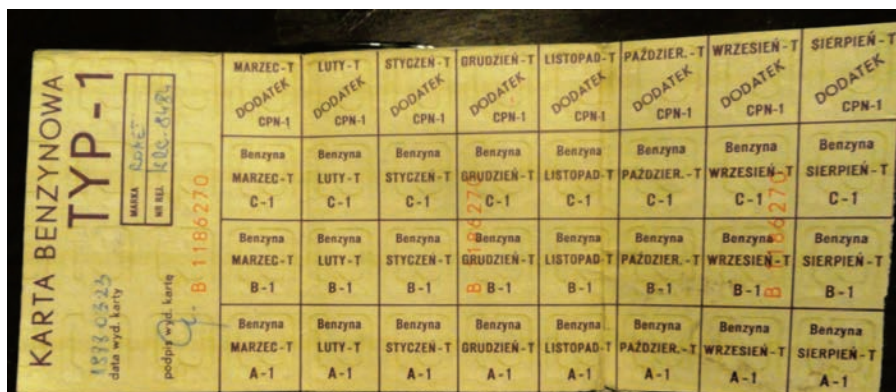
O samochodzie – eksponacie stanu wojennego

Miałem samochód, który na wszelki wypadek, czy na pokaz siły też skonfiskowano i zabrano na komendę MO w Lubiążu.

Był to stary gruchot i ludzie stawali przed ogrodzeniem komendy, żeby go sobie pokazywać i dowcipkować. Po kilku dniach zadzwonił komendant, że mogę już zabrać samochód. Ale wtedy powiedziałem, że jestem przeziębiony i nie dam rady go uruchomić na korbę albo na pych. Mogę doręczyć zwolnienie lekarskie. Dopiero po tygodniu wyzdrowiałem, a do tego momentu wszyscy mieszkańcy mogli zrobić sobie wycieczki, żeby zobaczyć, z jakim to przeciwnikiem walczy komuna.

O motocyklu WSK wykorzystanym jako dzielny pojazd kurierski

Żał byłoby stracić samochód używany do przewozu „bibuły”, wpadliśmy więc na zakupienie motocykla WSK. Najważniejsze były dwa kaski z przyciemnioną szybą, zza której nie było widać twarzy. Motocykl był bardzo popularną marką, na wsiach było ich wiele, więc zatrzymywanie wszystkich przez milicjantów byłoby bardzo kłopotliwe. A zresztą motocyklem WSK nie jeździ podziemna ekstrema – tak przynajmniej myślała większość SB. Motor palił niewiele, co było ważne, bo w tamtych czasach o benzynę było zawsze trudno. No i łatwo było ominąć patrolowane drogi. Ale zimą było po prostu zimno. Tapetowałem się pod ubraniem gazetami, nawet trochę pomagało, ale to praca na dłuższe trasy.



O spotkaniu dwóch Polaków na CPN

Brakowało mi benzyny, a kartki się wyczerpały. Podjeżdżam na CPN w Prochowicach, kiedy nie ma nikogo, tylko sprzedający i ja.

Mówię krótko, bez szczegółów, czego potrzebuję. Patrzy nieufnie i mówi:

– Panie, a skąd ja mam wiedzieć, że pan nie jesteś kapuś?

Na to ja:

– Popatrz pan na mnie. Czy tak może wyglądać kapuś?

Roześmiał się i sprzedał bez blochków. On wiedział i ja wiedziałem, że on wie: o tym, że tajniacy to zawsze „smutni panowie”. Reszta Polaków wręcz odwrotnie. Polska tryskająca humorem to nie ich działka.

Niektóre dowcipne hasła były kapitalne. Np.: Kupowanie gorzały to składka na pały.

Albo po prostu krótko – słowa popularnych piosenek stanu wojennego: WRONa zielona, Wymierzmy sztywnemu więc kopa (chodziło o Jaruzelskiego, który zawsze był drętwy i sztywny w ruchach).

Polska tryskająca dowcipem jest nie do pokonania. Dowcip był tajną bronią, teraz też należy dbać o jego „produkcję”. Robią to czasem niektóre kabarety. Niemordowany jest Jan Pietrzak.

Stary dowcip PRL wciąż jest kultowy:

W barze mlecznym kucharka woła: – Kto chciał ruskie?

Z sali pada odpowiedź: – Nikt nie chciał, same przyszły!

O tym, że każdy daje, ile może, i ryzykuje tyle, ile udzwignie

Składki nie były obowiązkowe, ale niekiedy były formą ekspiacji za okazaną słabość. Ktoś podpisał pełną lojalkę, potem wstyd... Proponowałem tym, których na to było stać, że mogą wspierać podziemne struktury, niekoniecznie odwołując swoje deklaracje. I szły spore pieniądze na działalność podziemną od ludzi, którzy taką lojalkę popełnili. Ci, którzy znają realia Lubiąża, domyślali się, skąd szło dla podziemia duże, choć dyskretne wsparcie.

O tym, że ormowcy (niektórzy) nie byli tacy źli...

Schowaliśmy we wspólnym korytarzu w kominie farbę drukarską i sprzęt. Po jakimś czasie sąsiad ormowiec dyskretnie dał do zrozumienia, żeby to wszystko przenieść gdzie indziej, bo on też nie chciałby mieć kłopotów, że pod jego nosem..

Oczywiście, przenieśliśmy, z całym szacunkiem dla jego dyplomacji.

Skrytka na kolportaż bibuły w klasztorze przy ul. Poznańskiej

Wydrukowana gazetka była dzielona na pakiety, które pobierali kolporterzy. Rozdzielnią była szafka w przedsionku klasztoru sióstr, ale one były zamknięte w swojej części, a szafka stała w tej części, gdzie przychodzili ludzie świeccy, w rozmównicy.

Nie pamiętam, czy siostry wiedziały, a jeśli nawet nie wiedziały, to mogły się domyślać, choćby zauważając coś podczas sprzątania pomieszczenia. Nie było sprawy... Ta skrytka działała bez pudła.

Generalnie unikaliśmy prowokowania SB-ków. Żadne napisy na murach nie ułatwiają budowania sieci kolportażu bibuły. Tej sieci SB może nie zauważyć, podczas gdy napisy muszą wywołać kontrę.

W miarę możliwości nie wchodziliśmy w kolizję z naszymi stróżami. Wyjątkiem była wołowska akcja z kolcami na drogach dojazdowych górników do kopalni w dzień strajku powszechnego. Mogli wtedy brać na swój sposób udział w strajku, nie ryzykując wyrzucenia z pracy, bo przecież nie mieli jak dojechać.

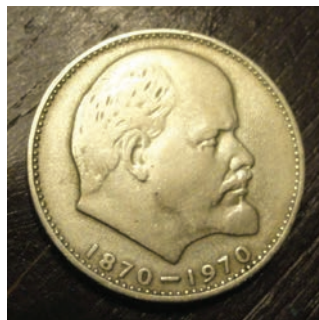


Linoryt 82, autor nieznan

Ci od kolców mogli być w razie wypadki oskarżeni o ekscesy uliczne, jednak górnicy w zakładach zmilitaryzowanych ryzykowaliby więcej. Byli to głównie chłoporobotnicy, dojeżdżający do kopalni z wiosek. Strajkowanie było poza ich zasięgiem.

Pierwszy maja dla wariatów z Małej Moskwy

Nie było dyskusji: niedługo przed pochodem 1-majowym wyłapywano wszystkich znanych wariatów legnickich i na kilka dni pakowano ich do „psychiatria”. Skądinąd doskonale im znanego, bo z racji choroby odwiedzali go często i traktowali jak swój drugi dom. Wcale się nie oburzali, może nawet czuli się nareszcie kimś ważnym. W szpitali brakowało tylko jednego: papierosów, bo te na kartki szły szybko i nie można było dokupić.



1 rubel z Leninem

Pamiętam, jak jeden z naszych pacjentów przyjechał do szpitala zaopatrzony w wielką torbę wybrakowanych papierosów z odrzutu, nieopieczonych jeszcze i niezapakowanych. Jaki on był wtedy dumny, że ma czym częstować kolegów, a nawet pałacy personel! To był szczęśliwy dzień w jego życiu...

Żołnierze z sowieckiego garnizonu wchodzili z wariatami w komitywę. Nie bali się, że im coś wywiną, nawet trochę z nimi handlowali, choćby papierosami, bo kto by w razie czego traktował serio

zeznania wariata. Żołnierze sowieccy nie mieli papierosów na kartki. Mieli też benzynę koloru czerwonego, którą upłynniali okolicznym chłopom mieszkającym gdzieś na odludziu. Gdy nie było chętnych na zakup, spuszczała ją do rowu, bo mieli ją już wcześniej „rozchodowaną”.

Jeden z moich psychiatrycznych pacjentów dowiedział się, że szukam kolorowego telewizora i zaproponował, że mnie wprowadzi do tzw. sowieckiego kwadratu, czyli dzielnicy miasta, gdzie mieszkali oficerowie. Rzeczywiście, wpuszczono nas bez problemów i kupiłem niezły telewizor. Ośmielony żołnierz zapytał, czy nie byłbym zainteresowany czymś innym, np. diamentami z Syberii. Dyskretnie chciałem rzucić okiem. Na to on: – Jak rzucisz okiem i nie kupisz, to.. – i pokazał międzynarodowy znak cięcia po gardle. Zrozumiałem bez problemów i przestałem na tym telewizorze.

Co można odkryć w Lubiążu?

Myśmy odkrywali swoje, a oni swoje. Kiedyś klasztor w Lubiążu został otoczony kordonami wojska i nie było wiadomo, o co chodzi. Dopiero po jakimś czasie okazało się, że wydobywano spory skarb znaleziony w lochach. Oczywiście zniknął on wraz z wojskiem, zasilając kasę „nieznanych sprawców”.

Lubiąż mógłby kiedyś stać się nekropolią tysięcy sowieckich żołnierzy, których po wojnie wyzwolono z niemieckiej niewoli. Tutaj mieli przechodzić kwarantannę rzekomo na choroby weneryczne. Jak to było – pozostali tu na zawsze, znaczy kwarantanny nie przeszli.

Działacze Solidarności otrzymali informacje o wielotysięcznych grobach. Niemcy grobów ani śladów nie zostawiali, jeńców, którzy pracowali w podziemnej fabryce części do rakiet V-2, po „wykorzystaniu” poddawali pośmiertnemu „recyklingowi”. Trupami karmili szczury, a te z kolei po przemienieniu stanowiły produkt żywnościowy dla pozostałych jeńców. Makabryczny recykling! Tyle informacji ludzie pamiętający dostarczyli Solidarności do dalszego przekazania. Niniejszym przekazuję do wiadomości zebrane wtedy wieści, jak butelkę z listem rzuconą w morze. Może ktoś kiedyś wyłowi. Solidarność w Lubiążu tym mocnym akcentem kończy swój bieg.

Oby jeszcze kiedyś Polakom tak się chciało chcieć jak im wtedy.

Wiesław Fiszer

Wspomnienie o rewizji u Niedzielskich

Było to w stanie wojennym w Wołowie. Do mieszkania teścia wpadło pewnego razu SB w poszukiwaniu drukarni. Niby dokładnie przeczესali mieszkanie, piwnicę i komórkę. Niczego nie znaleźli albo może nie chcieli znaleźć. A mianowicie zacieru i aparatury do pędzenia bimbru. Dlaczego nie znaleźli? Oto jest pytanie. Może bimber był mniej groźny od ulotek? Może pędzenie bimbru było czymś, co rozumieli jako normalność w stanie wojennym, gdy podziemie wylansowało hasło: „Kupowanie gorzały to składka na pały!”. Chodziło o to, żeby nie wspierać państwowego monopolu spirytusowego właśnie jako sprzeciw wobec represji stanu wojennego.

Myślę, że mogę wyjawić nazwisko dzielnego teścia: Henryk Niedzielski z ulicy Piłsudskiego. W dzieciństwie hen za Bugiem stracił jedno oko całkiem, a drugie prawie też – przenosząc do lasu w swoim szkolnym tornistrze jakieś ładunki trotylu z zapalnikami dla partyzantów, które niespodziewanie wybuchły. Może dlatego był wciąż dzielny. W stanie wojennym przewoził na wieś „bibułę”. To, że pędził bimber, może i uratowało nas od dokładniejszej rewizji. Po prostu nie wypadało za bardzo szukać u kogoś, kto był swój chłop.

Przenieśliśmy skrzynkę kontaktową z bibułą na cmentarz niedaleko komendy. Najciemniej pod latarnią. Była przez jakiś czas w zewnętrznej skrzynce bezpiecznikowej na murze kaplicy cmentarnej. Ale gdy spadł śnieg – ślady stawały się czytelne. Kolejna skrzynka była w korytarzu klasztoru na Poznańskiej, każdy mógł tam wejść, a gazetki były w szafie, której siostry od dawna „nie używały”. Stamtąd je zabierali kurierzy i rozwozili tam, gdzie mieszkali: Wińsko, Żmigród, nawet Rudna.

Nie było broni palnej, ale gazetki były taką bronią. Składki na „potrzebujących” (czyli represjonowanych) były taką bronią. Chodziło o to, żeby zrobić swoje, a nie podpaść – cała filozofia podziemia na prowincji. Przykład: skarbonka wystawiana w kościele dyskretnie podczas mszy z charakterystycznym napisem „solidarycą”: POTRZEBUJĄCYM. Skarbonka zniknęła po niedzielnych mszach i nie było problemu. Kościelny zbierający na tacę jej nie zauważał. Ci, którzy przychodzili służbowo słuchać i nagrywać kazania, też nie musieli.

To wszystko. Niby niewiele, ale w tym cała filozofia.

Wiesław Fiszer

Spotkanie z Kornelem

Był początek stanu wojennego we Wrocławiu. Przyjechałem jako delegat z podziemnych struktur Wołowa. Byłem pod wrażeniem perfekcyjnej konspiracji przy organizacji tego spotkania przez Solidarność Walczącą. Kluczyliśmy długo po mieście, zmieniali się wielokrotnie moi przewodnicy.

Mieszkanie w bloku, pamiętam, że zupełnie bez mebli, wszyscy siedzieli na podłodze, tylko sterta rozrzuconych bezładnie książek. Ale niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia na owym tajnym zebraniu. Myślałem bardziej



Kornel Morawiecki, lata 90.

o tym, jak wróć do swoich. Kornel spytał nas, kilku delegatów z prowincji, na ile uda się poderwać do ulicznego sprzeciwu ludzi z miast mniejszych od Wrocławia.

Odpowiedziałem wtedy jednym zdaniem, że w Wołowie nie jest możliwe wyprowadzenie ludzi, żeby demonstrowali na ulicach, bo wszyscy są do namierzenia jak kaczki, które wylatują z trzcin i są do odstrzału. Demonstracje siłowe mogą być tylko w dużych miastach, bo

jest tam i siła, i anonimowość w tłumie. To dodaje odwagi demonstrantom. Inni uważali podobnie.

Na tym się zebranie skończyło. Powrót był dla mnie podobnie szczęśliwy, chyba bez ogoną.

Teraz czasem myślę jeszcze nad tym, co było wtedy możliwe w ramach Solidarności skutecznie Walczącej. Wtedy tego bym nie umiał wypowiedzieć, teraz zaś nie na wiele się to już przyda.

Wiesław Fiszer

Opowiadania z za krat i nie tylko

Stanisław Ryczek

Pierwszy dzień wojny polsko-jaruzelskiej i moje w tym dniu cierpienia (anegdota prawdziwa)

Obudził mnie rozgardiasz i głośna rozmowa, dochodzące z kuchni, oraz słowa „wojna” i „Jaruzelski”. Skojarzyłem, że mama wróciła z nocnej zmiany i pewnie opowiada ojcu jakieś historie lub wiadomości zasłyszane nocą w radio. Za oknem jeszcze ciemno, spojrzałem na zegarek, dochodziła siódma rano. Jednocześnie przypomniało mi się, że dzisiaj niedziela i można pospać, przewróciłem się więc na drugi bok, ale niestety już nie zasnąłem. Do rozmów rodziców, wyjątkowo tego dnia głośnych i podnieconych, dołączyło radio zbyt głośno grające – o dziwo – hymn narodowy. Myślę, że i te niedogodności bym zniósł i pewnie zasnął, gdyby nie ćmienie zęba – górna lewa trójka. Ze trzy dni temu zaplombowana przez dentystkę w przychodni, teraz zaczęła z lekka pobolevać.

W końcu, nie widząc szansy na zaśnięcie, wstałem i wkurzony zszedłem na dół do kuchni. Tu zostałem szybko i dokładnie poinformowany przez matkę o wprowadzeniu stanu wojennego, dosadny komentarz dodał ojciec. Następnie ze dwa razy wysłuchałem w radio pamiętne przemówienie oraz obejrzałem je w telewizji. Miałem już ugruntowany pogląd na „Jaruzela”, jego WRON wraz z KC, Biurem Politycznym, Radą Państwa, tudzież na inne komunistyczne przybudówki i organizacje, znane z natrętnej propagandy – nigdy nie wiedziałem, do czego służą ani czym się zajmują.

Ten mój pogląd z grubsza podzielali koledzy, z paczką których błąkałem się po smętnym miasteczku w ten mroźny i śnieżny dzień. My, dwudziestokilkuletni chłopcy, szukaliśmy jakichkolwiek śladów tej „w koło Wojtek” zapowiadanej wojny, przed ratuszem, obok prezydium RN i innymi urzędami i nic, wszędzie cisza. Tu i ówdzie kręcili się jacyś, ale działań żadnych. Za to mój ząb zachowywał się jak najbardziej agresywnie, wręcz wojowniczo, od ćmienia przeszedł na etap lekkiego bólu, by pod wieczór przeprowadzić świdrujący atak w stronę lewego oka, zupełnie nie reagując na wszelkie sposoby pacyfikacyjne, podpowiadane mi przez kolegów. Wszystkie tabletki przeciwbólowe, kufel piwa czy też setki wódki wręcz rozjuszyły go. Wieczorem, kiedyśmy się rozchodzili do domów, któryś z przyjaciół poradził zupełnie rozsądnie: „Wyrwij go póki czas, bo spokojnej nocy miał nie będziesz”.

Wziąłem się na odwagę i zdecydowanym krokiem ruszyłem do znanego dentysty, starszego już wtedy pana, mieszkającego przy głównej ulicy, który często prywatnie ratował z takich opresji obywateli naszego miasta.

Jednak po wejściu do mieszkania doktora szczeka mi opadła, a odwaga opuściła tak dalece, że nawet ząb uspokoił się i przestał atakować. Okazało się bowiem, że dentysta jest tak pijany, że nie tylko płały mu się nogi, ale kwestionował fakt, że ząb był kiedykolwiek plombowany. Pełen obaw, czy myślimy o tym samym zębie, dla pewności do momentu uchwycenia go przez kleszcze lekarza trzymałem na nim palec. Bez żadnego znieczulenia czy zbędnego krygowania się ząb został szybko i fachowo usunięty, o czym się przekonałem, sprawdzając w lustrze, czy to aby na pewno TEN. W tym czasie doktor, trzymając ząb w kleszczach, oglądał go z lubością i dopytywał się, w którym to niby miejscu jest ta plomba. Nie chcąc prowadzić jałowych dyskusji, zapłaciłem mu za radykalną interwencję i skierowałem się do drzwi, na zęba nawet nie spojrzałem – dosłownie miałem go powyżej uszu.



Wychodząc od doktora, w słabym świetle latarni zobaczyłem żelazne cielska czołgów, z łoskotem sunące w stronę Wrocławia. Zaświtała mi myśl, że Jaruzelski to też taki nietrzeźwy dentysta, napojony ruską nienawiścią i że krew nie tylko z wybitych zębów znów popłynie. Wciskając w zębodół zwitek waty, szybko szedłem do domu, byłem w pewnym sensie szczęśliwy – to nic, że jakiś tam stan wojenny, że chłodno, głodno i nie wiadomo, co będzie jutro. Ważne, że doktor, choć w sztok pijany wyrwał właściwego zęba i w końcu przestało boleć, a w domu ciepło i coś gorącego wreszcie się zje.

Był to mój pierwszy stały ząb, jaki mi wyrwano, następnego usunęła mi dentystka w areszcie śledczym przy ul. Świebodzkiej we Wrocławiu, stało się to prawie dokładnie rok później.

Namawiała mnie do leczenia pozostałych zębów, była trzeźwa.

* * *

Ów stan wojenny jeszcze mocno mi dał w kość, czekało mnie internowanie i więzienie, rewizje, przesłuchania i nękające 48-godzinne areszty, moje życie miało zostać przestawione na całkiem innej tory, ale wtedy, wracając do domu obok wyprzedzającej mnie kolumny polskich czołgów, jadących pacyfikować polskie fabryki, byłem wolny od bólu – i dlatego prawie szczęśliwy – w pierwszym dniu dziwnej wojny polsko-jaruzelskiej.



St. Ryczek, linoryt, 1986 r.

Kwiaty jako narzędzie przestępstwa

31 sierpnia 1982 r., godzina dziewiąta wieczorem, zaczyna zapadać zmrok. Wracam od znajomych, jestem na ulicy Ścinawskiej, obok „Ruskiego placu”, kiedy zatrzymuje się obok mnie nyska milicyjna, tzw. suka. Z szoferki wyskakuje oficer MO, legitymuje mnie. Jednocześnie otwierają się boczne drzwi, skąd patrzy na mnie kilku roślących drabów, obok nich leżą jakieś hełmy, tarcze, jednym słowem sprzęt do walki. Świadczy on, że mam

do czynienia nie z drogówką czy jakimiś „krawężnikami”, ale z zomowcami. Nie znam żadnego z nich nawet z widzenia, dochodzę do wniosku, że ta ekipa nie jest z Wołowa.

Tymczasem jestem ostro indagowany przez oficera: dokąd idę, po co mi są kwiaty i co chcę z nimi zrobić. Odpowiadam zgodnie z prawdą, że wracam do domu, a kwiaty są dla mojej szefowej, bo jutro są jej imieniny. Widać, że nie bardzo mi wierzy, zadaje dodatkowe pytanie:

– Więc czy je są jutro imieniny? – Jestem zdziwiony jego ciekawością na temat mojej znajomości kalendarza, ale widok zomoli mobilizuje do szybkich odpowiedzi, bez zbędnego ociągania się.

Moje odpowiedzi na następne pytania niewiele mu wyjaśniają, ale mają na celu sprawdzenie mojej prawdomówności. Zdaję sobie z tego sprawę, dlatego recytuję z szybkością karabinu maszynowego: gdzie pracuję, gdzie mieszkam i jak się nazywa pani, dla której są te kwiaty, i najważniejsze: czy na pewno ma na imię Stefania, bo jak powiedziałem wcześniej, jutrzejsze imieniny obchodzą Stefan i Stefania.

Przesłuchanie wypadło dobrze, bo dają mi spokój i po ostrzeżeniu, żebym na pewno poszedł prosto do domu, odjeżdżają w stronę Wrocławia.

Dopiero później uświadomiłem sobie, że wataha ta wracała z Lubina, gdzie zajmowali się tłumieniem pokojowej manifestacji, w której zastrzelono trzech ludzi, a wielu zostało rannych i kto wie, czy to nie któryś z nich przyczynił się do tych ofiar. Mnie zatrzymali tylko dlatego, że niosłem kwiaty. Tych pięć czerwonych róż spowodowało, że zomowcy, zmęczeni po całodzinnej akcji, postanowili sprawdzić, czy nie posłużą one do popełnienia przestępstwa. Bo a nuż złoży je pod jakimś pomnikiem, tablicą lub zostaną użyte do ułożenia krzyża, a jak wiadomo, nic tak nie wkurza ZOMO jak taki krzyż z kwiatów. W Lubinie też zaczęło się od kwietnego krzyża, a skończyło się na kwiatkach na grobach ofiar.

Mieczysław Poźniak, mieszkaniec Orzeszkowa, wioski oddalonej o kilkanaście kilometrów od Wołowa, został tego dnia zastrzelony w Lubinie. Czy kwestią przypadku jest, że akurat niósł bukiet kwiatów, kiedy dostał serię w plecy?



Autor nieznan

Dzień 11.11.1982

Szliśmy schodami w dół. Esbek prowadził mnie z przesłuchania z powrotem do aresztu. Chociaż prawdę mówiąc, jakie to tam przesłuchanie, raczej rozmówka z troskliwym wujkiem próbującym mnie złapać na kłamstewku, nawet gazetę do poczytania dał. Była akurat informacja o zwolnieniu Wałęsy i jego dziwny list do Jaruzela, z podpisem kapral Wałęsa, ale też zakreślona ołówkiem notatka, że w Wołowie schwytano sabotażystów. Prawdziwe przesłuchanie będzie dopiero jutro, czterech agresywnych ubeków, krzyżowy ogień pytań i w końcu bicie po mordzie.

Dzisiaj jeszcze nie wiem, co mnie czeka. Zadowolony wracam do celi, pewnie chłopaki zostawili kolację. Zresztą z tą kolacją to też przesada, ot kubek zbożowej gorzkiej kawy i czerstwy chleb z margaryną i serem z darów. To samo menu było na śniadanie. Obiad też jakiś taki nijaki, zupa w kubkach, tyle że drugie danie na aluminiowych platerach. A cóż to w areszcie naczyń nie mają? Klawisz mówi, że przepełnienie. Może i prawda, bo bywalcy mówią, że ostatnio wyjątkowy tłok.

No i te wyszukane potrawy – jak się przypadkiem trafi, że zupa nie z kapustą, to już na drugie na sto procent, że będzie kapucha. Po tym żarcu mam zgagę i już mnie ona nie opuści, choć też o tym jeszcze nie wiem. Wielu rzeczy jeszcze nie wiem, bo w areszcie jestem dopiero drugi dzień.

Dziś rano przywieźli nas z wołowskiej komendy, czterech „suką”, a Piotra i Baškę kulturalnie: dużym fiatem.

Duża afera – sabotaż w powiatowym miasteczku. Zablockowanie dróg wyjazdowych kołcami, flaga Solidarności na kominie gorzelni. Bezpieka, milicja, ormowcy – wszyscy na równych nogach. No i pech chciał, że ormowiec rozpoznał Wieśka wracającego z akcji. Wielka wyspa, ale mnie póki co nie szarpia o kolce. Nagabują o materiały poligraficzne, wiedzą skądś, że je miałem, ale na rewizji nie znaleźli i kombinują, gdzie się podziały.

Oprócz paru rysunków antyreżymowych i starego, zardzewiałego rewolweru, co go wzięli chyba dla dowcipu albo z głupoty, nic na mnie nie mają. Jednak obawy mam, bo jak chłopaki pękną, to leżę, a raczej siedzę, i to kilka niedziel – palmowych. Jak o tym myślę, skóra mi cierpnie.

Nagle ubek skręca i zamiast do aresztu wchodzimy do przyciemnionego pomieszczenia. Na lewo przy biurku urzędniczka w cywilu, maszyna do pisania oświetlona lampką. Na wprost drzwi zasiatkowane, ale uchylone okno. Bezwiednie podchodzę i patrzę w dół. W mokrym bruku i kałużach odbija się światło latarń. Ludzi mało, wiadomo, zbliża się godzina milicyjna, ale słyszę gwar, chyba gdzieś niedaleko jest przystanek tramwajowy. Ech, jak bym chciał być tam, na tej ulicy.

Odrywa mnie groźny wrzask milicjantki:

– Odeść od okna! Pod ścianę!

Posłusznie stoję przy ścianie. Ubek pokazuje babie jakieś papiery.

Tiu, tiu, tiu, uśmiechają się do siebie, szczebioczą. Urzędniczka to jeszcze nie stara babka, na oko czterdziestka. Trzaska maszyna, kilka pytań twardym głosem i już podpisuję odbiór jakiejś decyzji.

Milicjantka informuje, że zostaje internowany bezterminowo w Strzelinie. Esbek obserwuje reakcję.

Wychodzimy. Idziemy jeszcze jedną kondygnację w dół. On, patrząc mi w twarz, nagle mówi:

– Widzę, że nie jest pan zmartwiony.

Noż, kurczę, że też nie umiem zachować pokerowej miny. Zbywam go jakąś banalną odpowiedzią w rodzaju, że to zaszczyt siedzieć z politycznymi. On się uśmiecha, swoje wie.

Wchodzę na dyżurkę, czekam na strażnika. Ubek kończy z dyżurnym wypełniać kwity, że aresztanta nr 734 odstawił do miejsca przeznaczenia. Rozglądam się po pomieszczeniu. Dyżurka to pokój z biurkiem, telefon, pod ścianą ławka, dwie pary drzwi żelaznych z małymi drzwiczkami à la judasz. Na ścianach plakaty – agitki, ale mało inteligentne, pewnie dla zomowców.

Czytam z zainteresowaniem, będzie z czego pośmiać się w celi: „Żadne polskie słowo nie zaczyna się na literę V” – no kto by pomyślał, że takie przenikliwe myśli kłębią się pod tymi niebieskimi hełmami, „Kto na murach V maluje, ten z Reaganem kolaboruje” – ale jaja, co za debile wymyślają te slogany! Obok plakat z rysunkiem bosego gościa z głupią gębą i podpis: „Emigracja wewnętrzna 1982”. Przyglądam się uważnie, bo są odnośniki i dopiski małymi literami. Tak więc w kłapach marynarki opornik, Matka Boska i znaczek Solidarności. Na rękawie czarna opaska – żałoba, na szyi krzyż (duży, w rodzaju tych, które się wiesza na ścianie), w ręku świeca (gruba – to raczej gromnica), długie włosy i broda, wszystko splecione w nieładzie, i na bosaka. Ostatniego dopisku nie bardzo rozumiem, że niby Solidarność do takiej biedy doprowadziła, że na bosaka chodzi, czy autor tak sobie wyobraża formę protestu, jak to oni mówią, „ekstremy”?

Przejmuje mnie milicjant i odprowadza do celi. Na drzwiach, grubych obitych blachą z judaszem i dwoma ryglującymi zasuwami cyfra 7.

Cela czteroosobowa, ale jest nas sześciu. Ci trzej, co siedzieli przedtem, i nas trzech z Wołowa. Tubylcy jakby każdy z innej parafii. Młody fizyk, Adam – nakręcony buntownik. Pan Czesław, chyba emeryt, dorabia jako stróż czy palacz na uniwersytecie – bardzo cichy człowiek, zupełnie nie rozumie, dlaczego się tu znalazł. I Mateusz, w okolicach czterdziestki, tłumacz przysięgły

i zdaje się wykładowca angielskiego, jest w nim coś kobiecego (ciota?), ale może się myłę, bardzo gadatliwy.

Swoją drogą to dziwne, że nas trzech z jednej sprawy wsadzili do jednej celi, chyba żebyśmy uzgodnili zeznania. Musi być rzeczywiście przepełnienie i nie panują nad tym bałaganem. Janek, nauczyciel, znam go z widzenia, jest chyba jakąś szyszką w Solidarności wołowskiej. Bardzo charakterystyczny, broda, laska, but ortopedyczny (pewnie po Heinego-Medina). Jak taki wpadnie w oko, trudno zapomnieć. Wieśka nie kojarzę, a okazuje się, że pracujemy obaj w lubińskim szpitalu. Ale szpital to kilkanaście oddziałów, wiele budynków, duży teren. Personel pracuje na trzy zmiany, a ja przyjąłem się tu dopiero cztery miesiące wcześniej, więc nie ma co się dziwić, że się nie znamy. Co innego Baśka, młoda, ładna szatynka (laleczka, ale z charakterem), pochodzi chyba z Warszawy, zastanawiające, jak trafiła na to zadupie. Rozmawiałem z nią kilka razy w pracowni plastycznej, gdzie pracuje, twarda sztuka, ma swoje zdanie i nie pęka. Skazanych w naszej sprawie będzie sześcioro, bo Baśka po 48 godzinach wyjdzie, nic na nią nie mają, oprócz tego, że wykonała dwie flagi Solidarności.

Piotrek siedzi w innej celi, zobaczymy się dopiero za dwa miesiące, w areszcie na Świebodzińskiej. Tak jak z dwoma pozostałymi (Edkiem i Antkiem), o których jeszcze nie wiem.

Strażnicy-milicjanci zmieniają się chyba co 12 godzin. Czasem trafi się jakiś normalny, ten, co mnie eskortuje do celi, to trochę gaduła, mówi, że wczoraj i dziś były manifestacje, stąd tylu zatrzymanych, tyle to wiem, nawet w celi było słychać skandujący tłum i huk petard, ale pociesza, że za 48 godzin się rozluźni i znów będzie normalnie, nawet spacerować znowu będą. Z tymi spacerami to rzeczywiście kłopot – od dwóch dni ich nie ma, a cela taka mała, że jak jeden chodzi, to reszta musi siedzieć na wyrach. No i ten kibel półtora metra od stołu, niczym nieosłonięty, przecież to się w głowie nie mieści. Spać też nie za bardzo można, szczególnie na początku, bo prycza to twarde, zbite z desek podium, materac – śmiech na sali – półtora centymetra szmaty czy watoliny, do tego jeden brudny koc na łebka. O poduszce zapomnij. Nie, areszt stanowczo nie jest wygodnym miejscem.

Cela jeszcze nie śpi. Wcześniej, dopiero minęła 21 – widziałem na dyżurce. Wiesiek mówi, że odezwała się Baśka, jak jeszcze widno było, ale on nie odpowiedział, bo stolik klawisza niedaleko drzwi i jest niebezpiecznie. A Wiesiek dzisiaj przy przyjęciu, na dzień dobry, dostał pałą i to dość nieszczęśliwie, bo końcówką w kręgosłup i przez jakiś czas stracił czucie w lewej ręce (będzie mu drętwiała jeszcze z półtora roku).

Chłopaکی mówią, że w skrzydle B siedzi dziewczyna, która codziennie śpiewa „Mury” Kaczmarek. I rzeczywiście po kilku minutach śpiewa.

Kurczę, aż ciarki chodzą po plecach, żadna sala koncertowa ani najlepsza solistka, nie oddadzą tego uniesienia, jakie daje nam ta dziewczyna, śpiewająca w więzieniu dźwięcznym głosem:

„...wyrwij murom zęby krat,
zerwij kajdany połam bat,
a mury runą, runą
i pogrzebią stary świat...”

Areszt cichnie, wstrzymujemy oddech, ludzie stają na pryczach, żeby być bliżej okna, żeby nie uronić ani słowa. Dziewczyna odważna, nie przestaje, mimo że klawisz drze się, żeby zamknęła mordę. Nie pękła. Podziwiamy ją i zazdrościmy odwagi.

Towarzysze z celi oglądają decyzję, uzasadnienie, chociaż absurdałne, nie budzi zdziwienia, prawie wszyscy mają wpisana taką samą treść. Żartujemy, że na bardziej sensowne uzasadnienie ich nie stać. Trzeba być wyjątkowo debilnym prawnikiem, aby w uzasadnieniu internowania wpisać „Istnieje uzasadnione przypuszczenie, iż pozostając na wolności naruszy obowiązujący porządek prawny”. Ktoś celnie zauważa, że istnieje uzasadnione przypuszczenie,

że takie mądrości wymyślają im pacjenci z „psychiatrika”.

Adam, wysoki, chudy brodac, dyktuje mi odwołanie od tej decyzji do ministra spraw wewnętrznych. Jutro oddam je dyżurnemu klawiszowi. Oczywiście do żadnego ministerstwa nie trafi, lecz zostanie wpięte do moich akt.

Leżymy. Światło do osiatkowanej wnęki nad drzwiami świeci prosto w oczy. Taką żarówkę wykombinowali, że do czytania za słaba, a jednak w spaniu przeszkadza. Nigdy nie gaśnie – wieczna lampka – taka ich mać.

Rozmawiamy jeszcze o prowokatorach, których widzieliśmy przed południem, kiedy nas prowadzili do przyjęcia. Ze dwudziestu szykowało się do wyjścia na miasto, chowali za paski kawałki



Plakat – linoryt, 1987 r.

grubych kabli, jakieś pałki samoróbki, kastety, łańcuchy. Wszystko młode gnoje, poubierani w skóry, dzinsy, długie włosy. Wyglądali jak banda chuliganów. Ot, swołocz, ubecka żulia. W telewizji znowu powiedzą o solidarnościowych bojówkach – kij im w oko. Najważniejsze nie dać się złamać.

Trochę ironii, trochę smutnych mądrości przed snem, w rodzaju: nadzieja umiera ostatnia, ale jednak jest matką głupich. Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej itp.

Adam recytuje wiersz Harasymowicza, ja w zamian cytuję fragment Leonarda Cohena:

„...Jak ptak na drucie, jak pijak w nocnym chórze,
spróbuję na swój sposób być wolnym”.

Zasypiam, bo dwie noce już nie spałem, w jedną rozkładałem kolce, a drugą w wołowskim areszcie na gołych dechach nie sposób było usnąć. A nocy takich we wrocławskich aresztach będzie jeszcze 86.

Do Strzelina nigdy nie dotarłem.

DECYZJA NR 2305
o internowaniu

Uznając, że pozostawanie na wolności obywatela

nazwisko i imię Rydzek Stanisław

imiona rodziców Stefan Eugenia

data i miejsce urod: 23.10.1957 Brzeg Dolny

zawód (zajęcie) i miejsce pracy

miejsce zamieszkania Wołów ul. Armii Ludowej 7

zagroziłoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że

istnieje uzasadnione przypuszczenie, iż przebywając

na wolności naruszy obowiązujący porządek prawny

na zasadzie art. 42 dekretu z dnia 12 grudnia 81r. ~~xxxxxxxxxxxx~~

~~Rzeczniczka Prokuratury Rejonowej w Wołowie, obywatelka, obywatelka, obywatelka~~

o stanie wojennym
postanawia się:

1. internować ob. Rydzek Stanisław

i umieścić go w ośrodku odosobnienia w Strzelinie

Na esbeku czapka gore

Facet, który niespodziewanie czepił się mnie wieczorem 9 listopada 1982 r. w Wołowie na ul. Panieńskiej, koło straży pożarnej, sądził zapewne, że rozpoznałem go jako esbeka (wiadomo, na złodzieju czapka gore). Bardzo agresywny, jednak nie dążył do bójki. Ale najdziwniejszy był pretekst. Poszło mu o to, że splunąłem mu pod nogi, chociaż naprawdę, kiedy splunąłem, był jeszcze dobrych kilka metrów przede mną i byłem zdumiony, że tak to zinterpretował. Nie wiem, czy rozpoznał mnie następnego dnia, kiedy wraz z grupą esbeków i mundurowych milicjantów zjawił się u mnie na rewizji. Myślę, że rozpoznał, ale nie dał tego po sobie poznać. Gdyby wiedział, że właśnie wtedy niosłem w plecaku sprzęt i materiały poligraficzne, by ukryć je u kolegi **Lecha Krzeszowskiego**, a których bezskutecznie nazajutrz szukał wraz ze swoją ekipą, inaczej by postępował w stosunku do mnie i przede wszystkim spytałby, gdzie wtedy szedłem i co niosłem w plecaku. Na szczęście temu eks-zomowcowi (J. Sabatowi) nie przyszło to do głowy. Nawiasem mówiąc, historia ta miała swój ciąg dalszy, była bowiem wszczęta jeszcze jedna sprawa przeciwko naszej wołowskiej grupie, oprócz sabotażu i fikcyjnego nielegalnego posiadania broni (bo granatów dymnych i starego, niedziałającego rewolweru wykopanego w ogrodzie biegli nie zaliczyli do broni). Była to sprawa z dekretu o stanie wojennym – o niezaprzestanie działalności związkowej w okresie obowiązywania stanu wojennego. Czyli o drukowanie ulotek i te materiały do tego służyły. Nasza odmowa zeznań (Piotra Berezy i moja) oraz brak dowodu w postaci tychże materiałów spowodowały upadek oskarżenia. A było tak blisko!



Typ zarekwirowanego rewolweru

Wizyta w gabinecie okulistycznym

Siedzieliśmy na ławce przed gabinetem. Trochę za szybko przyjechaliśmy. Mój opiekun w stopniu plutonowego MO zaczyna się nudzić. Ja przeciwnie, mogę tu siedzieć nawet pół dnia, nie spieszy mi się do celi. Moje oczy spragnione są światła, ludzi, ruchu, kolorów. Już miesiąc siedzę na dołku i to pierwsza taka atrakcja. Wizyta u okulisty, i to poza aresztem!

Na komendzie lekarz bywa dwa razy w tygodniu i też można skorzystać, ale taki tam gabinet! Po prostu jedną celę na końcu korytarza wybiątkowali, wstawili biurko i kozetkę, wymyli okno i zdjęli z niego blindę, zainstalowali jarzeniówkę na suficie i jest gabinet.

Zapisaliśmy się prawie całą celą na początku grudnia. Bo jak przymroziło, to w celi taki ziąb się zrobił, że psy można było ganiać (zresztą, te cztery letnie żeberka koło kibla nie miały szans na ogrzanie czteroosobowej celi). Dlatego wszyscy byliśmy w mniejszym lub większym stopniu przeziębieni. Siedzieliśmy w kurtkach, ponakrywani kocami, kaszlący, smarkający i chrypiący, gorączkujący i ponurzy jak skazańcy, a przecież byliśmy tylko tymczasowo aresztowani, a niektórzy internowani. Cały areszt KWMO jest leczony z wszystkich chorób, jakie istnieją, przez jedną lekarkę. I tu ciekawostka: lekarka jest okulistką. A najpoważniejszy lek, jaki zapisuje, to polopiryna.

Kiedy przyszła moja kolej, zostałem doprowadzony przed jej oblicze, jednak moje skargi i jęki, że głowa boli i kaszel i katar, a w celi zimno, aż para z ust idzie, a okna domknąć nie można, bo blinda przeszkadza... zostały zlekceważone.

Jedyną reakcją było pytanie do strażnika, czuwającego nad badaniem, jak jest z ogrzewaniem cel. Odpowiedział, że jak najbardziej i że regulaminowo, a okno już zgłoszono i lada dzień będzie naprawione.

Taki konsultant medyczny – stoi jełop i tylko powietrze psuje. Jemu tam wsio OK, przecież to nie on jest przemarznięty i chory, bo u niego na korytarzu ciepłutko, a i grzejniki regulaminowo grzeją.

Tak więc pani doktor, zasięgnąwszy fachowej porady, przepisała polopirynkę i dodatkowy koc. Jednak nie każe wyprowadzać, zainteresowała się rozbitym szkłem w moich okularach.

A co się stało, a czy pamiętam, jakie to szkło, znaczy, ile ma dioptrii. No i patrz, wypisała skierowanie do polikliniki MSW, do okulisty, wcale nieproszona. Jednocześnie poinformowała, że to skierowanie jest do niej, bo tam właśnie pracuje (znaczy: skierowała mnie do siebie samej). Aż milicjant się zdziwił taką dobrocią pani doktor, że takim przestępcom państwo ludowe nie odmawia pomocy – bęcwał!

No i tym sposobem jestem przed drzwiami pani dr okulistki-internistki. A tak poważnie i bez ironii to dopieklą mi ta promieniście pęknięta soczewka. No bo jak tu patrzeć jednym okiem?

Bo dwoma nie da rady (rozkawałkowany obraz). Ani czytać, ani żyć, dobiło mnie to jak przysłowiowa kropla przepełniająca czarę.

Historia tego wypadku głupia i banalna. Otóż Zygmunt Zawisza miał przepisaną codzienną kąpiel (kurczę, toż to sanatorium!) Taki towarzysz w celi to skarb, bo strażnikowi to „ganz egal”, czy kąpie się jeden czy dwóch, więc co dzień ktoś z celi miał kąpiel z Zygmuntem, byliśmy chyba najczystsza celą na bloku B, a inni figę – raz na dziesięć dni. I to właśnie pod prysznicem okulary spadły mi z murka i szlag trafił szkło.

W tym nieszczęściu zdarzyło się, że internistka okazała się okulistką, a to już szczęście, a nawet fart. Więc może i los się odmieni, bo naprawdę byłby już czas. Internowanie zamieniono mi na tymczasowe aresztowanie, niedawno dostałem akt oskarżenia z art. 220 (sabotaż), zagrożony do 10 lat, ubek straszyl, że włącznie z karą śmierci, ale kto by tam głupka słuchał i mu wierzył. Sprawa w trybie doraźnym, więc wyrok będzie zaostrożony. Krótko mówiąc, z wejściem na salę już mam trzy lata, a ile ponad, to się okaże.

Zardzewiały rewolwer-zabytek, co go esbecy chyba dla śmiechu wpisali do protokołu przeszukania mieszkania, okazał się dla prokuratora podstawą do wszczęcia śledztwa z art. 286 kk. (nielegalne posiadanie broni – do 5 lat). Sprawa jest w Śląskim Okręgu Wojskowym, a rupieć wysłany do Warszawy, do ekspertyzy. Śmiać się czy płakać?

Jakby tego było mało, prokurator „kręci” naszej grupie dodatkową sprawę z dekretu o stanie wojennym za drukowanie ulotek i szkalowanie organów państwowych. Tu co prawda nie jestem głównym oskarżonym, ale za pomocnictwo do pół roku mogę wyłapać. Więc czas na odmianę tej passy.

Tymczasem gwarzymy sobie z obywatelem plutonowym. Bo się okazało, że do lubiąskiego „psychiatryka” to on w konwoju często jeździ, odwożąc więźniów na obserwację. Korci go, żeby się dowiedzieć, jako kto tam pracowałem, ale funkcja instruktor terapii zajęciowej niewiele mu mówi. Gdybym był sallowym, to tak, bo on kilku zna.

Choć to niedawno przecież, ale mówię o tym jak o innym świecie – pewnie mnie już zwolnili i już tam nie wrócę, chyba że jako pacjent (a może to jest myśl?).

Ludzi coraz więcej w poczekalni, ale koło nas luźno. Właściwie to się nie dziwię, jak zobaczyłem się w lustrze (byłem w WC), przemknęło mi – ale facet ma mordę! A po sekundzie – achą przecież to lustro – dawno tego

urządzenia nie widziałem i dlatego się nie poznałem. Jednak stwierdziłem, że wyglądam nieciekawo: pęknięte szkło w okularach, broda jak łopata, ubranie wyświechtane, wymięte i krótko mówiąc, brudne, przecież prawie go nie ściagam, nawet w nim śpię, tak jak wszyscy w celi – bo zimno jak diabli.

Stwierdziłem, że nie mogę liczyć na litość ani sądu, ani nawet tych tu pacjentów. No bo z takim wyglądem nie wzbudzę niczyjego zaufania. Dobrze, że po wejściu do przychodni plutonowy mnie rozkuł, chociaż nawet bez kajdanek wyglądam na bandytę. Nie oszukam nikogo, że jestem niewinny, nawet tej babci, co usiadła na końcu ławki i patrzy na mojego konwojenta jak na jedyną deskę ratunku przed tym brodatym belzebubem.

Do gabinetu wchodzę pierwszy (po uważaniu? A może takie przepisy), po 10 minutach jestem załatwiony. Wychodzę z receptą, milicjant przed drzwiami czeka – tu nie areszt, tu inna kultura obowiązuje. Schodzimy do hallu i chwilę czekamy na drugiego aresztanta (coś tam ma z żołądkiem).

Znowu zakładają obrączki i do kabaryny. Taka kabaryna to trochę jak karcer na kółkach. Kilka minicelek, okienko jedno, w tylnych drzwiach, w przed-sionku, tam, gdzie siedzi konwojent. Drugi siedzi w kabinie koło kierowcy, aresztanci w ciemnych celach, nad drzwiami żarówka.

Znowu procedura zdawczo-odbiorcza więźniów. Facet, z którym jestem skutny, wie, że jestem z Solidarności (poznał po brodzie) i pucuje, że siedzi z Frasyniukiem na górnym piętrze, nawet numer celi podał. To cela na tzw. górze. Według nomenklatury strażników areszt dzieli się na górkę, środek i dołek, a każdy z tych oddziałów składa się z dwóch kondygnacji. Ja jestem na dołku, z tym że na tym wyższym (parter), w piwnicy chyba jednak najniższej, ci na górze mają amerykę.

Znów mam fart, dziś spacer wypadł później niż zwykle, więc się załapię.

Spacer na komendzie trwa 15 do 20 minut, tak na oko, bo zegarka nikt przecież nie ma. Spacerniak jest przygnębiający, ceglana studnia, jednak to jedyna rozrywka i nawet chory aresztant ze spaceru nie zrezygnuje. Chodzimy jednostajnie w koło, żadnej tu roślinności, niewielki kwadrat nieba na wysokości piątego piętra, krążące stadko gołębi. Spacerowy czyta jak zwykle książkę, w celi żartujemy, że pewnie się dokszałca i czyta lektury, być może jest na etapie „Konika garbuska”, no i proszę, przy którymś ze spacerów okazało się to prawdą (znaczy, z tym dokszałcaniem – wieczorówkę chłopak robi).

Na wysokości II piętra stara, jeszcze pruska płaskorzeźba przedstawiająca moment schwytania złodzieja, policjant w pikelhaubie jedną ręką trzyma lampę, a drugą złodzieja za kark. Około metra nad ziemią wiele dziur (po kulach?), pewnie niejeden wyrok tu wykonano. Ale nie ma co o tym myśleć, dziś czyste

niebo, promienie słoneczne oświetlają kawałek ściany, jest światło, są kolory, trzeba oczy sycić.

Po powrocie dają obiad. Bez rewelacji, kapuśniak, na drugie łązanki z kapustą. Opowiadał chłopakom swoje dzisiejsze przygody, pokazuje receptę – zrealizuję ją dopiero za tydzień w Okulusie, w trakcie wyjazdu na wizję lokalną (też będzie dużo przygód). Szkło wprawia co prawda inne, ale na poczekaniu, i jakoś się do niego przyzwyczaję, na oryginalne wymienię je dopiero pół roku później, już na wolności.

Po obiedzie gramy w zapałki. Docent Pohl dostał cynk, że jutro jedzie w konwój do obozu internowania w Nysie (szczęściarz).

Jeszcze przed kolacją strażnik woła Wieska po ostatnią już puszkę parówek w pysznym sosie pomidorowym. Wiesiek, farciarz, dostał paczkę z parafii, ale paczka jest zagraniczna, chyba z Francji.

Puszki z parówkami są ze cztery. W paczce różne fiki-miki: czekolada do picia i do jedzenia, ciastka, herbata i mleko w proszku i inne bajery, a wszystko w pięknych opakowaniach, kolorowych pudełkach i błyszczących torebkach (tam, na Zachodzie to musi być życie!).

Strażnik wysypuje parówki do miski, wiadomo, puszka w celi niedozwolona. Parówek jest 10 sztuk, nas sześciu, ale Wiesiek dzieli wszystkim po równo. Po takich smakołykach kolacja już nie bardzo smakuje, ale jeść się chce, bo te półtora kiełbaski tylko nas rozjątrzyły i choć chleb ma prawie tydzień, naostrzona rączka łyżki da mu radę. Naprawdę mam serdecznie dość słonego masła i tego sera o pomarańczowym koloru. To paskudztwo wycofywane z wojskowych magazynów, bo kończy się przydatność spożycia,

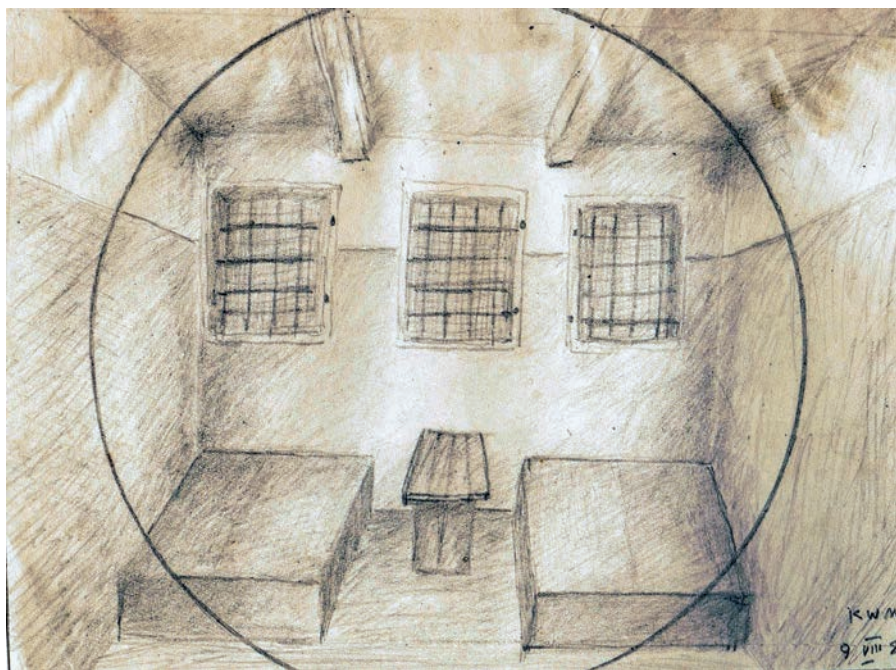
**PRECZ Z
JUNTA
JARUZELA
PACHOLEKA
MOSKWI**

Pieczątki odbijane przez P. Berezę i W. Krawca

ładuje jako dary w polskich więzieniach i w dodatku trzeba być za to wdzięcznym tym na Zachodzie.

Andrzej siedzi na kiblu i stuka „morsem” przez ścianę, rozmawia z dziewczynami. Odpowiedzi zapisuje na papierze toaletowym po każdej serii tłumaczy te kropki i kreski i nam odczytuje. Strażnik już coś podejrzewa, co jakiś czas zagląda przez judasza, więc Andrzej poszedł na kibel, bo tam go klawisz nie dojrzy.

Zgaga znów się odzywa, to po kawie zbożówce, alugastrin się skończył, jem pastę do zębów – trochę pomaga. Żeby tylko była bieżąca woda, napiłbym się i kwas w żołądku trochę by się rozcieńczył. Jednak jest tylko resztką wody do mycia w starym ocynkowanym wiadrze, ale pić jej się nie da. Ktoś rzuca pomysł, żeby pożegnać docenta naszą wspólnie ułożoną piosenką na melodię „Pod żaglami Zawiszy”, potem jeszcze Andrzej Jabłoński intonuje „Wieczorny dzwon”, ale w połowie klawisz wali w drzwi i cichniemy. Czas spać. Chłopaki klękają, mówią pacierz, zazdroszczę im wiary.



Cela nr 7, blok B, areszt Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu. Rys ołówkiem 1983 r.

Wizja lokalna – opowiadanie Wieska Krawca

Zapadał już zmrok, kiedy wprowadzono nas do celi, był 13 grudnia 1982, według zegara na dyżurce była godzina szesnasta z minutami. W słabym świetle żarówki nad drzwiami ujrzeliśmy znajomy widok: ciemnobrązowy stolik i dwa łóżka, a raczej prycze do złudzenia przypominające leżące szafy, w tymże kolorze, prawie czarny parkiet, trzy ściśle zasłatkowane okna i wysoką na dwa metry ciemnooliwkową lamperię, jednym słowem feeria barw i kształtów. Na stole obok przykrytego czystą ściereczką chleba, czekał zimny obiad, łazanki z kapustą w aluminiowych miskach, a na brzegu pryczy nasz kolega. Wychodząc rano, zostawiliśmy go w tej samej pozycji – czyżby skamieniał i zastygł?

– Już myślałem, że uciekliście i sam tu będę siedział – ożywia się.

– Mieliśmy taki zamiar, ale żal nam się ciebie zrobiło – wzdycha Wiesiek.

Jedząc skrzepłą, nieapetyczną breję (jednak głód jest silniejszy niż wrażeń smakowe i estetyczne), pomyślałem, że z tą ucieczką to nawet nie wiesz, Czesiu, jak byłeś blisko.

Kładę się na swoim miejscu od ściany, z wierszami Mickiewicza przywieszonymi dziś z domu, i czytam, a właściwie nieco udaję. Raz, że światło przy ścianie trochę za słabe, a dwa, że jeszcze raz muszę przebiec myślami ten dzień pełen wrażeń. Wiesiek robi to głośno, mianowicie opowiada Cześkowi wybrane fragmenty naszej eskapady, oczywiście odpowiednio ubarwiając, by były ciekawsze. Czesiek przyszedł do naszej celi trzy dni temu z jeszcze jednym kryminalnym, ale tamtego Heńka wczoraj gdzieś przenieśli. Czesiek, jak sam przyznaje, jest kryminalnym recydywistą, teraz siedzi za kradzież samochodu jakiemuś zmarłemu szewcowi. Chyba nie ma żadnych wyrzutów sumienia, bo raz zażartował: skoro umarł, to po co mu auto. Wiesiek jest wygadany. Lubię słuchać jego opowiadań, są ciekawe i zabawne, wiem że lubi i umie opowiadać, a że trochę koloryzuje – cóż, w końcu tak nam tych kolorów brak.

Właśnie mówi, jak zatrzymaliśmy się na wołowskim Rynku i namówił esbeka, żeby mógł wejść na chwilę do domu, przywitać się z matką i wziąć parę drobiazgów, bez których tak ciężko się żyje w więzieniu. A tu pech, akurat mieszkanie zamknięte. Wiesiek przekonał swego opiekuna, żeby sprawdzić od podwórka, być może okno balkonowe jest uchylone i uda się obudzić brata, zapewne śpiącego w pokoju, gdyż pracuje na nocki. Jednak rzucanie kamykami w szybę nie przyniosło rezultatu, a ubek nie zgadza się, żeby Wiesiek wspiał się po rynnie na pierwsze piętro. Tłumaczył, że przecież jest odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo, obrazowo opisując konsekwencje, jakie poniósłby w razie jakiegoś wypadku. Porucznik Witold Łaszczyński

gra rolę opiekuna i „dobrego wujka”, więc jego tłumaczenia są uzasadnione ale, zabawne jest, że Wiesiek w nie wierzy.

– Swoją drogą historia wręcz kabaretowa: aresztant wchodzący po rynnie, a ubek stojący na obstawie. To nie mogłoby się zdarzyć. – Gdy to mówię, wszyscy wybuchamy śmiechem.

W tym samym czasie, gdy Wiesiek testował wytrzymałość nerwów esbeka, ja miałem inny dylemat. Otóż powstała wymarzona wręcz sytuacja, żeby się urwać z tego nudnego towarzystwa. Kierowca właśnie zapadł w drzemkę, prokurator gdzieś polazł, fotograf przeglądał jakieś papiery, dwaj mundurowi z eskorty jeszcze nie całkiem się ocknęli i baraním wzrokiem patrzyli przez okno w całkiem inną stronę, wystarczyło odsunąć drzwi nyski, dziesięć kroków i jestem za rogiem księgarni. Miasto znam, mieszkam tu od dziecka, obmyśliłem, gdzie skieruję pierwsze kroki i gdzie się zadekuję na pierwsze godziny, ale co dalej?

Wołów to nie Wrocław, wystarczy obstawić cztery drogi, dworce PKS i PKP, a mysz się nie prześliznie, ormowców, milicjantów, donosicieli zawodowych i amatorów nie brakuje. W Wołowie wszystkie wejścia mam spalone (po prostu wszyscy opozycjoniści, których znam, „siedzą”). Żeby nawiązać kontakt z wrocławskim podziemiem, musiałbym przedostać się do Lubiąża, a i to nie jest pewne, czy ci z Wrocławia nie wezmą mnie za prowokatora, czy zechcą ryzykować. Za próbę ucieczki dokładają pół roku kryminału (tak mówili „złodzieje”), nie ma powodu, żeby w to nie wierzyć. Czyli klasyczny pat.

Tak deliberując, tracę minuty, jedną i drugą, aż nadchodzi najpierw prokurator i tuż za nim ubek z Wieśkiem. Szansa mija bezpowrotnie.

Wiesiek zaczyna następną powiastkę, ale powstrzymuję go i proponuję, żeby opowiadał po kolei. Mości się wygodniej na wyрку, przykrywa czterema kocami (tu jeszcze można, w areszcie na Świebodzkiej za leżenie w dzień byłby karny raport) i zaczyna:

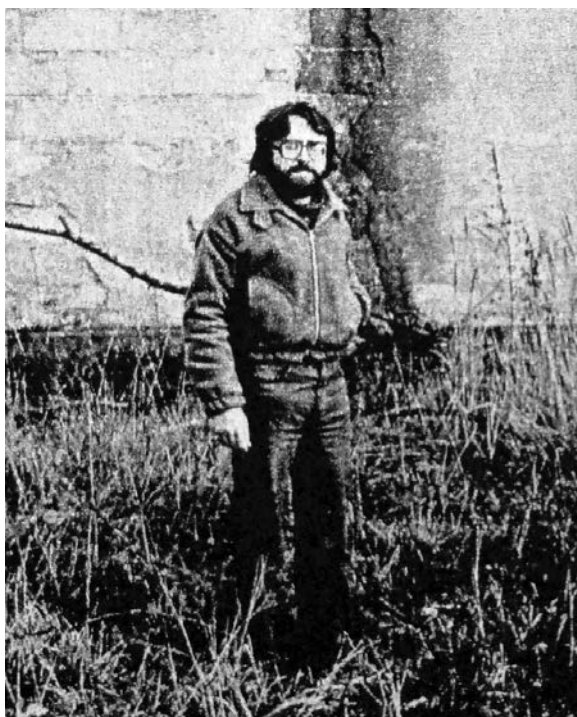
– Rano po wyjściu z celi na dziedziniec czekaliśmy z 15 minut na samochód. Obok prokurator, fotograf i esbek dyskutowali, czy w związku z rocznicą zostanie dziś w sejmie przyjęta uchwała o zniesieniu stanu wojennego. Prokurator twierdzi, że wrocławscy posłowie deklarowali głosowanie za tą decyzją. Tak pierniczą, jakby sejm miał tu coś do gadania, przecież wiadomo, że takie decyzje zapadają całkiem gdzie indziej (pewnie w Biurze Politycznym lub w Moskwie), a sejm może co najwyżej zagłosować zgodnie z tymi ustaleniami – pomyślałem. Ale słuchamy chętnie, w końcu są to wiadomości prawie z pierwszej ręki, świadomi, że przenika do nas wiedza prawie hermetyczna. Na co dzień nawet „Trybuna Ludu” trafia do nas ocenzone, z powycinanymi artykułami, (swoją drogą ciekawe, komu się chce kastrować nożyczkami oficjalny partyjny dziennik).

Jak już zapakowaliśmy się do nieoznaczonej ubeckiej nyski, po tych wszystkich procedurach z otwarciem bramy daleko nie ujechalśmy, bo na plac Kościuszki. Tam, niedaleko księgarni muzycznej, jak żeśmy zakotwiczyli, to chyba na półtorej godziny.

Tu się wtrącam, żeby Cześkowi wyjaśnić historię okularów rozbitych pod prysznicem i deklaracji ubeka sprzed tygodnia, że zrealizuje mi receptę od więziennej okulistki. Ale ubek jak to ubek – rozbite okulary i receptę wziął, dużo naobiecował, ale ma to w dupie. I dziś z samego rana, gdy zostałem spytany na dy-

żurce, czy będę uczestniczył w wizji lokalnej, wyczułem, że to jest ten moment, kiedy mogę coś wytargować. Kiedy uzależniłem swoją zgodę od naprawy okularów, ubek błyskawicznie stwierdził, że od dawna o tym myślał, ale ciągle brakowało mu czasu. Potem okazało się, dlaczego był taki chętny, otóż Piotr, nasz współnik w przestępstwie, odmówił udziału w wizji lokalnej. Więc jestem jego jedyną szansą, żeby dzisiejsza wizja mogła się odbyć. A nasz postój uzależniony był od szybkości pracy optyków w Okulusie, gdzie „nasz” porucznik zaniósł receptę do realizacji. I mimo że zlecił, jak mu powiedziałem, ekspresowe wykonanie naprawy, to jednak ten superekspres potrwał około godziny. Dodać trzeba do tego dwudziestominutowe oczekiwanie w kolejce po odbiór gotowych okularów, no i czas uciekł. Dziwne wrażenie, gdy stoisz obok wolnych ludzi, którzy za chwilę odejdą stąd do swoich spraw, a ty z powrotem do więzienia – kończę smutną dygresję.

– Jak już Stachu załatwił z tymi okularami – kontynuuje Wiesiek – tośmy ostro ruszyli na Wołów. Jednak po drodze byliśmy świadkami wypadku,



Stanisław Ryczek w trakcie wizji lokalnej 13.12. 1982 r.
Zdjęcie SB (z zasobów IPN)

a właściwie skutków wypadku, bo jak nadjechaliśmy, to kierowcy dwóch rozbitych samochodów czekali na milicję. I gdy zobaczyli w naszej nysce mundurowych, byli przekonani, że to do nich i oczywiście zaczęli się tłumaczyć. Ubek spytał tylko, czy są ranni, i po połączeniu się przez radiotelefon z dyspozytorem kazał im dalej czekać.

Następny przystanek był pod komisariatem w Wołowie, tam mogliśmy rozprostować nogi i wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem, bo prokurator z ube-kiem wrócili dopiero po 20 minutach z wołowskim mundurowym, który, jak się okazało, występował jako świadek, bo jadąc „suką”, też przebił oponę na naszych kołcach.

Później, już po objeżdżeniu tych wszystkich miejsc, porobieniu zdjęć, różnych pomiarów itd., jak to przy wizji, zatrzymaliśmy się Rynku i właśnie wtedy poszedłem z esbekiem do mieszkania, no i nie doszło do tej wspinaczki po rynnie.

Okazało się, że prokurator w tym czasie był w księgarni i kupił książkę Wańkowicza „Tędy i owędy”, pewnie towar przyszedł. Ubek się napalił i też polecił kupić. Powiedziałem, żeby mi też wziął, bo na koncie pieniądze mam, to sobie odbierze. Trochę się krzywił, ale w końcu się zgodził i książkę mam. – wskazał na leżący na stole tom. – Wstąpiliśmy jeszcze do domu Stacha, żeby mógł przywitać się z rodziną. U niego była chociaż siostra – mówi ze smutkiem.

– Faktycznie udało mi się wstąpić do domu – wtrącam – ale myślę, że tylko dlatego, że tam też musieli wykonać zdjęcie potrzebne im do dokumentacji. Przywiozłem długopis (bo poprzedni zabrali jeszcze w zeszłym tygodniu, jak



Wiesiek Krawiec obok komina gorzelni, pokazuje wejście, którym Piotr Bereza wszedł na komin, żeby wywiesić flagę Solidarności. Wizja lokalna 13.12. 1982 r. Zdjęcie z zasobów IPN

byliśmy na spacerze, że niby długopisy w celi zabronione), skarpety, bieliznę i dwie książki Mickiewicza: „Księgi Pielgrzymstwa Polskiego” i „Wiersze”. Niestety w domu nie było papierosów, a o jedzeniu nie pomyślałem. Zresztą nawet nie zająłem do lodówki, bo ubek deptał mi po piętach i jęczał, że już późno i musimy jechać. Siostrę tylko przekonałem, że wszystko dobrze i żeby się nie martwili, ucałowania dla rodziców i „auf Wiedersehen”, jak mawiają Czesi sudeccy.

– No i jesteśmy. I chociaż nie udało się uciec, tośmy kawał świata zobaczyli i zwiedzili – kończy Wiesiek.

– A wiecie, że mi też dzisiaj się udało pozwiedzać – zagaja Czesiu. – Zaraz jak was zabrali, strażnik mnie wypuścił, żebym wody ponalewał do wiader i poroznosił.

Wiem, o co chodzi, też kiedyś załapałem się na taką fuchę. Otóż na komendzie nie ma bieżącej wody, tyle że kible są spłukiwane, ale umywalek nie ma. Każda cela zaraz z rana po zabraniu butów z korytarza wystawia swoje wiadro i jeden z aresztantów napełnia każde z nich wodą z kranu na końcu korytarza. Przy tej robocie jest czasem możliwość zajrzenia przez „judasza” do poszczególnych cel, a nawet, kiedy dyżurny milicjant gdzieś pójdzie, można po cichutku pogadać ze znajomym z innej celi. Potem wodę się wnosi i cała cela może jej używać do woli przez cały dzień, bo następna dostawa będzie dopiero jutro.

Czytamy i palimy papierosy. Do kolacji jeszcze trochę czasu (w tym dniu, 13 grudnia na Świebodzkiej obowiązuje protest głodowy, ale my na komendzie nic o nim nie wiemy). Z tym nowym szkłem w okularach niezbyt dobrze mi się czyta, pocieszam się, że to kwestia przyzwyczajenia. Zresztą lekarka z premedytacją przypisała mi soczewkę taką, która była dostępna od ręki, bo na oryginalną trzeba by czekać około pół roku i za tę troskę jestem jej naprawdę wdzięczny – w końcu po kilkunastu dniach normalnie widzę, a że trochę niewyraźnie, to da się przeżyć.

Powietrze mamy wilgotne i ciężkie, czuć to szczególnie, gdy się wchodzi z korytarza, i w dodatku dalej go psujemy dymem z papierosów. Po naprawieniu niezamykającego się okna, czyli zaśrubowaniu go na stałe, w celi jakby cieplej, ale z wymianą powietrza fatalnie.

Nie dziwota, że człowiek ma chęć zmienić taką atmosferę, a że zabrakło mi odwagi – trudno – może jednak ten koszmar będzie miał jakiś happy end. Nasza więzienna piosenka, którą ułożyliśmy jeszcze z Andrzejem, Docentem i Zygmuntem też zawiera taką nadzieję:

(...) A gdy już stąd wyjdziemy czarnej kawy koszmarny,
będą śniły się w nocy z łązankami do pary (...)

Więzienna wigilia

Drzwi otworzyły się szcękliwie.

– Kolacja – zadudnił głos klawisza z korytarza. Łomot podjeżdżających garów. Podchodzimy ze swoimi platerami do drzwi. Kalifaktorzy szybko się uwijają, jeden nakłada ziemniaki, drugi rzuca na nie śledzia, a trzeci już zdążył nalać przepisowe pół litra kawy, i gotowe. Następny proszę. Dla każdego przypada jeszcze porcja kapusty, podobno z grzybami, ale decydujemy, żeby nałożyli tylko jeden kopiasty talerz i z niego będziemy sobie nakładać.

Stawiam swoją porcję z niezadowoleniem. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale czegoś lepszego – przecież dziś Wigilia.

Chłopaki podśmiewają się z mojej miny.

– No wiesz, w końcu dzisiaj post, trzeba się cieszyć z tego, co jest. Przecież karpia i pierogów z grzybami nam nie dadzą, to nie wigilia u mamy.

Przygotowania do wigilii trwały już od pewnego czasu. Jeszcze jasno było, kiedy Zbyszkowi i Robertowi udało się zaparzyć herbatę. Niestety tylko cztery słoiki, bo później korki wywaliło i chociaż klawisz kilka razy włączył, to za każdym razem faza siadała. Tak to bywa, kiedy kilka cel „siada na fazę”, bezpieczniki są tak przeciążone, że nie ma szans uczciwie czaju zaparzyć. Zaangażowano i mnie do tej czynności, moim zadaniem było przytykanie przewodu do metalowego gwintu, żarówki, podczas gdy Grzesiek, drugi przewód tak zwane zero, przytykał do rury wodociągowej. Robert operował jantara, czyli grzałką zrobioną z dwóch żyłek odizolowanych od siebie dwoma zapalnikami, a Zbyszek podawał słoiki z wodą i zasypywał herbatę do wrzątku. Później słoiki pod koce, będą gorące przez kilka godzin. Grunt to praca zespołowa. Trochę się wzbraniałem trzymać w ręce nieizolowany drut pod prądem, ale chłopaki wytłumaczyli, że nic mi nie grozi, bo na sienniku łóżka jestem dobrze izolowany i jeżeli dotknę ściany ani metalowej konstrukcji pryczy, to prąd mnie nie kopnie.



Grafika, Janusz Halicki



Akcesoria więzienne legalne: koszula, łyżka i nielegalne: noże, jantara, habeta. Fot. „Solidarny Wrocław”, wyd. 2010.

W tym areszcie jestem dopiero drugi dzień i ciągle jeszcze się uczę co i jak. Jeszcze wczoraj rano garowaliśmy z Wieśkiem w zimnej celi na komendzie wojewódzkiej, zresztą już od półtorej miesiąca i wcale nie zanosilo się, że coś się zmieni. A dzisiaj proszę, ciepła, jasna cela, z dwoma oknami, które można otwierać, bo nie ma blindy, krata tylko na zewnątrz. Przez radiowęzeł leci III program Polskiego Radia, na łózkach sienniki, prześcieradła, poduszki, słoma co prawda twarda i zbita, ale wystarczy ją trochę wzruszyć i w porównaniu z dechami na komendzie wydaje się niemal, że leżysz w puchu. Koło kibla lustro, kran i zlew, a nie wiadro i miednica. Do tego są prawdziwe długie spacery na dużym spacerniku, a nie robienie kółek na dnie studni. No i w końcu można czytać bez groźby utraty wzroku, bo żarówki są na suficie a nie w ściennej wnęce za siatką. Cella nr 11 na oddziale IIc jest bogata. Prawdę mówiąc, pierwszy i ostatni raz w więzieniu widzę taki zbytek. Kiełbasa wisi za oknem na kracie, na parapecie stosy konserw, pod wyrem na kartonach ułożone jabłka, cebula, czosnek. W szafce nad kiblem papierosy, różne gatunki, kilkadziesiąt paczek! Pół kilo różnych witamin w worku foliowym, herbaty

kilka paczek, smalec w słoikach, cukier, nawet cukierki, ciastka i, o zgrozo!, nawet czekolada – kilka tabliczek. Jednym słowem zaopatrzenie jak w sklepie przed kryzysem. Jednak i ja nie przyszedłem z pustymi rękami, bo swojej roboty kaszanka, salceson i kiełbasa zostały wysoko ocenione przez tubylców. Pogardzili, co prawda, mocno obitymi jabłkami, co je wraz z ciastem dostał przedwcześniej jako dar z Arcybiskupiego Komitetu Charytatywnego (wyrzucili je do kubła), ale już drożdżowe ciasto z kruszonką chętnie dołączyli do swoich zapasów, tak jak i moje dwadzieścia paczek giewontów.



„Nocne niebo – widok z celi”, linoryt 1983 r.

Leżałem dziś prawie cały dzień na wyrze, chociaż nie wolno, ale klawisz nie czepia się, w końcu wigilia. Słuchałem radia z „betoniary” – dziś lecą kolędy. Obserwowałem przedświąteczną krzątalinę. Mietek kroił ciasto, Robert przyrządzał rybę z puszki, doprawiając plastrami cebuli, przyprawami, Leszek układał opłatki na prawdziwym, niewięziennym fajansowym talerzu. Zaścielają stół, specjalnie na ten dzień zorganizowanym, prześcieradłem – nówką, nieśmigany. Tylko ja nic nie robiłem – patrzyłem, słuchałem, czekałem.

Choinki nie mamy, tylko koło głośnika-„betoniary” gałązka świerka. Kłಾದziemy koce na twarde stołki, żeby w tyłki było miękko, stajemy do modlitwy.

Przy łamaniu się opłatkiem niektórzy się rozklejają, chyłkiem ocierają oczy, a Mietek płacze jawnie, łzy skapują aż na brodę. Ja nie płaczę, ani mi to w głowie, ale – ci żonaci, dzieciaci... Staram się ich zrozumieć. No, a te życzenia też ludzi rozwalają. Wiadomo, czego się życzy w więzieniu: łaski Bożej, wolności, szybkiego powrotu do rodziny, do domu, do pracy, a dopiero potem zdrowia, szczęścia i pieniędzy.

Po wieczery śpiewamy „Boże coś Polskę”, a potem kolędy, ktoś zawnazaszu przygotował kartki z tekstami. Edek w kolędzie „Bóg się rodzi” błędnie śpiewa – noc truchleje, zamiast – moc truchleje. Zbyszek wyjaśnia

nieporozumienie i tłumaczy, na czym polega oksymoron, przy okazji nasświetlając poezję epoki oświeceniowej, w której żył Franciszek Karpiński, autor tej pięknej kolędy. Przyjemnie mądrego posłuchać, w końcu chłopak jest wykładowcą romanistyki na uniwerku.

Po kolacji tłuką w ścianę ci z lewej (z prawej siedzą kalifaktorzy, oni nigdy nie stukają, zresztą ich cela jest otwarta przez większość dnia). Eliasz przez okno pyta:

– Zajedź – znaczy: czego chcesz?

– Lola – pada hasło z tamtego okna.

– Jest Lola – potwierdza, wysuwając jednocześnie zmiotkę za okno.

– Uważaj, idzie habeta – Eliasz wciąga przez kraty na miotle zaczepioną habetę, czyli sznurek z uczepionym pudełkiem po zapalnicach. W środku kawałek mydła jako obciążnik i życzenia świąteczne z rysunkiem szopki.

Nie chcemy być gorsi, Leszek pięknym piśmem kaligrafuje życzenia, ja ilustruję. Papier z perforowanej taśmy komputerowej (tak mówią – bo ja komputera w życiu nie widziałem), długopis byle jaki, ale jakoś sobie radziemy. Rysuję mapę Polski sięgającą od morza do morza, Smoleńsk w naszych



Cela nr 11 oddz. IIC Areszt Śledczy Wrocław ul. Świebodzka 1. Obok drzwi głośnik radiowęzła, przy nim gałązka świerkowa. Rys. 1983.

granicach, zaznaczam Moskwę tuż za granicą. A co tam, marzenia nic nie kosztują, a i dowartościować się też trzeba.

Chłopaki wkurzają się, bo przez klawisza zasiedliśmy do wigilii w kalessonach i więziennych koszulach, po czym okazało się, że wystawka, dziś wyjątkowo była dopiero po kolacji. Więc nasze ubrania leżały sobie złożone w kostkę już przed kolacją, bo zawsze wtedy jest wystawka, a my w kalessonach przy wigilijnym stole – jak durnie.

Zasypiam już, gdy Eliasz tłucze z dolnej pryczy w deski, częstuje papierosem. Palę, chociaż mi się nie chce, ot, tak dla towarzysztwa, czuwamy razem – do Pasterki – jak mówi Eliasz.

Nie wiemy, która godzina, w nocy nie widać zegara na pseudogotyckiej wieży sądu. Czy mogę nazwać tę noc cichą i świętą, jak w tej niemieckiej kolędzie?

Kiedy jest bardzo ciemno i w oknach nie widać krat, rzeczywiście czasem można zapomnieć o więzieniu, ale naprawdę zapomnieć można tylko we śnie – póki nie wstanie dzień.

Wiersz Norwida

Akurat Eliasz Buczyński, samozwańczy hrabia, wyrzucił karetę trójek, kiedy zapukano w ścianę. Ponieważ było już ciemno, bez żadnej obawy, że zobaczy ktoś z kuchni, otworzyłem okno i niecierpliwie rzuciłem: – Zajedź.

Zniecierpliwienie uzasadnione, bo za chwilę mam rzucać kości, a ci znowu z jakąś głupotą.

– Przygotujcie się do kipiszu – siłac się na słodycz, odpowiada głos z ciemności.

Chłopaki momentalnie kończą grę.

– Spytaj, jak daleko są.

– Mówi, że naprzeciwno, u kamieniarzy – powtarzam odpowiedź.

– No to mamy chwilę, ruszać się – mówi Grzesiek Laska, przewodniczący celi, i łapie nóż spod koca, żeby go schować w konstrukcji parawanu przy kiblu. Każdy zakręcił się przy swoim dobytku.

Zbyszek chowa swoje notatki, co je pichci przez dwie godziny dziennie, nadziwić się nie mogę, o czym on tyle pisze. Robert wciska żyłkę pod listwę przypodłogową. Pod wykładziną przy kiblu są dwie matryce z linoleum, ale tam raczej nikt nie zajrzy.

– Chować jantare, bo zabiorą!

Pewnie, że zabiorą i nie będzie czym rano herbaty zagotować, a żyłek nie ma, żeby nową zrobić.

Ja tam do ukrycia nic nie mam, trochę rysunków, portrety, martwe natury, wszystko legalne. Jeden kontrowersyjny rysunek chowam w obwolucie książki, a bo to wiadomo, jak te debile go zinterpretują?

Po pięciu minutach znów siedzimy przy stole – gramy, ale słabo nam idzie, raczej markujemy, podenerwowani nasłuchujemy. Chociaż do kolacji jeszcze dwie godziny, wszyscy już są rozebrani. Siedzimy tylko w koszulach i kalesonach. Bielizna względnie nowa, co tydzień po kąpieli łaźnienny dostaje ramkę szluców, to wydaje najlepszą. Ubrania i buty na stojaku, poskładane w kostkę czekają na wystawkę, a wystawka, wiadomo, razem z kolacją.

Tu, na Świebodzkiej w celach cieplutko, tu inne porządki niż na kominie. Dzień przed Wigilią zostaliśmy z Wieśkiem przewiezieni więźniarką, chociaż to tylko 200 metrów, z Łąkowej i nawet do rejestracji prowadzi się arestantów piechotą. W ten sposób po zaledwie dwugodzinnych formalnościach wylądowaliśmy na oddziale 2C, była jeszcze możliwość, że trafimy na 4A, na tzw. oddział ubecki, tam też siedzi Solidarność. Jednak wychowawca, tzw. Wychodek, odpytawszy nas, za co siedzimy, stwierdził, że jako „chuligani polityczni” powinniśmy siedzieć z kamieniarzami, a nie z Solidarnością. Kamieniarzy nazywali chuliganami, bo ci chłopcy (wszystko młode, przed trzydziestką) nieźle dawali gliniarzom w kość na zadymach, i to nie tylko kamieniami, ale i butelkami z benzyną. Kamieniarzy z Solidarnością nie sadzają, chociaż jesteśmy na jednym oddziale, ich cele są po drugiej stronie korytarza.

Wychodek to padluch i ubecka gnida – psycholog, na każdego szuka haka, a jak znajdzie, to kombinuje, jak by tu gościa wykorzystać. Najchętniej widziałby go konfidentem, chociaż prowadzi podobno jakieś swoje niezidentyfikowane gierki. Każdy jednak wie, że w żadne układy z Wychodkiem wchodzić nie można.

Oczekiwanie przeciąga się, słysząc ciągły rumor – czyli kipsz trwa.

Jeszcze ostatnie przygotowania, Leszek chowa karty, mimo że to samoróbki, też mogą zabrać, pod pretekstem, że niby służą do hazardu. Wernyhora dopija ostatni słoik czaju, jeszcze ciepły, chociaż parzony tuż po pobudce, jednak dobre przykrycie kocami tworzy coś w rodzaju termosu, przy tym słoiki grzeją się jeden od drugiego i tym sposobem mamy gorącą herbatę prawie do kolacji.

Jurek Klincewicz, przezwany Wernyhorą z powodu wyjątkowo długiej brody, jest w naszej celi może od tygodnia, a już zdążył nas nauczyć ze dwadzieścia patriotycznych pieśni, które poznał, siedząc w internacie w Głogowie. Zarośnięty, chudy – nie wrócił jeszcze do wagi po głódowce, chociaż mija już miesiąc, jak ją skończył. Siedzi już drugi raz, można powiedzieć recydywa,

mocny czaj pije od czasów internowania. Z Gorzowa, gdzie ostatnio garował, przywieźli go na sprawę. Siedząc po turecku na pryczy, ze słoikiem po dżemie w rękach, przypomina fakira, zamyślony, jakby kipisz go nie dotyczył.

Ale kipisz dotyczy wszystkich, właśnie otworzyły się drzwi i poderwał nas ostry rozkaz: – Wychodzić na korytarz!

W drzwiach cztery mundury, jeszcze dwóch obszukuje nas na korytarzu. Stoimy pod ścianą w rzędzie, naprzeciw nas ze dwudziestu byków. Czarne ochraniacze, hełmy, twarze za pleksą, wojskowe buty i szturmowe pały, każdy nie mniej niż 190 cm wzrostu – atanda – zaciśnięta pięść więziennictwa, młot na aresztantów. I my, ośmiu chudziaków w kapciach i szarej bieliźnie. Porównanie raczej śmieszne, ale nikomu do śmiechu nie jest. Bo to wiadomo, jak sytuacja się rozwinie i jaka będzie ich reakcja, gdy ci, co robią rewizję, znajdą np. nóż? Przecież nóż to broń, a kto tam będzie dochodził później, że to nóż stołowy, z zaokrąglonym czubkiem.

Z celi dochodzą odgłosy rewizji: a to coś spadnie, stłucze się szkło, przewróci się stołek – normalka. Nagle wyskakuje Wychodek, dziś jest w mundurze, więc go nie poznałem, zresztą przy mojej gapowatości to norma. W rękę trzyma kartkę papieru, ostro pyta o właściciela górnej pryczy po lewej stronie, zanim skojarzyłem, że to moja, on już zaczął grozić. Ci z atandy przestają się nudzić, stają w gotowości. O kurczę – myślę – niedobrze, jednocześnie podnoszę rękę, bo słowa ciężko mi wydukać.

– Jak ci mało kłopotów, będziesz miał następne – mówi, pokazując kartkę.

Widzę, że to wiersz, ale pismo nie moje. Przypominam sobie, że jak kładłem siennik po przyjeździe do celi, trzy tygodnie temu, ta kartka już tam leżała. Zaczynam się tłumaczyć, lecz Zbyszek Kruszyński, wykładowca romanistyki, stojący najbliżej wychowawcy, oświadcza pewnym głosem:

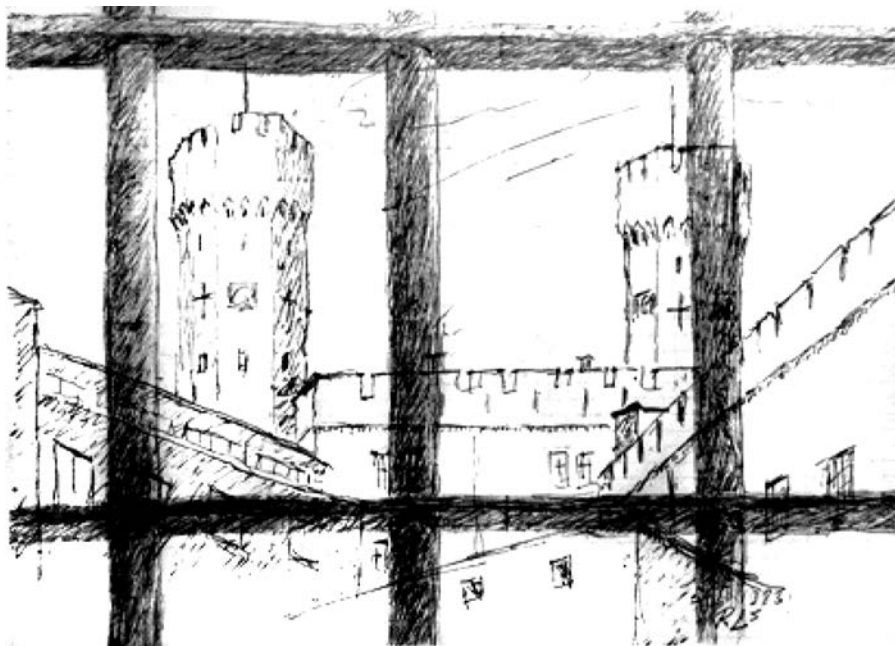
– Nie przejmuj się, Staszek, będą musieli zrobić proces Norwidowi.

Wychodek jeszcze raz spogląda badawczo na kartkę, pod wierszem duży inicjał CKN. Bez słowa chowa kartkę do kieszeni i wraca do celi, gdzie klawisze kończą przeszukanie.

Po kilku minutach wychodzą, nic nie znaleźli. Udało się, nie dostaniemy karnych raportów, a co za tym idzie – kar, np. zakazu korespondencji, pozbawienia wypiski czy bardziej poważnych, twardego łóża albo izolacji w tygrysówie.

Pod celą jakby tajfun przeszedł, ale to drobiazg, się sprzątnie.

Po kolacji zastanawiamy się nad ponadczasowością poezji. Jakie to dziwne, że wiersz napisany około 120 lat temu wzbudza takie emocje reżymowej władzy. Może dlatego, że władza obecna jest nadal na usługach Moskwy. Strach pomyśleć, gdybym to ja był autorem tego wiersza. Czy skończyłoby



Rysunek długopisem 1983 r. Widok z okna celi nr 11 Oddz. IIc Aresztu Śledczego ul. Świebodzka 1 we Wrocławiu

się tylko na karnym raporcie? Ktoś celnie podsumowuje znany i jakże ciągle aktualnym utworem tegoż Norwida:

Ogromne wojska, bitne generały
 Policje – tajne, widne i dwu – płciowe.
 Przeciwno komuż tak się pojednały?
 – Przeciwno kilku myślom... co nienowe!

Wychodek, co prawda, wiersz zabrał, ale mamy pochowane kopie. Po zgaszeniu świateł ciasnym kręgiem siedzimy przy kagankach dookoła stołu. Leszek Mrozowski czyta głośno, zarekwirowany przez więziennego wychowawcę, wiersz CK Norwida „Do wroga”. Drżący blask kaganka, poważne, brodate twarze i ruchliwe cienie przywodzą na myśl obrazy dawnych mistrzów światłocienia.

Gnębnią mnie myśli z cyklu „jak długo jeszcze”: jak długo będzie trwała ta sztafeta, ile pokoleń jeszcze siedziało będzie w więzieniach, ile pójdzie na zsyłkę, ile powstań przed nami, grobów i kurhanów? Ile odznaczeń Gloria Victis przyzna nam mająca nas „gdzieś” Europa? A w tym całym kołowrocie ile lat przyjdzie mi jeszcze siedzieć?

I co potem, co z dalszym życiem?, przecież mam już prawie 26 lat.
Przez te myśli przedziera się patetyczny głos Leszka deklamujący Norwida:

Ty! – praw – promienie wzięwszy za sztylety,
Śmiesz jeszcze mniemać, żeś wódz, żeś generał!
O niewolniku – stój – cofaj bagnety –
Dopókiż będę pod tobą umierał?...
Czyż myśli każdej – każdej myśli prawie
Uczyć cię trzeba ciągłymi ofiary:
Patriotyzmu – na bruku w Warszawie,
A Chrześcijaństwa – u krwawych wrót fary?!..

Toć groszem twoim tucze pułkowniki
Własnych cię uczą mordować proroków;
A wy – nas wodzić śmiecie – niewolniki!...
Nie widząc Boga – ręki u obłoków.
(...)

W drzwi tłucze klawisz:

– Gasić kagany, bo wam raport zrobię!

Nie przejmujemy się tymi groźbami, wiadomo, że tylko straszy. Ale po-
mału się zbieramy, jutro jak co dzień, o szóstej znowu pobudka.

Rozprawa

Grupa około czterdziestu więźniów stała na dziedzińcu aresztu. Blade, poranne słońce przebijało się przez mgłę. Grzać to ono nie grzało, przecież to dopiero początek lutego, dziś nawet lekki mroźnik, ale ze słoneczkiem jak-
by przyjemniej. Jeżeli o jakiejś przyjemności w takim dniu można mówić. Przecież dziś zapadnie wyrok, ile lat przyjdzie mi jeszcze siedzieć. Kilka dni temu prokurator w swojej mowie „krzyknął” mi cztery lata, ale relatywnie to nie dużo, bo Piotrowi sygnął siedem, a Jankowi pięć, reszcie towarzystwa solidarnie po cztery.

Trwa procedura przejmowania aresztantów przez milicjantów, którzy zaopiekują się nami na czas przebywania w sądzie. Wreszcie klawisz wyczytuje moje nazwisko, mówię imię ojca, datę urodzenia i przechodzę do grupy już wyczytanych. Zaraz zaprowadzą nas podziemnym przejściem do podziemnych cel – bunkrów, gdzie będziemy czekali na swoją kolej. Tymcza-
sem obserwuję gęby przestępców, widać kilku Cyganów, stosunkowo dużo ich w więzieniu, nie szanuje się ich tutaj, pewnie za ich odmienność, a zresztą kto by zrozumiał te wszystkie tutejsze podziały kastowe i ich przyczyny.

Wiem, że najwyżej w hierarchii stoją grypsujący, a najniżej cwele, ale nie bardzo się orientuję, co jest po środku – jacyś frajerzy, festy, itp. głupie nazwy. Już w „bunkrze” witam się z chłopakami. Od kilku dni nie mam z nikim kontaktu, bo przenieśli mnie do kamieniarzy (nazwa od kamieni, którymi naparziali zomoli na manifestacjach) i nawet przez okno nie pogadasz, bo okna u kamieniarzy po wschodniej stronie, a u „Solidarności” po zachodniej.

W bunkrze atmosfera nerwowego oczekiwania, gęsto od dymu, ludzi chyba trzydziestu, każdy pali. Też zapalam giewonta. Nie lubię ich, mają kwaśny smak, ale jak się dostało w paczce 20 ramek, to co zrobić – darowanemu koniowi się nie zagląda. Stoimy przy kracie wejściowej, w bunkrach-poczekalniach nie ma drzwi, tylko sama krata, żeby strażnik mógł obserwować więźniów. Antek markotny, Piotrek buńczuczny, reszta w miarę normalnie. Zaczynają wracać klienci z pierwszymi wyrokami, wszyscy do odsiadki, trochę to przygnębia. Przyczepił się jakiś cwaniaczek z beczelnym pytaniem:

– A wy, Solidarność zaszara, coście zrobili dla więźniów?

Ale się oszukał łobuz, bo Antek mu odpalił ostro, cytując konkretne uchwały komisji krajowej i wyliczając ulgi wprowadzone w więzieniach dzięki Solidarności (że też on to wszystko panięta!), facet na tyle stracił fason, że zaczął mówić do Antka per pan, co świadczy, że kompletnie zgłupiał. Jakiś niski, ospowaty typ z bandycą gębą, pyta, jaki sędzia nas sędzi. Kiedy się dowiaduje, że sędzina Kowalska, stwierdza:

– To kiepsko, bo ona nie odpuszcza i jest wredna.

Wreszcie wywołują nas. Ustawiają w rzędzie, jakiś gliniak starszy stopniem lustruje nas badawczo. Każe Edkowi zdjąć z klapy znaczek z papieżem. Edek protestuje, ale dla świętego spokoju odpina, na sali znów go przypnie.

Wchodzimy na salę, podnosimy ręce w geście powitania, palce w kształcie litery V. Sala pełna, że też ci ludzie nie mają nic do roboty w domu! No, ale faktycznie większość to nasze rodziny i znajomi. W pierwszej ławce ksiądz dziekan z naszej parafii, obok tylko kilka miejsc dalej, urzędnik z komitetu powiatowego PZPR – ojciec Piotra, są też moi starzy z siostrą, widać też kilkoro dzieci, pewnie Edka, Janka albo Antka. Sąd zaczyna obrady, mowy adwokatów itd. Mój „papuga” jakiś taki niemrawy, od początku mi się nie podobał. Przy pierwszym i jedynym spotkaniu w areszcie dał mi kilka bezkartkowych, albańskich, byle jakich papierosów, nie było omawiania linii obrony, w ogóle potraktował mnie per noga, aby tylko skasować forszę. Adwokaci starają się zmienić artykuł z 220 kk na łagodniejszy 212 i „zbić” tryb doraźny. Ten mój też tę linię stosuje, ale jakoś tak bez przekonania i w zagmatwany sposób, że do reszty go zniechęciłem. Ostatnie słowo – ten zwrot kojarzy mi się z ostatnim życzeniem – i sąd udaje się na naradę. A my z powrotem do bunkra.

Gdy wracamy po półtorej godzinie, Edek znowu podnosi palce w geście zwycięstwa. W tej sytuacji, gdy za chwilę zostaniemy skazani, wydaje mi się ten optymizm niestosowny.

Wchodzi skład sędziowski: dwóch starych buców i przewodnicząca Kowalska – ta wredna. Wstajemy, nogi mi miękną, dla pewności trzymam się pulpitu.

– W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – głos sędzi brzmi nieprzyjemnie. Ale zaraz, czy dobrze słyszę – sąd odstępuje od postępowania doraźnego. A więc tryb doraźny, ten młot na Solidarność, udało się jednak zbić. Uznaje nas winnymi i wymierza karę (ale z artykułu 212, a więc i to się udało) dla Janka 2 lata, dla Piotrka 1,5 roku, my z Wieśkiem dostajemy 1 rok, Edek z Antkiem też rok. No i już jestem spokojny, przecież – jak mówią starzy garownicy – rok to się odsiedzi na parapecie i na żyłkach. Na mocy art. 73 punkt 1 kk. – czyta dalej sędzina – zawiesza warunkowo wykonanie kary. Hura, a więc „zawiasy”, czyli wychodzimy na WOLNOŚĆ!!! Na sali grzmią oklaski, ściskamy sobie ręce i klepiemy po plecach, a sędzia wcale nie jest wredna i w tym momencie kocham ją.

Siadamy. Uzasadnienie wyroku. Patrzę na prokuratora, coś gorączkowo notuje – biedaczek skrzywdzony – w dupę lepszy. Ciągłe mam w głowie, jak w drugim dniu procesu chciał skompromitować naszą akcję, zadając Piotrowi przebiegłe pytanie: co kolce miały wspólnego z Solidarnością. Spodziewał się, że jego intencje nie zostaną rozpoznane i odpowiedź, że przecież nic nie miały wspólnego, upoważni go do postawienia tezy o chuligańskim wybryku, a nie działaniu politycznym. Ale Piotr przedstawił nasze motywacje: była to akcja związana z apelem Solidarności o strajk w rocznicę rejestracji naszego związku. Zawiedziony prokurator ponawia pytanie w jeszcze bardziej sugerującej odpowiedź formie, lecz jakiś dobry duch czuwał i Piotr stwierdził, że nie rozumie pytania. I tę odpowiedź sędzina kazała zaprotokołować, niweczając chytry plan pana prokuratora Kubińskiego.

Wracamy z powrotem do więzienia, kryminalni z zawiścią patrzą, z całej grupy tylko my wychodzimy. Wchodzę do celi i drę się na cały regulator:

– Wychodzi się!!!

Współwięźniowie trochę zaskoczeni. W większości to kamieniarze, jest też dwóch kryminalistów. Najstarszy z nich, chyba sześćdziesięcioletni „doliniarz” – kieszonkowiec wodzi w celi prym, w końcu odsiedział w życiu 17 lat. Wszyscy to doceniają w końcu to nie w kij dmuchał, ci chłopcy mają niewiele więcej lat życia. Ale sądy mają to gdzieś, rypią im po 9, 10 miechów bezwzględnego więzienia za udział w demonstracjach. Chłopcy szybko się demoralizują, po prostu odsiadka ze złodziejami zostawia ślad, szczególnie na



4. 02. 1983 r. Od lewej stoją: E. Zietek, P. Bereza, S. Ryczek, J. Krasowski, W. Krawiec, A. Opacki, fot. Wiesław Fiszer,

beziodeowej młodzieży, której imponują barwne opowieści (tzw. bajera więzienna) starych garowników. I tu zadział ten system, cała ceta grypsuje i uczy się slangu, robią sobie tatuaże, czyli tzw. dziary. Przykre to, ale nie mam na to wpływu, próbowałem uczyć ich patriotycznych pieśni, nawet chętnie śpiewali, ale zaraz potem wracali do swoich więziennych zajęć i nauki grypsery.

Klawisz zagląda i pogania:

– Jak chcesz dzisiaj wyjść, to za dziesięć minut masz być gotowy.

No jasne, że chcę. Gdybym miał tu jeszcze tej nocy spać, chyba bym nie wytrzymał. Pomyśleć, że jeszcze przed południem szykowałem się na trzy lata! Ale nasze wyjście jeszcze dziś nie jest takie pewne. Nie wiadomo, czy administracja więzienna poradzi sobie z tymi wszystkimi papierkami, a trzeba jeszcze zdać do magazynu platerę, koce, bieliznę, odebrać depozyt. Jedzenie i papierosy zostawiam chłopakom, za to kopiać mnie w tyłek przy wyjściu. Taka tradycja, żeby więcej tu nie wrócić.

Stoję przed bramą. W rękę trzymam papier – zwolnienie z aresztu. Jestem już ostatni. Brama się otwiera – wychodzę. Wokół tłum oczekujących, rodziny, przyjaciele, znajomi, ktoś robi zdjęcia, jestem zdezorientowany i wreszcie WOLNY!!! Po prawie 90 dniach, niby niedużo, a spróbuj odsiedzieć.

U prokuratora

Niezbyt długo czekałem na korytarzu przed gabinetem wiceprokuratora Wojciecha Kubińskiego. Odpocząłem nieco, chociaż zmęczony nie powinienem być. Z dworca Świebodzińskiego na Sądową kilka kroków, a gabinet „proroka” na I piętrze. Jednak zawsze przed przesłuchaniem dostawałem zadyszki. Trudno powiedzieć, czy to strach, emocje, czy nadmiar adrenaliny, po prostu taka przypadłość i nic na to nie poradzisz.

Ni z gruchy, ni z pietruchy przychodzi mi na myśl mój niedawny powrót do pracy po trzymiesięcznej nieobecności. Z wejściem na oddział zobaczyłem ciekawą scenę. Otóż przy stoliku karcianym siedzieli: siostra oddziałowa, zaufany pacjent, sekretarz POP Łukasik i były przewodniczący Solidarności Bogdan Lipowicz, i różnili w tysiąca. Znaczą: normalizacja w kraju postępuje – pomyślałem. Ilekroć przypomnę sobie ten obraz, tyle razy śmiać mi się chce z tego surrealistycznego zestawienia. Teraz tak samo odprężam się z uśmiechem. Takie odprężenie jest mi dzisiaj szczególnie potrzebne.

Wiem, że lekko dziś nie będzie, choć do przesłuchań podczas trzymiesięcznego śledztwa można było przywyknąć, jednak dzisiaj mam wystąpić w całkiem innej roli, mianowicie jako świadek. Kiedy człowiek był podejrzanym czy oskarżonym, można było mówić bzdury, kłamać czy odmówić zeznań

ale świadek musi mówić prawdę. Wczoraj jednak umówiliśmy się z Piotrkim Berezą, że prawdy powiedzieć nie mogę, bo znowu będzie kryminał dla niego i dla Wieśka Krawca, a kłamać też nie – bo za składanie fałszywych zeznań kryminał będzie dla mnie. Stało się więc na tym, że odmówię zeznań, chociaż prawo też na to świadkowi nie pozwala. Nie będzie więc łatwo i prawdę mówiąc nie wiadomo, co zrobi prokurator.

Dzisiejsze przesłuchanie to ciąg dalszy starej sprawy o drukowanie i kolportaż ulotek. Śledztwo zostało wyłączone do odrębnego postępowania, żeby prokuratura mogła zdążyć nas skazać w „trybie doraźnym” za rozłożenie kolców, tj. za sabotaż. Ta sprawa ciężkiego kalibru była dla nich priorytetem, ale żeby mogła odbyć się „trybie doraźnym” mieli określony czas, na tyle krótki, że zdecydowali się nas internować, żeby tylko zmieścić się w terminie (co się zresztą nie udało). Inne, drobniejsze historie, jak nielegalne drukowanie czy też już zupełnie wyimaginowane posiadanie broni (bo od kiedy zardzewiały rupiec, rewolwer wykopany w ogródku jest bronią w rozumieniu prawa?) zostawili sobie na później. I teraz właśnie postanowili ruszyć z nimi, żeby chociaż w zwykłym trybie przywalić jakieś wyroki, jeżeli nie wszystkim, to chociaż dla kilku z nas.

Jednak szatańskim fortem zamiast podejrzanym uczyniono mnie świadkiem, chociaż wiedzieli, że przechowywałem materiały poligraficzne, czyli pomagałem w przestępstwie. A poza tym wcześniej sam się przyznałem do kolportowania drukowanych przez Berezę i Krawca, ulotek. Więc prędzej czy później zostanę współoskarżonym, ale póki co chcą wydrzeć ze mnie potrzebne im informacje. Sprawę dodatkowo komplikuje fakt potwierdzenia przez Wieśka Krawca wcześniejszych zeznań. Rzeczywiście został on wezwany wczoraj jako pierwszy do złożenia zeznań i mógł się czuć zaskoczony, teraz my, czyli Piotr i ja, musimy to wyprostować. Piotr skorzysta z przysługującego mu prawa odmowy zeznań, ale ja będę miał gorzej.

Z okien prokuratury widać część budynku więziennego i spacerniak aresztu śledczego przy ul. Świebodzkiej. Z ciekawością zajrzałem tam przez okno. Jeszcze trzy tygodnie temu tam garowałem, więc ciekawość uzasadniona. Jednak niewiele widać, trochę za nisko, jakby wejść na III, a najlepiej IV, piętro, to można by się rozejrzeć. Ale jak źle pójdzie, to jutro znów będę po nim chodził, więc sobie wszystko dobrze przypomnę.

Równy z wybiciem godziny dziewiątej powitał mnie uśmiech prokuratora i szeroki gest, którym zaprosił do wejścia. Proponuje kawę lub herbatę. Oczywiście grzecznie odmawiam.

Na dzień dobry żarciki: ale wam się udało tak wykiwać sąd – no, no, kto by pomyślał, za sabotaż wyroki tylko w zawieszeniu cha, cha, cha.

Gdybym wtedy, na sali sądowej przy czytaniu wyroku, nie widział tej wścieklej, zaciętej gęby, może bym uwierzył w tę cienką bajkę. Jednak po tylu spotkaniach z tymi padluchami, jak się o nich wyrażał mój były kolega z celi Eliasza Buczyński, nabrałem aresztanckiej nieufności i to niestety już zostało chyba na zawsze.

Na początek zwykle pouczenie, że za składanie fałszywych zeznań do pięciu lat pierdła. Pomalutku przechodzimy do pytań, niby dalej się bawimy, ale gęba już mu się nie śmieje. Trochę udaję, że nadal jestem pod wpływem jego uroku i z rozpędu opowiadam o koleżeństwie z Piotrem Berezą, że razem od dzieciństwa, że razem i do szkoły, i do szklanki.

Trzaska maszyna do pisania, atmosfera wzajemnego zrozumienia, prawie sielanka. Aż pada pierwsza odmowa odpowiedzi. Widzę, że autentycznie jest zdumiony, chyba nie miał takiego przypadku. Zaczyna mi jeszcze raz tłumaczyć, że świadek odmówić zeznań może tylko w dwóch przypadkach. Mianowicie jeżeli zeznania mogłyby obciążyć świadka lub kogoś z jego najbliższej rodziny. Stwierdza więc raczej niż dopytuje, że podejrzany Bereza nie jest ze mną spokrewniony, a nawet gdyby był, artykuł powyższy mówi tylko o najbliższej rodzinie, czyli rodzicach, rodzeństwie, dzieciach i małżonkach.

Staram się zachować spokój i odpowiadam, że rozumiem treść artykułu, ale na to pytanie odmawiam odpowiedzi. Wściekłość zaczyna przeważać nad zdumieniem i zaczyna od podniesienia głosu, potem rezygnuje z grzecznościowych zwrotów i przechodzi na ty. Później jak typowy ubek na przemian używa formy pan albo ty, w zależności od okoliczności.

Kwestią czasu jest zastosowanie gróźb. Pierwszą jest, że każe mnie zamknąć. W odpowiedzi pokazuję swoją szmacianą torbę, z której wystaje zrolowany ręcznik, a wewnątrz inne akcesoria, wraz z przysłowiową szczoteczką do zębów, i odpowiadam, że jestem na to przygotowany. Widzę, że ma tego dość i argumenty też się chłopu skończyły. Wychodzi wściekły z gabinetu, pewnie musi poradzić się zwierzchnika, co dalej robić w tej sytuacji.

Konferencja trwa dość długo, chyba z dziesięć minut. Po powrocie stosuje inne naciski, a to karę pieniężną, a to delikatną sugestię, że w SB-cji ma wielu znajomych i może tak załatwić, że oni mi odpowiednio życie umilą. W końcu po jeszcze jednej konsultacji, tym razem krótszej, już spokojnie stwierdził, że jednak każe mnie zgnoić.

Jego starania nie zrobiły na mnie wrażenia. Oczywiście zewnątrznie, bo wewnątrz byłem pełen obaw. A nuż ta menda zechce naprawdę się odegrać, przecież naruszyłem jego prokuratorską dumę, o straconym prestiżu nawet nie ma co mówić.

Pyt. czy Bereza przywoził do świadka ramki drewniane i płótno do na-
ciągania na nie.-----

Odp. odmawiam odpowiedzi na to pytanie.-----

Pyt. czy Bereza pokazywał świadkowi ulotki nawołujące do niewstępowania do związków zawodowych oraz xxx o treści "Solidarność żyje walczy zwycięży", "precz z Jąką Jaruzela pachółka Moskwy" i inne?-----

Odp. odmawiam odpowiedz na to pytanie.-----

Pyt. czy Piotr Berza przyjeżdżał do świadka z walizką i kiedy to było?

Odp. odmawiam odpowiedz na to pytanie.-----

Pyt. czy prawdą jest to co opisywał o swych kontaktach z Berezą
o jakich opisywał w wyjaśnieniach z dnia 2.grudnia 1982r .

Odp. odmawiam odpowiedz na to pytanie.-----

W tym miejscu odczytano świadkowi jego wyjaśnienia z dnia 2.12.1982r
w całości po czym świadek zeznaje : nie chce się ustosunkować dotreści
tych wyjaśnień-----

Pyt. z jakich przyczyn świadek nie chce się do treści swych wyjaśnień
ustosunkować obecnie?-----

Odp. nie odpowiadam na to pytanie.-----

Pyt. czy świadek widział odezwę nawołującą do niewstępowania do nowych
związków zawodowych zamieszczoną w aktach podpisaną symbolem Polski
walczącej?

Odp. odmawiam odpowiedzi na to pytanie.-----

Pyt. czy świadek rozrzucał ulotki otrzymane od Berezy.-----

Odp. odmawiam odpowiedzi na to pytanie.-----

Wojciech Kubiński

Omówienie poprawek i uzupełnień w tekście protokołu *)

Protokół niniejszy odczytano.

(Podpisy osób biorących
udział w czynności)

(podpis świadka)

mgr Wojciech Kubiński

Przesłuchanie odbyło się w dniu 23 lutego 1983 r. prokuratura Wrocław-Śródmieście.

W końcu wraca do przerwanego przesłuchania i pogodzony z moją krnąbrnością już do końca zapisuje swoje pytania i moje sakramentalne – „odmawiam odpowiedzi na to pytanie”.

Na końcu z chytrym uśmiechem rzuca ostatnie podchwytliwe pytanie:

– Dlaczego świadek odmówił odpowiedzi na powyższe pytania?

Ale to też wcześniej przewidzieliśmy i odpowiedź jest niezmiennie taka sama.

– Odmawiam odpowiedzi na to pytanie.

W ostatniej sekwencji przesłuchania, gdy padło pytanie o mój udział w kolportażu ulotek drukowanych przez Berezę i Krawca, uznał słuszność odmowy odpowiedzi, ale tylko w tym jednym jedynym pytaniu, z uwagi na samooskarżenie się świadka.

Przy pożegnaniu nie zaszczyca mnie spojrzeniem, zatopiony w swoich dokumentach każe mi odejść. Niczego bardziej nie pragnę. Szybko zmykam, żeby nie zmienić zdania.

Po trzech miesiącach, w maju 1983 r. przyszło pismo z prokuratury o umorzeniu śledztwa z art. 46 ust 1 dekretu o stanie wojennym, dotyczącego kontynuowania działalności związkowej zawieszonego NSZZ Solidarność. W uzasadnianiu tej decyzji napisano, że w zasadzie była to działalność spontaniczna poza strukturami Związku, wydrukowano niezbyt dużo, a poza tym brak na to dostatecznych dowodów, bo Bereza i Ryczek odmówili wyjaśnień w końcowej fazie śledztwa.

Fakt zawieszenia flagi Solidarności przez podejrzanych na kominie gorzelni nie świadczy, że utrzymywali kontakt z innymi grupami zdelegalizowanego związku. Ciekawe, że nie skojarzył faktu, iż taka sama flaga zawisała w tym samym dniu na kominie kotłowni w lubińskim szpitalu, a na pewno nie zrobili tego ci sami podejrzani, czyli musiała istnieć jeszcze inna grupa. Myślę, że o tej grupie wiele mógłby opowiedzieć Bogdan Lipowicz, ale cóż prokurator może o tym wiedzieć.

Musiał się chłop jakoś bronić, że na froncie walki ideologicznej on klęski jednak nie poniósł.

Językiem potocznym można by powiedzieć, że śledztwo tak dobrze żarło, a jednak w końcowej fazie zdechło.

1 maja w pudle

Znowu siedzę w areszcie – nuda. Wziąłem sobie gazetę i książkę, ale światło słabe i nie poczytasz. Na dodatek ubek kazał mi odebrać okulary do depozytu, co przy mojej krótkowzroczności wyklucza zrobienie czegokolwiek, a czytać to już zupełnie nie da rady. Jak wiadomo, okulary są zrobione ze szkła, a szkłem można sobie zrobić krzywdę, na przykład podciąć żyły, więc bezpieczeństwa musi dbać o swych podopiecznych. No i w dodatku jestem sam – tego się nie spodziewałem – przecież zawsze ktoś tu siedzi. Wiedziałem już dwa dni wcześniej, że będę zatrzymany, bo mi to bezpieczeniaki powiedziały, kiedy odrzuciłem ich beczelną propozycję, żeby 1 maja zgłosić się do nich na komendę – dobrowolnie! (osły!), posiedzieć sobie w parku na ławeczce i popatrzeć na pochód pierwszomajowy w ich towarzystwie. Po mojej deklaracji, że nie przyjdę, ponieważ jestem wolnym człowiekiem i mam w tym dniu inne plany, esbek J. Sabat wypisał mi wezwanie do stawienia się na komendzie MO w Wołowie dnia 29 kwietnia 1983 r. na godzinę 16. – A tylko spróbuj nie przyjść!

Z całej naszej grupy tylko ja i Wiesiek K. takie propozycje dostaliśmy. Pewnie dlatego, że nie jesteśmy żonaci, a Solidarność zapowiedziała na 1 maja demonstrację i bezpieczeństwa ma obawy, że pojedziemy do Wrocławia wziąć w nich udział. Wiadomo, żonatych pilnują żony, a nas nie ma kto. Wiesiek się zgodził, a ja nie. On posiedzi trzy godziny w parku na słoneczku, a ja 48 w cieniu na dołku. Dla każdego coś miłego. Jak się później okazało, zaproszenia „na ławeczkę” dostało jeszcze kilku innych wołowskich działaczy – skorzystali.

Po kolacji – tfu – dorzucili mi do celi gościa. Nie znam typa, ale jak powiedział, że ma na imię Fred, coś mi zaświtało. Zaraz, kolego – pomyślałem – czy ty nie jesteś czasem z PKS-u? Okazuje się, że owszem, pracuje w wołowskim PKS-ie – ale czuję, że nie ufa mi bardziej niż na początku. Nabiera zaufania, dopiero kiedy się dowiaduje, że siedziałem z Jankiem Krasowskim za kolce.

Fred siedzi pierwszy raz, chociaż ma za sobą pierwszy strajk w Wołowie w sierpniu 1980 r. i jest (byłym i jak przypuszczam, obecnym konspiracyjnym) przewodniczącym „S” w PKS-ie (jeżeli już, to siedzieć powinny takie szyszki jak on, a nie pionki jak ja).

Nazajutrz jako „stary wyjadacz” od dyżurnego domagam się spaceru i ku mojemu zaskoczeniu ten się zgadza. Będzie to jedyny spacer w areszcie wołowskiej komendy, w jakim uczestniczyłem, choć tyle jeszcze razy udało mi się tu posiedzieć.

Wołają na obiad. Dwie aluminiowe kanki pięciolitrowe (nieźle poobijane, bo kławisz codziennie przywozi je rowerem z wołowskiego kryminału), w jednej zupa, w drugiej drugie danie. Jem tylko zupę, bo drugie

danie wygląda nieapetycznie, a to z tego powodu, że jest całe zapakowane w jednej kance. Wygląda to w ten sposób, że na spodzie są ziemniaki na nie wlane sos i na to wszystko wrzucona kapusta. Przy wyciąganiu wszystkie składniki się mieszają i na talerzu tworzą malowniczą breję.



Pochód, lata 60.

Obiady są przygotowy-

wane w wołowskim więzieniu, więc nie ma co się dziwić ani sposobowi ich pakowania, ani wyrafinowanym smakom. Fred futruje, aż mu się uszy trzęsą, w końcu kawał z niego chłopca, kolacji nie jadł, a na śniadanie tylko chleb z margaryną i czarna kawa bez cukru. Po zjedzeniu posiłku wyciągamy się na gołej pryczy (po śniadaniu zabierają koce i te pożał się Boże trzycentymetrowej grubości materace), więc zostają gołe uwierające dechy.

Po pół godzinie wywołują Freda na przesłuchanie, wraca po dziesięciu minutach, okazuje się, że nie było to żadne przesłuchanie, tylko żona obiad dostarczyła. Menażka z ziemniaczkami, dwa schabowe kotlety, mizerię z młodych ogórków w słoiku i... sztucze, nóż i widelec (a odkąd to takie akcesoria są w areszcie dozwolone! Patrz, a okulary zabrali). Wszystko jeszcze ciepłe, więc Fred odstępuje mi swój domowy obiad, żeby się nie zmarnował, bo sam nie ma miejsca, żeby go wcisnąć, każe zostawić sobie tylko jednego kotleta. W to mi graj, bo po tej zupce miałem jeszcze dużo miejsca w brzuchu.

Wieczorem gadamy. Fred opowiada o sierpniowym strajku w PKS-ie, ja o niedawnej odsiadce areszcie śledczym na ul. Świebodzińskiej we Wrocławiu. Za oknem dyskoteka, muzykę całkiem nieźle słyszeć, Dom Kultury tuż obok, a impreza jak zwykle latem odbywa się w muszli koncertowej w parku. Jest majowy weekend więc ludzie pracy muszą się zabawić.

Za oknem robi się ciemno, zaczyna padać, chyba nadchodzi burza. Zasypiam.

Budzi nas tumult, jakby się ogród zoologiczny ewakuował. To milicjanci zbiegają z odprawy. 1 maja to dla nich nie święto, ale pełna gotowość. Po śniadaniu i porannych ablucjach, na które wypuszczano odświętnie ubrany dyżurny (w celi nie ma nawet kibla, o wodzie i zlewie nawet nie mówiąc), nasłuchujemy odgłosów z ulicy. I rzeczywiście po pewnym czasie słyszeć orkiestrę i jakieś śpiewy

czy może okrzyki, więc pochód już idzie. A niech się komuszki bawią, może to już ostatnia ich zabawa – żartujemy – co daje asumpt do serii dowcipów o Breżniewie, komunie itp. Nawet nie przypuszczamy, że w niedalekim Brzegu Dolnym właśnie w tym czasie idzie niezależny pochód Solidarności, a konsekwencje jego przemarszu będą widoczne nie tylko przez kilka najbliższych dni, kiedy to na przyspieszonych obrotach będą pracowały kolegia do spraw i wykroczeń, ale na kilka najbliższych lat, bo nadzieja dana wtedy ludziom będzie przecież procentować.

Siedzimy w milczeniu, tematy się wyczerpały. Zimno tu, w końcu to przecież dopiero 1 maja, a cela ma okno od północy, w dodatku zasiatkowane, okratowane i mocno brudne. Pocieszam się myślą, że 48 godz. minie o szesnastej, to już chyba niedługo.

W drzwiach dyżurny – zadowolony – może coś wypić? Pyta, czy chciałbym już wyjść, wkurza mnie to pytanie i jego głupi uśmiech, mam ochotę odpalić, że o szesnastej i tak wyjdę bez żadnej łaski. Jednak odpowiadam (wbrew sobie?) twierdząco. Krótki uścisk dłoni z Fredem, nawet nie przypuszczam, że spotkamy się już w wolnej Polsce i to on mnie rozpozna na ulicy, dobrą chwilę będę się zastanawiał, skąd ten drągał o kulach (złamana noga) mnie zna. Odbieram depozyt, nakręcam i reguluję zegarek według zegara na dyżurce – jest 13.30. Jeszcze tylko podpis potwierdzający odbiór depozytu i jestem wolny. Sznurówki zakładam w parku obok pomnika „bohaterskich żołnierzy radzieckich”. „Wieczna sława sowieckim gerojom” – czytam na cokole, syczy płonący gaz w zniczach – dla ich sławy. Wokół czerwone flagi. Ludzi mało – pora obiadowa. Posilają się po trudach pochodu, niektórzy robią podkład pod dzisiejsze świętowanie, samochody z piwem i najtańszym winem już stoją na stadionie, handel trwał będzie do późnych godzin, a raczej do wyczerpania zapasów. Przy jednym samochodzie stoi tłum, jest wiele kobiet – aha, więc i kiełbasa bez kartek jest sprzedawana. Partia dobrze wie, czym przyciągnąć masy i dla każdego ma zachęcającą ofertę.

Wracam do domu, mam wrażenie, że miasto przez te dwa dni bardzo się zmieniło. Ale to nieprawda, jest takie same, tylko te czerwone flagi robią takie złudzenie.



Manifestacyjny Brzeg Dolny 1983 (skrót)

1 maja w 1983 r. wypadła w niedzielę. Koło godziny 9 rano ludzie zaczęli zbierać się pod hotelem „Piast”. W międzyczasie w pobliżu zebranych przeszło około 150 osób, przeważnie uczniowie z nauczycielami i tzw. aktyw partyjny, stanowiący oficjalny pochód. Kiedy pod hotelem było już kilkaset osób, Irena Lindmanowska, jedna z uczestniczek manifestacji rzuciła hasło: „Co tak oglądamy ten capstrzyk, idziemy do kościoła”. Dołączyły do niej Aleksandra Chrapkowicz i Maria Węgrzyn z sześciolletnią córką. Za paniami poszli inni.

Manifestanci ruszyli ul. Zwycięstwa, a następnie ul. Jana Pawła II (wówczas ul. Buczka) w kierunku osiedla Warzyń, do kościoła pw. Chrystusa Króla. Wznoszono okrzyki „Solidarność” i „Lech Wałęsa”. Ocenia się, że szło kilkaset osób, choć trudno określić dokładną liczbę – według moich rozmówców, waha się od co najmniej 300 do ok. 700. Demonstracja trwała około 20 minut, od godz. 9.40 do 10.00. Koło przejścia kolejowego stali funkcjonariusze SB, filmowali i robili zdjęcia. Jednym z nich był mieszkaniec Brzegu Dolnego, wówczas pracownik wrocławskiego SB, Feliks Bodetko. Zdjęcia robione przez niego oraz film stanowiły podstawę do późniejszych zatrzymań i aresztowań. Niestety, materiały te zostały zniszczone przez Służbę Bezpieczeństwa na przełomie 1989 i 1990 roku.

Pierwszych zatrzymań dokonano już 1 maja. Zatrzymanych przewożono na „stary” komisariat MO w Brzegu Dolnym przy ul. Kolejowej. Grupy zatrzymanych przewożono samochodami do komisariatu w Wołowie i osadzano w areszcie. Następnego dnia (i w kolejnych dniach) odbywały się przesłuchania przez Służbę Bezpieczeństwa. Pytano o to, czy rozpoznają inne osoby na zdjęciach. Straszono utratą pracy w razie odmowy „współpracy”. Tak było ze Stanisławem Szczurem z Wałów, zatrzymanym 2 maja. Zatrzymanie dokonał funkcjonariusz SB Zbigniew Czyżowski. W Wołowie Szczur był przesłuchiwany przez Andrzeja Mizdrę, który groził mu utratą pracy i innymi konsekwencjami. Aresztowany twardo trzymał się jednej odpowiedzi: szedł na mszę do kościoła i nie zna innych uczestników pochodu. To jednak nie pomogło i kolegium ds. wykroczeń w Wołowie w trybie doraźnym skazało go na 14 tys. zł grzywny. Stanisław Sieja, który w ogóle nie brał udziału w manifestacji, został skazany na 10 tys. grzywny. Na komisariacie MO w Wołowie przez sześć godzin przetrzymywano Marię Węgrzyn z dzieckiem. Zatrzymano też jej męża, Juliana Węgrzyna.

W grudniu 1988 r. TKZ „S” w Brzegu Dolnym, a faktycznie Henryk Strzyż, opracował „Raport dotyczący represji w Brzegu Dolnym w okresie

od 13 XII 1981 do 13 XII 1988 r.”. Uwzględniono w nim także osoby zatrzymane i skazane przez kolegium w Wołowie za udział w demonstracji 1 maja 1983 r. Poniżej zestawienie tych osób z kwotą zasądzonej grzywny:

Tadeusz Bąk (12 tys.), Marian Biel (20 tys.), Hanna Brojanowska (15 tys.), Tadeusz Brojanowski (10 tys.), Zbigniew Bywalec (15 tys.), Józef Cendrowski (20 tys.), Aleksandra Chrapkowicz (12 tys.), Józef Dawidson (15 tys.), Stanisław Drab (12 tys.), Czesława Floriańska-Sikora (12 tys.), Mariusz Gniewaszewski (18 tys.), Krystyna Kaczmarczyk (5 tys.), Jan Kielich (15 tys.), Paweł Kluk (10 tys.), Krystyna Kowal (15 tys.), Józef Krawiec (12 tys.), Tadeusz Kubala (brak danych), Jan Kulicki (15 tys.), Mirosław Kwapisz (8 tys.), Janina Kwarcjani (18 tys.), Irena Lindmanowska (7 tys.), Adolf Łyczko (12 tys.), Jan Marcinek (7 tys.), Kazimierz Misa (13 tys.), Leszek Nawrocki (15 tys.), Jan Niemiec (10 tys.), Genowefa Oszczeźda (14 tys.), Krystyna Pendolska (12 tys.), Henryk Piotrowski (9 tys.), Krzysztof Piotrowski (8 tys.), Tadeusz Piwko (14 tys.), Zdzisław Polek (12 tys.), Krzysztof Sereda (8 tys.), Stanisław Sieja (10 tys.), Janina Sikora (12 tys.), Kornel Sinicki (18 tys.), Jolanta Sokalska (20 tys., zamiana na 3 miesiące aresztu), Ryszard Szabłoński (14 tys.), Stanisław Szczur (14 tys.), Józef Szewczuk (12 tys.), Zygmunt Śliwiak (8 tys.), Józef Taurogiński (12 tys.), Maria Węgrzyn (10 tys.), Julian Węgrzyn (12 tys.), Jan Wolan (12 tys.), Roman Wurmański (20 tys.).

Grzywny należało wpłacić zaraz po zasądzeniu, tego samego dnia, inaczej trzeba się było liczyć z karą aresztu. Nie były to małe kwoty – średnia ówczesnych zarobków wynosiła ok. 14 tys. zł. Pomocy w formie pożyczki udzielił ks. Jan Kwasik, proboszcz parafii pw Chrystusa Króla. Wychodzący z pomieszczenia, w którym obradowało kolegium, otrzymywali dyskretnie potrzebną kwotę od działaczy „Solidarności”. Udało mi się ustalić, że były to: Krystyna Cejrowska, Maria Rajzer, Elżbieta Mandat, Marek Markiewicz, Ryszard Pendolski i Witold Mieszczanowicz. Może jeszcze ktoś. W akcję pomocy włączyli się także działacze z Wołowa, m.in. Stanisław Ryczek, który przekazał zebrane 30 tys. złotych wspomnianej Elżbiecie Mandat. Ta z kolei, wręczała pieniądze skazanym przez kolegium.

Składki na spłatenie zaciągniętych pożyczek na „wykup” zatrzymanych były zbierane przez „Solidarność”. Zbiórkę pieniędzy na rzecz zatrzymanych w parafii warzyńskiej zainicjowali ks. Jan Kwasik oraz ks. Krzysztof Stabrawa. A 3 maja, podczas mszy w rocznicę uchwalenia Konstytucji 1791 r., z ambony popłynęły ciepłe słowa nadziei i otuchy dla zatrzymanych uczestników demonstracji oraz ich rodzin.

Grzywny nie były jedynymi karami. Niektórzy stracili pracę, przerzucano ich na niższe stanowiska, z niższym wynagrodzeniem, tracili wysługę

lat i inne świadczenia. W dużym stopniu zależało to od postawy dyrektorów zakładów.

Warto tu wspomnieć o postawie dolnobrzeskich uczniów szkół średnich. Niektórzy z nich uczestniczyli w manifestacji, natomiast nie było ich na oficjalnym pochodzie. W poniedziałek 2 maja w dolnobrzeskim „ogólniaku” podczas specjalnego apelu ówczesna dyrektor szkoły – pani P. groziła i ostrzegała przed „taką postawą, godzącą w socjalistyczną ojczyznę”. Dotyczyło to także nauczycieli, którzy 1 maja nie poszli na oficjalny pochód. Jedną z nauczycielek, która znalazła się w takiej sytuacji, usłyszała od męża – działacza podziemnej „Solidarności”: „Napisz, że kupiliśmy radziecki telewizor «Rubin» i bardzo chciałaś obejrzeć w kolorze pochód pierwszomajowy z Moskwy”.

1 maja 1983 r. niezależne manifestacje odbyły się w wielu miastach w całej Polsce, m.in. we Wrocławiu, gdzie uczestniczyło kilkanaście tysięcy osób, w Bielawie (ok. 1000 osób), w Dzierżoniowie (ok. 500 osób) i w Świdnicy (ok. 1000 osób). Tym samym manifestacja w Brzegu Dolnym chwalebnie wpisała się w dzieje walki podziemia z systemem komunistycznym. Cechą wyróżniającą Brzeg Dolny była skala zatrzymanych i skazanych osób – około 50. We Wrocławiu zatrzymano 405 osób, z których 86 zostało ukaranych przez kolegia ds. wykroczeń. W pozostałych miastach Dolnego Śląska mniej było osób ukaranych grzywną – w Bielawie 5, w Dzierżoniowie 7, w Świdnicy 12.

W podziemnym piśmie Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność Dolny Śląsk „Z Dnia na Dzień” z 26.05.-2.06.1983 r (nr 21/280), znalazła się notatka o dolnobrzeskiej manifestacji:

„Minęły już trzy tygodnie od manifestacji pierwszomajowej pod sztandarami «Solidarności», w której udział wzięli m.in. pracownicy zakładów chemicznych «Rokita». A SB na podstawie zdjęć wykonywanych w czasie manifestacji kieruje wnioski do Kolegiów ds. wykroczeń o ukaranie grzywną w wysokości 10-20 tys. zł w zamian za areszt. Dotychczas ukarano 54 osoby. Wspaniałą postawę przyjęło społeczeństwo Brzegu Dolnego, które swą natychmiastową pomocą przyczyniło się do spłacenia zasądzonych kar pieniężnych”.

Wymieniona w tekście liczba ukaranych osób – 54 różni się od liczby osób wyszczególnionych w „Raporcie” Henryka Strzyża, gdzie widnieje 46 nazwisk. Nie jest wykluczone, że „Raport”, który powstał kilka lat po manifestacji, nie uwzględnił wszystkich ukaranych.

Manifestacja w Brzegu Dolnym miała swoje szczególne znaczenie – podtrzymała gasnący żar społecznego protestu. Jej pokłosiem były akcje dolnośląskiej młodzieży w następnych miesiącach.

Przyjazd papieża 1983 r.

Autobus już ruszał, kiedy go dopadłem. Kierowca spojrzał na mnie z niesmakiem, nie odezwał się, ale wiem, co pomyślał. Przecież nie pierwszy raz mi się to zdarza, a kierowca to pedant, lubi, żeby wszystko grało i było na czas. Dziś mam II zmianę, ale zajęć tyle z rana, że ledwo się wyrobiłem na 13.10. A zaczęło się od tego, że Janek Krasowski dał mi znać, że jest pilna sprawa do załatwienia i żeby wpaść do niego do Starego Wołowa. Okazało się, że dla Edka i Antka trzeba dostarczyć wejściówki na mszę partynicką. Dla mnie to żaden problem, bo motorynką do POM-u to 5 minut drogi, jednak jak to zwykle bywa, tu 5, tam 10 lub 20 minut i nie wiadomo, jak ten czas przeleciał. Jednak zadowolony jestem, bo udało się wszystko załatwić, a najbardziej się cieszę na spotkanie z papieżem na wrocławskich Partynicach 21 czerwca – też mam zaproszenie. Ks. dziekan F. Bosak dał ich Jankowi mały stosik, żeby przekazał naszej grupie. Trzeba teraz obmyślić, jak, kiedy i z kim jechać,

żeby być o czasie na hipodromie. Ponoć ma być tam milion ludzi, więc trzeba odpowiednio wcześniej wszystko przygotować. Czasu mało, dziś już 16 czerwca, czyli raptem zostało pięć dni.

*

Na oddziale IV trwał werbisz mojego pacjenta Józia Dygalskiego. Trzeba przyznać, że akwarele Józka odpowiednio wyeksponowane robiły znacznie lepsze wrażenie niż oglądane bez oprawy. Kaziu nieźle to zorganizował, załatwił nawet ciasto, jest herbata, paluszki, jakby lepsze czasy wróciły. Józku Dygalski jest wniebowzięty, specjalnie dla niego Anka zaparzyła prawdziwą kawę. Stoimy z Kaziem trochę oddaleni od Józka, patrzymy na te dziwne, niemal



Kościół pw. św. Karola Boromeusza w Wołowie



Józef Dygalski, akwarela, 1983 r.

dziecinne obrazki. Prawie wszystkie przedstawiają podobny pejzaż: domki ze spadzistymi dachami, wiatraki, rzekę, pola, jakiś wóz z koniem, ptaki. Czasem pojawiają się innowacje, samoloty, młyny wodne, ludzie z grabiami lub widłami na polach. Jednak ten prymitywizm nacechowany jest wyczuleniem na kolor i każdy z widoczków ma inną od pozostałych kolorystykę, własną gamę barwną, a przy tym kolory są niezabrudzone, co przy akwareli nie jest takie łatwe. To zaiste ekwilibrystyka – opowiadam Kaziowi o tym jego malowaniu – Józiu ma tylko jedno oko, na dodatek zezowate i krótkowzroczne, malując, prawie leży na stoliku, bo mimo okularów niewiele widzi. Życie go nie rozpieszczało. W Wilnie wychowywały go siostry zakonne, bo do nich został podrzucony po urodzeniu. Potem państwowe sierocińce i szpitale psychiatryczne: Górna Grupa i w końcu Lubiąż. A przecież Józek nie jest psychicznie chory, tylko dziecinny i niezaradny. Kiedyś zwierzył mi się, że nie był ani jednego dnia na „wolności”, bo zawsze pod czyjąś kuratelą.

Na sali kilkanaście osób. Pacjenci snują się pod ścianami, kilka osób z personelu siedzi przy stoliku, na środku stoi uśmiechnięty Józek z instruktorką Baską, gra radio, w smugach słońca kłębi się dym z papierosów. Jest

sennie. jak to w „psychiatryku” po obiedzie. Nagle wpada zdyszany Jacek Sarna z radiowęzła szpitalnego i od progu wykrzykuje: – Staszek, dyrektor Lesiak z bezpieczką są na dwójce, szukają ciebie. – Czy ktoś widział statecznego stoika Jacka biegnącego, a tym bardziej krzyczącego? Robi mi się gorąco.

Pierwsza myśl – czy jestem „czysty”? Wydaje mi się, że tak, ale nie jestem do końca pewien. A nuż coś w torbie zostało. Nagle przypominam sobie, że mam w teczce „Zapiski więzienne” kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wydanie podziemne, twarda oprawa, czarne płótno, złożone napisy, piękna i unikalna rzecz. No to książka przepadła – szlag by to trafił – nawet nie skończyłem czytać – myślę – i nagle olśnienie! Przecież Jacek mógłby wrócić i książkę zabrać, wie przecież, która szafka jest moja, ale czy się zgodzi, przecież oni tam są? Gdy proponuję mu taką akcję, zgadza się bez wahania i wybiega. Po trzech minutach telefon: mam natychmiast wracać na oddział. Zabieram czterech swoich pacjentów i niespiesznie wracamy na „dwójkę”. Józiu zostaje, zresztą on ma „wolne wyjście”, nie muszę go pilnować, a to w końcu jego dzień – może jedyny taki w jego ubogim życiu, a na pewno ostatni szczęśliwy. W październiku po amputacji nogi od wielu miesięcy nieumiejętnie leczonej, wróci do nas z Brzegu Dolnego już w trumnie. Taką głupią śmierć przygotował los dla tego „lubiańskiego Nikifora”.

Najważniejsza sprawa to opanować się, żadnej mimiki, drżenia rąk, spokojny i pewny głos, żadnych oznak niepokoju. Gównu mi mogą zrobić, choćby coś znaleźli, za pojedyncze ulotki co najwyżej 48 godzin „dołka”, a to już mam przećwiczone. Wchodzę do świetlicy oddziałowej. Są – trzech – obskakuja mnie jak wilki. Na dzień dobry jak zwykle rewizja. Szafka i teczka idą na pierwszy ogień, rzucają się na nie jak głodne sępy. Z satysfakcją widzę, że książki nie ma – Jacek zdążył. Dyrektor Lesiak z oburzeniem i niedowierzaniem patrzy, jak esbek Sabat wyrywa zapisane kart-



Pacjenci przed oddziałem II w Lubiążu

ki z mojego notesu. Sęk go powstrzymuje: „Nie wyrywaj, zabierz cały”. Rutyna ich zżera, wystawiają sobie takim działaniem fatalną opinię, dla mnie to już normalne, ale dla siostry oddziałowej i dyrektora rewizja w takiej formie to szok. Zapewne kojarzy im się z widzianymi w telewizji akcjami gestapo. Rewizja osobista będzie dopiero na komendzie, przy zdawaniu depozytu przed wejściem do celi. Że będę zatrzymany, to pewnie, jak mają nakaz rewizji, to choćby nic nie znaleźli, i tak przyskrzynią – to też już przerabiałem.

*

Siedzę w czerwonym fiacie 125p, z przodu kierowca, obok mnie jakiś stary ormowiec. Nieporadnie udaje cwaniaka, nie wiem skąd go wytrzasnęli i po co, chyba tylko po to, żeby mnie pilnował. Stoimy przed domem Wieśka Fisзера, ubecy weszli tam już pół godziny temu, pewnie robią rewizję. Obojętnie patrzę w okno, widzę przechodzącego Wieśka z córką, patrzy z ciekawością na samochód i na mnie. Ani on, ani ja nie wykonujemy żadnego gestu, widzę kątem oka, że do domu pobiegła tylko córka Madzia, Wiesiek zapewne skręcił za dom, nie oglądam się, bo widzę, że kierowca obserwuje mnie w lusterku. Po chwili jednak, gdy zobaczył, że dziecko samo weszło do domu, coś go tknęło i mówi ni to do siebie, ni do ormowca: – To był chyba on.

Ormowiec jakby się ocknął, nie wie, o co chodzi i nic nie rozumie. Zawiadomiony esbek biegiem wypadł na senne podwórko. Ruszył klusem dookoła budynku, jednak bez efektu. Skwaszony wrócił do przerwanej rewizji, nie wiem, czy widział mój kpiący uśmiech.

*

Wyciągam z kieszeni drobiazgi i kładę wszystko na kontuar. Sznurówki i pasek już tam leżą. Milicjant dyżurny bardzo uprzejmie przeprasza, że musi mnie zrewidować, jestem autentycznie zdumiony, tak jak i esbek obserwujący procedurę. Myślę, że dyżurny za te przeprosiny będzie miał nieprzyjemności.

Wchodzę do celi, zapalam papierosa, jest kilka minut po dwudziestej. Jestem zmęczony, przesłuchanie trwało ponad trzy godziny. Trzech esbeków, tzw. krzyżowy ogień pytań. Początkowo podjąłem rozmowę w kwestii wejściówek na papieską mszę – przecież są legalne, ale później, kiedy pytania były zbyt szczegółowe, odmówiłem odpowiedzi. Nie podpisałem też protokołu przesłuchania. Byli wkurzeni, ale nie bili. Chociaż był moment, że wezwany zapewne specjalnie w tym celu, niejaki S. Bodetko, którego pamiętam jako jeżdżącego motorowerem w Brzegu Dolnym mundurowego w stopniu sierżanta, a teraz inspektor „kontrwywiadu” (patrzcie, jaki awans), chwycił mnie za włosy i przysiąwszy głowę do tyłu aż za oparcie krzesła, wydarł się groźnie.

– Co to kurwa znaczy, że nie chce mówić? Są na to sposoby, żeby zaczął! Obserwujący mnie M. Sęk i W. Wrona (oba też z Brzegu Dolnego), stwierdziwszy brak spodziewanej reakcji, a wręcz odwrotną, mianowicie mój drwiący uśmiech, dali sobie z tą metodą spokój. Bodekto próbował jeszcze straszaka w postaci aresztu: „wrzucić go na całą noc do zimnej celi, to skruszeje”. Jednak po krótkim stwierdzeniu Sabata: „on już siedział, i to kilka razy”, wycofał się z pokoju. Bardziej nieprzyjemna była groźba Wrony wyszczana cichym głosem: „Takich jak ty powinno się zapakowanych w worki powrzucać do Odry.” Nie wiem, czy to dalszy ciąg gry, czy prawdziwa nienawiść. Wrona to był bokser z KS Rokita i niektórym przesłuchiwanym zdarzyło się odczuć siłę jego ciosu, ale na mokrą robotę chyba by nie poszedł. Chociaż po pijanemu – kto wie – a wypić lubi, to wszyscy wiedzą. Dodaje jeszcze obietnicę, którą będę sobie przypominał przy każdym z kolejnych zatrzymań: „Będzie pan, panie Ryczek, teraz bardzo często zatrzymywany, ponieważ jest pan bardzo podobny do pewnego groźnego przestępcy”. Była to jedyna obietnica, którą dotrzymali. Swoją drogą to dziwne, ponieważ naprawdę nie byłem nikim ważnym i w dodatku za każdym razem odmawiałem nie tylko zeznań, ale nawet zwykłej rozmowy.

*

W celi jest jeszcze dwóch. Nie rozmawiamy wiele, ot tyle, ile wypada. Kolacja, ubikacja i spać. Właściwie więcej się tu leży niż śpi, a wszystko przez konstrukcję pryczy, czy raczej podium, do którego deski przybito nie wzdłuż jak w innych aresztach, lecz w poprzek, a że deski (a raczej listwy) nie są zbyt proste, to przez całą noc kręgosłup i żebra więźnia są narażone na ich nierówności i tym sposobem mamy bezpłatny masaż. Mam też o czym myśleć, bo pytania na przesłuchaniu uzmysłowiły mi, że nie było to rutynowe zatrzymanie, ale coś się za tym kryje (za dużo wiedzą). Dopiero po wszystkim dowiem się, że безпеca została powiadomiona o moich odwiedzinach w POM-ie przez tamtejszego konfidenta, który przysłuchiwał się naszej rozmowie, po czym doniósł telefonicznie o treści rozmowy i o wejściówkach na Partynice. Ubecy zadziałali błyskawicznie i po dziesięciu minutach od mojego wyjścia z domu, kiedy pobiegłem do autobusu, zjawili się u mnie w chałupie na rewizji, a dopiero później przyjechali po mnie do pracy.

Po złe przespanej nocy jestem rozbity. Wywołują z celi – pewnie znowu przesłuchanie – ale nie, wiozą mnie do zamku. Po kiego grzyba do Powiatowej Rady Narodowej? Sytuacja się częściowo wyjaśnia, kiedy wchodzimy do sali Kolegium do spraw Wykroczeń. Próżno się zastanawiam, jakiego wykroczenia się dopuściłem. Nie ma też dziś koło mnie żadnego esbeka, eskortują mnie milicjanci. Oni milczą, ja się nie dopytuję. Jest ojciec, będzie jedynym widzem

tego spektaklu. Przewodniczący kolegium, „towarzysz” Tatarczuk czyta zarzuty. Jakiś kapitan milicji występujący jako oskarżyciel cytuje nie tylko odpowiednie paragrafy kodeksu wykroczeń, ale również zalecenia RKS-u zawarte w ulotkach. Jestem zdezorientowany – że niby co takiego robiłem? Produkowałem orły w koronie, które Solidarność zaleca nosić zamiast znaczków Solidarności. Oskarżenie jest równie ciekawe co ryzykowne, no bo gdzie jest chociażby jeden egzemplarz tej produkcji. Jednak wysokiemu kolegium nie są potrzebne takie dowody, wystarczy to, co przygotowała bezpieka. Więc kilka odlewów w gipsie: ryngraf wielkości dłoni i takiż odlew małego orzełka, wszystko zarekwirowane u mnie z domu. A gdzie piec hutniczy do topienia metalu i cała infrastruktura potrzebna do takiej produkcji? To już nie jest sprawą kolegium.

Wychodzimy z ojcem i mundurowym konwojentem na korytarz. Pali-my. Kolegium się naradza, ciekawym tylko z kim. Bo chyba te dwa ćwoki, co nawet jednego pytania nie zadały, teraz też gównu mają do powiedzenia.

Jakie to wszystko przewidywalne. Wyrok po dziesięciu minutach jest gotowy – czy jest możliwe tak szybkie zredagowanie i napisanie, a gdzie



Wrocław, msza na Partynicach 1983 r.

narada? Chyba że przedyskutowali to wszystko wcześniej. Pewnie z esbekiem, który kierował wczorajszą akcją. Przewodniczący kończy czytać, w ostatnim punkcie sentencji wyroku nakazuje zwolnić podsądnego z aresztu. Czy to nie jest wspaniałość kolegium? A te 15 tysięcy złotych, dwie moje wypłaty w szpitalu, z zamianą na 75 dni aresztu? No tak, jasne, że przecież jakaś kara dla takiego przestępcy musi być. Dobrze, że mamy forszę, zysk z przykościelnego sklepiu jest przeznaczony właśnie na takie ewentualności. Wychodzimy. Mówię do ojca głośno, tak żeby wszyscy słyszeli, że się odwołam od tego wyroku. Rzeczywiście zrobię to, Wiesiek Fiszer napisze odwołanie i, co dziwne, zostanę uniewinniony w II instancji.

Zimno mi, na zewnątrz ludzie w krótkich rękawkach, ja w swojej wiatrówce zapięty pod szyję, ostrożnie wchodzę do suki, żeby mi nie spadły pozbawione sznurówek buty. Jadę na komendę MO po odbiór depozytu. Od niewyspania pieką mnie oczy i boli głowa. I nie widziałem transmisji z przyjazdu Papieża.

*

Ale i tak zobaczę Go na wrocławskich Partynicach, a kolegium wojewódzkie za miesiąc mnie uniewinni, nakaze zwrot pieniędzy i zarekwirowanych orłów i gipsowych odlewów. W ogólnym rachunku będę więc wygrany. Sentencja, którą wygłosi Jan Paweł II, na początku mszy partynickiej, będzie brzmiała dla mnie bardzo osobiście i proroczo: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem będą nasyceni” (Mt 5,6).

Po śmierci ks. J. Popiełuszki

Po podaniu wiadomości o odnalezieniu ciała ks. Jerzego Popiełuszki, porwanego kilka dni wcześniej, aż do pogrzebu, czyli do 4 listopada 1984, w całej Polsce trwały modlitewne czuwania i odprawiano msze za duszę zamordowanego kapłana. W dniu ogłoszenia tej hiobowej wiadomości zastanawialiśmy się z przyjaciółmi **Krzyśkiem Jagodą** i jego bratem **Stachem**, w jaki sposób można zamanifestować sprzeciw wobec takich działań komuny. Wolna Europa podała, że ludzie gromadzą się pod krzyżami i w kościołach, postanowiliśmy i my podejść pod kościół. Do grubej świecy wyjętej z domowej kapliczki przykleiłem wycięty z czerwonego papieru znak Polski Walczącej z zamiarem zainicjowania palenia świec pod krzyżem. Okazało się, że mimo późnej godziny stała tam grupa kobiet odmawiająca różaniec i było już wiele płonących świec. Naszą, ponieważ była najbardziej okazała i ze znakiem PW, jedna z kobiet ustawiła na środku. Nazajutrz zająrzałem tam jeszcze raz, ludzi prawie nie było, bo to godzina przedobiednia. Świec było znacznie więcej, były też



St. Ryczek, „Śmierć ks. Popieluszki” odbitka na gazecie, linoryt 1985 r.

kwiaty. Czyli „nieznani sprawcy” nie pojawili się w nocy, żeby to zniszczyć. Chyba dostali polecenie z „góry”, żeby sprawy nie zaogniać. Tym bardziej że Chrostowski – kierowca księdza, któremu udało się uciec, zeznał, że porywaczami byli funkcjonariusze SB. Głównych sprawców morderstwa ukarano, ale tylko do poziomu półkownika, wyższych szarż nie ruszono. Przecież nie mogli wsadzić do więzienia samych siebie, bo przecież inicjatorem był sam Urban, szkalujący księdza w gazetach pod pseudonimem Jan Rem. A jest mało prawdopodobne, żeby Jaruzelski o niczym nie wiedział, a taką tezę lansują komuniści od początku aż do dnia dzisiejszego.

Dopiero kilka dni później dowiedziałem się, że na wołowskim cmentarzu zawieszono szarfę z napisem informującym o śmierci kapłana, z modlitewnym wezwaniem za niego, lecz w ciągu kilku godzin nieznani sprząający ją zdjęli. Wszyscy domyślali się, którzy to sprzątacze zrobili.

Przesłuchanie

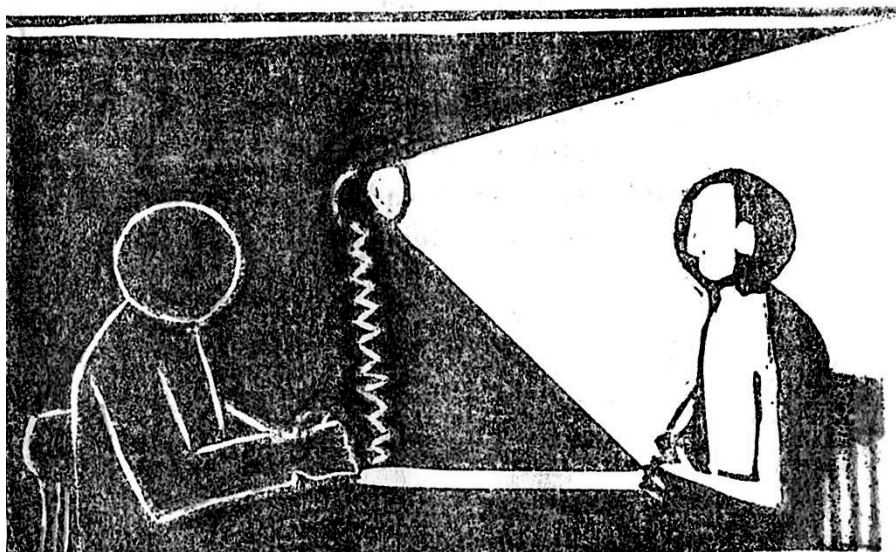
Na biurku leżała zomowska szturmowa pałka, a ja miałem dwie minuty na decyzję. Miałem się zastanowić, czy zacząć składać zeznania, czy jednak dostać pałą. Alternatywa mało ciekawa i w moim przypadku raczej niewykonalna. Mówić o Dekanalnym Komitecie Charytatywnym, którego byłem współzałożycielem, nie chciałem, chociaż działał on jawnie. Natomiast o podziemnym Robotniczym Wydawnictwie „Feniks” z Wrocławia, do którego książek od niedawna wykonywałem ilustracje, z oczywistych względów nie mogłem. Zresztą o działalność w tej drugiej organizacji bezpieka mnie nie podejrzewała. Za to bardzo interesowało ich, co się dzieje w parafii, a szczególnie działanie komitetu, w którym uczestniczyła większość „namierzonych” opozycjonistów w mieście.

Czas się kończył i byłem bardzo ciekawy, jak ubek wybrnie z tej sytuacji. Bicia szturmową pałą nie zaryzykuje, bo nie ma podstaw do zatrzymania na więcej niż 48 godz. Znaki pobicia zostaną, a ośrodek zdrowia jest tuż obok komendy MO. Wiadomo, że z dokonaniem obdukcji nie będę miał problemu. Więc co – schowa pałą i z uśmiechem powie: żartowałem? Wtedy straci twarz i cały image twardego inspektora pryśnie. Taki typ jak on nie pozwoli sobie na to. Mimo wszystko bawi mnie ta sytuacja, chociaż ryzyko cały czas jest realne i myśli o słynnych „bezśladowych” pobiciach ciągle w głowie się kołaczą. Sam byłem świadkiem na KWMO we Wrocławiu, jak facet wchodził do celi na palcach, bo na piętach nie mógł stanąć. Dokładnie opowiedział ten sposób przesłuchania. Gdy kłęczysz na krześle, a ubek naparza cię pałą po piętach – każde uderzenie czujesz aż w mózgu. Czy bicie np. młotkiem przez

deskę: śladu nie ma, a nery odbite, i tym podobne historie z kazamatów, gdy zdrowie stracisz, bólu zaznasz, a poskarżyć się możesz co najwyżej Panu Bogu.

Z inspektorem Markiem Sękiem znamy się nie od dziś i mniej więcej wiemy, czego się można po przeciwniku spodziewać. Znałem go z któregoś wcześniejszego przesłuchania, czyli jeszcze przed oficjalnym przedstawieniem go przez dyrektora szpitala dr Rydza, kiedy ten, jakiś rok temu wezwał mnie do swego gabinetu, specjalnie w celu przedstawienia „opiekuna naszego szpitala” z ramienia MSW. Zastanawialiśmy się wtedy z Wiesławem Fiszerem, po co ta demonstracja, przecież mógł inwigilować szpital nieoficjalnie, tak jak do tej pory robił to J. Sabat, ale jak widać przyjął inną strategię albo raczej kazano mu ją przyjąć. Przy każdej sposobności lubi podkreślać swoją wyższość. Sugerował więc, że skończył studia (co było nieprawdą), jak podkreślał, „na

**i taki głodny odnowy i przemian
staniesz się gościem naszego podziemia.
Straszył namiestnik, ale jego dzieło
prysło — i jeszcze na koniec pierdnęło.**



Ilustracja – linoryt do wiersza B. Kierca „Łagodny Miły”. Tomik wierszy o takim samym tytule wydało wydawnictwo RW Feniks 1986 r., dla którego wykonywałem ilustracje.

cywilnej uczelni”, jego ubiór jest nienaganny, nieźle kontrastujący z niechlujnym, nieco hipisowskim stylem opozycjonistów. Nawet pióro, którym pisze, ma złotą stalówkę (nigdy nikomu nie daje go do ręki). W pojedynkach słownych nigdy nie odpuszcza, ogólnie typ zawzięty i ambitny do przesady, a przy tym złośliwy jak panna w ciąży, na domiar złego, jak to u nich w zwyczaju, nie cofa się przed kłamstwem, prowokacją, pomówieniem. Nie tak dawno w trakcie poprzedniego przesłuchania osobiście zdjął mi z szyi krzyżyk z orłem, twierdząc, że jest on nielegalny, wcześniej zarekwirował z mojej teczki taśmę magnetofonową z przemówieniem ks. Popiełuszki. Zainicjował też jako pierwszy zabieranie mi okularów do depozytu, żebym w areszcie nie miał za dobrze. Ogólnie rzecz biorąc, nie cofał się przed żadną złośliwością ani świństwem, jednak nigdy nie słyszałem, żeby kogoś pobił. Dlatego dzisiejsze jego zagranie jest co najmniej zaskakujące.

Zresztą dzisiejsze tak przesłuchanie, jak i zatrzymanie są nietypowe. Zwinęli mnie po pracy z przystanku autobusowego, zrobili przy tym błąd, który kosztował ich dekonspirację. Zamiast podejść i po cichu mnie zdjąć, głupki podjechali samochodem pod przystanek pełen ludzi (właśnie skończyła się pierwsza zmiana w szpitalu, a autobusy jeszcze nie przyjechały) i z krzywym ryjem mającym symulować uśmiech proponowali podwiezienie do domu. Na pytanie znajomej: „kto to jest” odrzekłem zgodnie z prawdą, tak żeby wszyscy słyszeli, że to panowie ze Służby Bezpieczeństwa. Krzywe ryje skrzywiły im się tym razem z niesmakiem, jednak mendi nie odpuściły i musiałem z nimi jechać. Nie obeszło się przy tym bez targów, gdy koleżanka zadeklarowała, że pojedzie razem ze mną. Myślę, że zgodzili się tylko dlatego, żeby nie robić większego zamieszania. Jednak byli wściekli, może stąd ta agresja i zagranie z tą pałką. Pewnie tak, bo po przyjeździe na komendę trzymali mnie ze dwadzieścia minut na korytarzu, pewnie ustalali taktykę. Zastosowali przy okazji starą sowiecką metodę, opisaną przez Sołżenicyna – trzymanie aresztanta w stresie i niepewności. Jednak w moim przypadku niekoniecznie im się udało, bo miałem czas, żeby pozbyć się listu od kuzynki z Francji i schować do skarpetki pamiątkowy medal z Papieżem. Medal by zabrali, jednak wiadomości zawarte w liście choć nie kompromitujące, im do niczego nie były potrzebne (im mniej wiedzą, tym lepiej).

Po wezwaniu do pokoju zaczęli przesłuchiwać mnie we dwóch z W. Wroną, ale w pewnym momencie Sęk wyprowadził mnie do pustego sąsiedniego pokoju. Wyjął z szuflady pałę i groźnym głosem zadeklarował chęć poznania całej prawdy.

Teraz siedzimy naprzeciw siebie, ubek opuszcza rękę z zegarkiem, na którym odmierzał mi dwie minuty.

– Czas minął, zdecydowałeś się?

Nagle drzwi się otwierają, pojawia się w nich półtęcza głowy inspektora Sabata. Sęk błyskawicznie chowa pałkę do szuflady.

– Chciałeś coś? – Sabat pyta ospałym głosem.

To pytanie utwierdza mnie w przekonaniu, że został on wezwany, żeby pomóc Sękowi wybrnąć z sytuacji. Kulminacyjny moment przesłuchania mija, jednak czujność mnie nie opuszcza, tutaj zawsze czuję się osaczony.

Sęk wyjmuje banknot tysiączłotowy, kładzie na blacie.

– Proszę oddać te pieniądze swojej koleżance, ale wcześniej napisze pan oświadczenie, że ja panu je daję, żeby one do niej trafiły. Pan jest za to odpowiedzialny.

O, twoje niedoczekanie, padluchu – myślę. – Żadnych oświadczeń, ale jednocześnie żal mi Krysi. Przecież to duża część jej wypłaty, może jednak napisać?

A to głupia dupa, przez nią mam taki dylemat. Że też tak łatwo dała się sprowokować ubeckim docinkom. Uniosła się honorem na uwagę Sęka, że ich auto to nie taksówka i wysiadając rzuciła na fotel 1000 złotych. Kobiety są jednak zbyt impulsywne i dlatego później są kłopoty. Wreszcie postanawiam, przysuwam kartkę i piszę oświadczenie.

Skóra mi cierpnie i włos się jeży, gdy umieszczam swój podpis tuż pod ostatnią linijką, tak żeby nic nie mogli dopisać – gnoje. Tak się pilnowałem, żeby nic nie podpisywać, a już szczególnie żadnych oświadczeń, a tu masz babo placek.



Komenda MO w Wołowie, na poddaszu w pokojach SB palą się światła.

Ubek chowa papier do teczki, mam wrażenie, że widzę uśmiech pod wąsem i szlag mnie trafia – czyżbym przegrał?

Wychodzę. Pierwszy raz mnie nie zamknęli na 48. To źle wróży.

Kurczę, jaki paradoks – zamartwiam się, że nie będę siedział dwóch dni w areszcie!

Jest jeszcze jasno, choć pora późna – jak to w lecie. Idę do domu i układam sobie plan działania na jutro.

Pierwsza sprawa: oddać pieniądze Krysi i odebrać od niej oświadczenie, że tysiąc złotych, które poprzedniego dnia zostawiła w samochodzie służbowym SB, zostały jej przeze mnie zwrócone. Oświadczenie musi napisać przez kalkę w obecności świadka, oryginał trzeba dobrze schować.

Po drugie: powiadomić o sytuacji Wieśka Fiszera, Bogdana Lipowicza i Janka Krasowskiego, naszych liderów z Lubiąża i Wołowa, żeby znali prawdę w razie jakiegokolwiek prowokacji ze strony SB.

Po trzecie: porozmawiać z mecenasem Przegoniem, ostatnio obiecał mi, że zredaguje pismo, domagając się zwrotu nielegalnie zarekwirowanych przedmiotów, w tym krzyżyka i taśmy z mową ks. Popiełuszki. Takie pismo napisałem już miesiąc temu, ale moje pisanie to dla nich pikuś, co innego pismo adwokata, będą zmuszeni przynajmniej odpowiedzieć.

A propos pism do bezpieki: jakoś po jesiennej fali zatrzymań postanowiliśmy z Wieśkiem Fiszerem, że po każdym zatrzymaniu będziemy wysłać do nich pismo i domagać się pisemnych przeprosin, z powiadomieniem zakładu pracy. Swoje żądanie motywowaliśmy naszą wiarą, że jest możliwe przestrzeganie prawa w resorcie spraw wewnętrznych – ha, ha, ha. Myśmy ubawili się tym pomysłem i pewnie oni też. Więc żebyśmy znowu mogli się pośmiać, jutro znów takie pismo wysmażę, wzór już jest, starczy tylko wpisać godziny i daty. Dopiszę jeszcze, że zatrzymanie odbyło się wśród wielu pracowników szpitala, w którym pracuję, więc moje dobre imię doznało uszczerbku. Świadkowie mogli odnieść wrażenie, że jestem osobą nieprzestrzegającą prawa. A kuźwa, co! – jak się bawić, to się bawić. Nic to, że mam za sobą trzymiesięczny areszt, dwa kolegia i kupę zatrzymań. Trzeba dbać o dobrą opinię, a przynajmniej udawać.

Feniks

Obudziłem się z głębokiego snu. Radio i głośny gwar nie przeszkodziły mi w krótkiej, intensywnej drzemce. Upiłem łyk zimnej już herbaty i rozejrzałem się nieprzytomnie. Pacjenci jak zazwyczaj przed obiadem byli żwawi i pobudzeni. Odwrotnie niż ja – pomyślałem. Opowiadki i żarty sypały się jak, nie przymierzając, w klubie dziennikarza, a nie w lubiańskim „psychiatryku”.

Już drugi raz zdarzyło mi się zasnąć w pracy i chociaż były to krótkie, pięciominutowe wyłączenia świadomości, to nie powodowało ich lenistwo czy pijaństwem, ale chroniczne zmęczenie.

Z brakiem czasu zawsze miałem kłopot, ale ostatnio dawało mi to wyjątkowo w kość.

Nasiliło się to szczególnie, kiedy urodziła nam się córka. Pierwsze dziecko, my niedoświadczeni rodzice, pieluchy, karmienia, kąpanie, nieprzespane noce itp., żona wieczorami do szkoły, ja w zaocznej szkole KO na Mazowieckiej we Wrocławiu. Zjazdy niezbyt częste, ale pouczyć się trzeba chociaż trochę. No i efekt jest, człowiek zasypia, nawet nie wie kiedy. Dobrze, że z personelu nikt nie widział, potrzebne mi jeszcze plotki i gadanie!

Pan Wojtek, widząc moją niedyspozycję, sam wyjął z szafy deskę, którą dwa dni temu zapuściliśmy specjalną zaprawą, według starej receptury utartą z kredy, kleju kostnego, oleju lnianego i żółtek. Mamy malować na niej ikonę. Wojtek uczył się konserwacji zabytków więc ma o tym większe pojęcie niż ja. Teraz papierem ściernym delikatnie szlifuje podobrazie. Wydaję Czesio-wi warcaby, bo chcą z Romkiem zagrać partyjkę przed obiadem, uciszam Wieska Baka, żeby się tak nie darli przy tych kartach, bo radia przez nich nie słyszać, i wyciągam zaczęty linoryt, żeby podgonić trochę robotę.

Ze swoją dłubaniną nie muszę się chować, przecież to pokój terapii zajęciowej, ciągle coś się tutaj tnie, szlifuje, maluje, a za godzinę, co została do obiadu, matrycę prawie skończę i nikt nie będzie wiedział, że to fucha.

Fucha robiona w czasie pracy, i to w dodatku nielegalna. W ciągu najbliższych kilku dni Wiesiek Leśniański dostarczy linoryt do Wrocławia, gdzie w drukarni Feniksa już na nią czekają, żeby wydrukować kolejną stronę kalendarza na rok 1986.

Z tym Feniksem jeszcze się wpakowałem.

Wiesiek zaproponował mi pracę w podziemnym wydawnictwie jakieś trzy miesiące temu (wiosną 1985). Zanim pomyślałem, już się zgodziłem, a przecież miałem zawieszony wyrok z lutego 1983 r. (1 rok w zawieszeniu



na 3 lata). Jednak zanim przyszło mi to głowy, było już za późno – słowo się rzekło.

Robiłem co prawda w międzyczasie kartki świąteczne czy też plakaty, ale była to produkcja niewielka, od 100 do 200 sztuk, robiona w małym gronie, przeważnie z Kaziem Żakiem, czasem dołączał Rysiek Gruś. Zagrożenie wpadką było więc niewielkie. A w takim wydawnictwie przewija się jednak więcej ludzi, bo to przecież zaopatrzenie – papier, farba, rozpuszczalniki, skład czcionek i drukowanie, no i dystrybucja, transport, sprzedaż. Wystarczy, że wpadnie jedno ogniwo i wpadka całości gotowa.

Gdy wspominałem Wieśkowi o moich wątpliwościach, uspokoił mnie, że on sam pracuje z nimi już prawie trzy lata i nie obawia się, bo konspiracja jest wzorowa i żadne standardy bezpieczeństwa nie są naruszane. Nieco uspokojony, ale i tak z duszą na ramieniu zgodziłem się pojechać do Wrocławia na spotkanie z szefem wydawnictwa.

Po przesiadkach z tramwaju na autobus i dość zawiłym kluczeniu po osiedlu Nowy Dwór (czyżby Wiesiek celowo kluczył) dotarliśmy w końcu na czwarte piętro wieżowca przy ulicy Rogowskiej. Przy herbatce podanej przez Jolę – panią domu, zostałem przedstawiony jako profesjonalny plastyk po Akademii Sztuk Pięknych, który chce podjąć pracę w wydawnictwie. Sprostowałem tę zbyt pochlebną prezentację, że owszem, grafiki uczyłem się u profesora Janusza Halickiego, ale ASP nie kończyłem. Mimo to zostałem zaangażowany jako plastyk Robotniczego Wydawnictwa „Feniks”. Moja praca miała charakter umowy-zlecenia i żeby wszystko było jasne, Tadeusz zaproponował mi wynagrodzenie w wysokości 50 złotych za każdą matrycę. Byłem zaszokowany, bo do tej pory wszystkie prace dla podziemia wykonywało się z pobudek ideowych i najczęściej dokładało się do interesu, a tu nagle pieniądze za pracę! To prawda, że niezbyt duże, a jednak też nie tak całkiem małe. A kiedy usiłowałem mu powiedzieć, że podejmuję się pracować bezpłatnie, wytłumaczył mi, że drukowane przez Feniksa pozycje są sprzedawane i on nie chce zostać posądzony o to, że dorabia się na czyjejś pracy. Dodał przy tym, że zysk po odliczeniu kosztów jest odkładany na tzw. fundusz zakładowy, przeznaczony na sytuacje awaryjne, jak kolegia, kary, zapomogi itd.

To nie pierwszy szok w tym mieszkaniu. Następnym to płyty.

Płyty gramofonowe, ustawione w regałach na całej ścianie – setki czy tysiące, to trudno określić, nigdy tylu nie widziałem – chyba że w sklepie. Zauważyłem też dobrej klasy gramofon i pomyślałem, że facet nie musi telewizora oglądać, bo na ich odsłuchaniu pewnie rok zejdzie. Zresztą telewizora w pokoju nie widzę, za to naprzeciwko mnie stoi etażerka, w połowie zapełniona nielegalnymi (bezdebitowymi, jak się teraz mówi) wydawnictwami. Tyle tego naraz

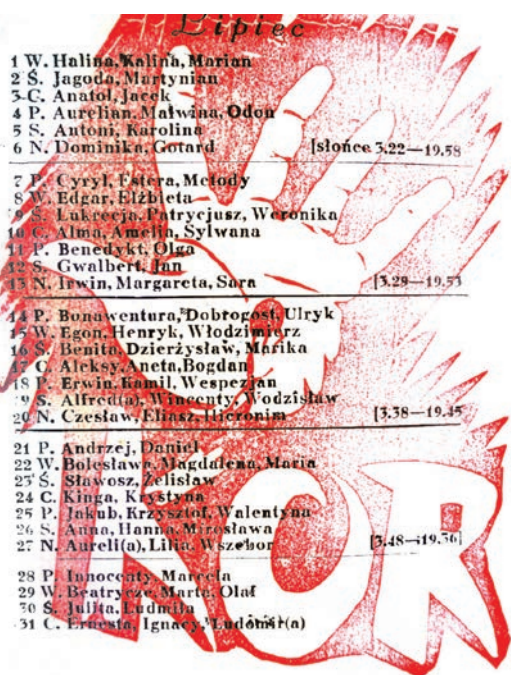
i tak całkiem na wierzchu też nie widziałem – kolejny szok. Człowiek każdą ulotkę chowa nie wiadomo jak głęboko, a ten całą bibliotekę na wierzchu trzyma!

Wiesiek musiał wcześniej o mnie opowiedzieć (co oczywiście zrozumiałe), bo Tadek nie ma przede mną tajemnic. Pokazuje mi pozycje wydane do tej pory przez swoje wydawnictwo: dwa albumy fotograficzne z 1 maja 83 r. i „Wrocławski Sierpień 82”, tomik wierszy Bogusława Kierca „Modlitwa przeciw rozpaczcy”, „Antyrakowski”, „IV Rozbiór Polski” i jakieś drobniejsze rzeczy, ale widzę też

„Archipelag Gułag” Solżenitsyna, coś z Orwella i wiele innych, które znam ze słyszenia, ale nie miałem okazji czytać. Tak sobie pomyślałem, że chciałbym mieć taką biblioteczkę...

W końcu podchodzimy do długiego „stolika” przykrytego szarym płótnem, który okazuje się sercem wydawnictwa, jest to maszyna drukarska, nazwana przez Tadeka czy może któregoś drukarza „Warchoł – 2”. Nie mam pojęcia, jak to działa, chłopaki tłumaczą mi, że ułożywszy czcionki w specjalnej ramce, należy odpowiednio mocno docisnąć do papieru, bo inaczej odbitka nie wyjdzie. Usiłuję sobie to wyobrazić, ale mimo suchej demonstracji nie bardzo mi to idzie. Nigdy właściwie nie zapoznałem się praktycznie z pracą „Warchoła”. Nie dane mi było drukować na nim. Zresztą wcale się nie napraszałem, wolałem spokojną pracę „chałupniczą”, z dystansu – bez świadków.

Tak to już jest w konspiracji, że lepiej za dużo nie wiedzieć, bo wiedza taka w razie aresztowania może być obciążeniem. Tego nikomu nie trzeba tłumaczyć, że bezpieczeństwo ma wiele sposobów, żeby się do każdej wiedzy tajemnej dostać. Ich zadaniem jest znalezienie słabego punktu przesłuchiwanego, a reszta jest kwestią czasu i techniki, intensywności, częstotliwości jej



stosowania w celu złamania psychiki delikwenta. Więc nikt nie zadaje pytań o nazwiska czy adresy, są pseudonimy, gospodarz to „Adam”, Wiesiek – „Ozon”, ja przyjmuję pseudo „Zbych Stasiński”.

Łącznikiem między mną a wydawnictwem będzie Wiesiek. On będzie dostarczał mi teksty poszczególnych pozycji, próbne odbitki ze „szczotki” zecerskiej, do których będę wykonywał ilustracje metodą linorytu, a on będzie przewoził gotowe matryce do wydawnictwa. Oczywiście jego zadania są o wiele szersze, później dopiero dowiem się, że kalendarium zostało opracowane właśnie przez niego. Nie pytam, ile osób pracuje w drukarni ani kto redaguje teksty. Nie obchodzi mnie to. Przez ponad dwuletnią współpracę z Feniksem będę jeszcze tylko raz w tym mieszkaniu. O tym, że drukarnia jest jednym z ogniw Solidarności Walczącej, dowiem się dopiero po kilku tygodniach.

Kończę teraz jedną z ostatnich matryc do kalendarza, wykonałem ich w sumie 14 sztuk. To dużo dłubania, dobrze, że część mogę zrobić w pracy przy okazji zajęć z pacjentami. Teraz jeszcze kwestia dostarczenia do Wieśka.



Ilustracja ze strony internetowej Solidarności Walczącej, w czarnych ramach nieżyjący koledzy

Za chodzenie z linorytem w kieszeni nic mi nie mogą zrobić – to oczywiste, ale gdy ten sam linoryt zostanie zamieszczony w nielegalnym wydaniu, to już podlega pod paragraf. A ostatnio na ul. Matejki, gdzie mieszka Wiesiek, kilkadziesiąt metrów od jego domu, stacjonował przez kilka dni esbecki fiat 125p w kolorze kość słoniowa, ze znajomą rejestracją WRB 309A.

Zastanawialiśmy się nawet, czy to inwigilacja, czy może raczej demonstracja z podtekstem: uważaj, mamy cię na oku – lepiej się uspokój!

Niepokojące było również to, że Wiesiek był śledzony we Wrocławiu.

Rzecz się miała tak, że Rysiek Gruś i Janek Krasowski mieli umówione spotkanie z Kornelem Morawieckim. Wiesiek miał dostarczyć ich pod wskazany adres. Ponieważ Jankowi coś wyskoczyło, pojechali we dwóch z Ryśkiem. W pewnym momencie, wsiadając do autobusu, zorientowali się, że twarz faceta wsiadającego wraz z nimi jest im знакоoma. Po dokładniejszym przyjrzeniu się stwierdzili, że widzieli go już w pociągu, a dodatkowo jeszcze we wcześniejszym tramwaju.

Spotkanie nie doszło do skutku, gdyż bezpieczeństwo Kornela było priorytetem, a oni ciągnęli ogon już z Wołowa i mimo że udało im się go zgubić, ze spotkania zrezygnowano. Bezpieka od kilku lat stawiała na głowie, żeby dopaść szefa Solidarności Walczącej.

Przewodniczących RKS-u łapali co kilka miesięcy, a jego nie mogli, mimo że rozkaz przyszedł z Warszawy, a może i z Moskwy.

Nie chciałem, żeby kojarzono mnie z Wieśkiem, pomyślałem więc, że gdyby ubecki fiat ciągle tam stał, zawrócę z daleka. Najwyżej będzie ze dwa dni opóźnienia, ale na szczęście droga jest czysta, przesyłka dojdzie więc na czas.

Za kilka dni będziemy mieli z Wieśkiem spotkanie w nieoczekiwanym miejscu, mianowicie w wołowskim areszcie. Posiedzimy sobie tam 48 godzin w jednej celi z drobnym oszustem oferującym ludziom kuchenki gazowe, niewywiązującym się z umowy po wzięciu zaliczki.

Jednak zatrzymanie nas będzie miało charakter profilaktyczny, mający na celu spacyfikowanie opozycji przed wyborami do sejmu i rad narodowych, które Solidarność nakazała zbojkotować. Cele wołowskiego komisariatu przez tydzień będą wypełnione ludźmi, którzy wydadzą się esbecji w jakiś sposób niebezpieczni. Tuż przed nami w tej samej celi będzie siedział Kaziu Żak, też w tym czasie pracownik Feniksa, zaprzysiężony żołnierz Solidarności Walczącej.

*

Oprócz kalendarza uda się Feniksowi wydać jeszcze „Procesy przed Najwyższym Sądem Wojskowym” i drugi tomik wierszy B. Kierca pt: „Łagodny Miły”. W przygotowaniu będą dwie następne pozycje, kiedy nastąpi katastrofa – WPADKA!

W maju 1987 r. zobaczyłem w telewizji Tadek Piątko, składającego oświadczenie. Chociaż wiedziałem o jego aresztowaniu i wypadku drukarni, Wiesiek dał znać dwa dni wcześniej, poczułem się nietęgo.

Jednak nie zamierzałem się ukrywać, to już nie ten czas, skończył się romantyzm walki w stanie wojennym, ludzie byli zmęczeni codzienną walką o byt, biedą i brakiem nadziei. Postanowiłem przygotować żonę na moje ewentualne aresztowanie, zapewniając, że najpewniej nie będzie zbyt długie. Oczywiście, nie była zadowolona... ktoś zrozumie kobiety?

Jednak „smutni panowie” nie przyszli ani nazajutrz, ani za tydzień. Tadek nie wydał nikogo, winę wziął na siebie. Jak to się mówi – przyjął cios na klatę i go wytrzymał.

To był koniec Feniksa, koniec wydawnictwa, ale my, ludzie tworzący go, zostaliśmy i czekaliśmy, żeby odrodzić się z popiołów. Bo walka o wolną Polskę nie została skończona, a przyczajone zło nie ustąpiło ani na krok.

Mimo że coraz starsi, ciągle jeszcze jesteśmy w grze, czy starczy nam siły, determinacji i szczęścia, aby to ZŁO kiedyś pokonać?

Innych pracowników Feniksa (wspaniałych ludzi) poznam dopiero po 22 latach (2007 r.) w pociągu wiozącym kombatantów Solidarności Walczącej do Warszawy na zaproszenie Prezydenta Lecha Kaczyńskiego z okazji 25-lecia powstania SW.



*Prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej
Lech Kaczyński
zaprasza*

*Pana Stanisława Ryczkę
na spotkanie z okazji
25. rocznicy utworzenia organizacji
„Solidarność Walcząca”*



Pałac Prezydencki

15 czerwca 2007 roku
godzina 16.00

Akcja w kościele pw. św. Karola Boromeusza w Wołowie

Siedzę w ostatniej ławce i czekam. Jest późna noc, pewnie około drugiej, trwa adoracja grobu Jezusa, jutro Wielkanoc. Coraz bardziej jestem przekonany, że się jednak nie doczekam, ludzi nie ubywa, co ktoś wyjdzie, to na jego miejsce pakuje się następny. A mnie właśnie chodzi o to, żeby było jak najmniej świadków mojej akcji. Mam przy sobie około 120 sztuk kartek świątecznych i chciałbym je rozłożyć na ławkach, a tu jak na złość w kościele mnóstwo ludzi. Kartki są ze znakiem Solidarności, dlatego tak mi zależy na jak najmniejszej liczbie świadków.

Wykonaliśmy je kilka dni temu z Kaziem Żakiem u niego w mieszkaniu. Najedliśmy się przy tym strachu, gdy w trakcie drukowania ktoś mocno zapukał w okno. Osłupieliśmy – przecież okno u Kazia na pierwszym piętrze. Okazało się, że na zewnątrz ustawiono rusztowanie i jakieś wyrostki, widząc światło w oknie, chciały podejrzeć, co się dzieje późno w nocy w mieszkaniu, i zrobili nam tego dowcipasa. Chcieliśmy nawet przerwać naszą produkcję, ale stwierdziliśmy, że łebki nie zajarzyły zapewne, co takiego robimy. Zdziwiło ich przypuszczenie, że powtarzamy ciągle tę samą operację: jeden nakłada na coś (matryca z linoleum) wałkiem czerwoną farbę, drugi przykład kartkę i z dużą siłą przejeżdża po niej



Kartka świąteczna – linoryt 1986 r.

innym, czystym wałkiem, następnie delikatnie odkleja i kładzie tam, gdzie jest jeszcze wolne miejsce. Kartki z czerwonym deseniem leżą wszędzie, na blatach mebli, na łóżku, podłodze, tworząc dziwną arabeskę, niezrozumiałą dla niewtajemniczonych. Działaliśmy więc dalej, dopóki było gdziekolwiek miejsce na naszą „cepelię”. Farba drukarska potrzebuje kilku godzin, żeby wyschnąć, ale na rano produkcja była gotowa do zebrania. Część została rozdana znajomym w Lubiążu, w Brzegu Dolnym, Wołowie i Wrocławiu, a to, co zostało, chciałem zostawić w naszym kościele.

Nasz kościół – tak nazywamy go nie tylko dlatego, że jest w naszym mieście, ale przede wszystkim dlatego, że powstało tu i było realizowanych tak wiele naszych inicjatyw.

Dekanalny Komitet Charytatywny zakładaliśmy w piwnicznej salce ze śp. ks. dziekanem Bosakiem bodajże na początku kwietnia 1983. Przypominam sobie, kto tam wtedy był. Wiesiek Fiszer, Janek Krasowski, Piotrek Bereza, Rysiek Gruś, Krzysiek Gołubowski, kilka pań, których nazwisk nie pamiętam... zresztą nikt nazwisk nie zapisywał – przyszedłeś, to byłeś. W następnych tygodniach zaczęli dołączać Stróżykowie, Wiesiek Leśniński, Kaziu Żak, dr Szczepański i inni. Sklepik przykościelny, prowadzony przez Piotra Berezę później przeze mnie i w końcu Kazika Żaka, to też inicjatywa Komitetu Charytatywnego. Dewocjonalia, książeczki do nabożeństwa, literatura chrześcijańska, poezja nawet płyty – wyboru dokonywaliśmy sami w księgarni archidiecezjalnej. Co najmniej raz w miesiącu wracaliśmy z Wrocławia obładowani jak wielbłądy. Obroty były duże, ludzie chętnie kupowali, gdyż



Wizytówka DKCH wykonana przez prof. Janusza Halickiego

Dekanalny Komitet Pomocy Charytatywnej
uprzejmie zaprasza na dzień
o godz.
w celu wybrania dla rodziny odzieży
przysłanej w darze z Francji.

Zaproszenia wysyłane przez DKCH w Wołowie do rodzin potrzebujących pomocy

taki towar w naszym mieście nigdy wcześniej się nie pojawiał. Zysk ze sprzedaży przeznaczony był na działalność komitetu, a więc dla rodzin aresztowanych, na opłacenie kolegów i innych kar, ale również wspierana była działalność podziemna. Jednak dzięki sklepikowi wzrosła nie tylko świadomość chrześcijańska społeczności naszego miasta, ale dokonało się wiele nawróceń milicjantów, esbeków i ormowców tudzież innych towarzyszy. Nie było niedzieli, żeby nie zajrzał do sklepiku któryś z tych typków, co to zapomnieli już, którą ręką trzeba się żegnać, kiedy siadać, a kiedy klękać i jak przekazywać znak pokoju. Zresztą pokój z kuchnią im się mylił, tak były chłopcy skołowane i pod koniec mszy nie orientowali się, czy Pan z nami, czy Pan z wami. Nie dziwota więc, że taki neofita, zakupiwszy tajemnice różańca, studiował je długo i namiętnie, a potem odnosił z reklamacją, że nie o takie tajemnice mu chodziło. Zabawne, ale był taki przypadek.

Inwigilacja prowadzona była na różne sposoby i na wielu polach: przyglądano się, czy w sklepiku nie ma pism podziemnych, przesłuchiowano księży, Dziekana w sprawie komitetu i ks. Jerzego Kubika za zbyt ostre kazania, ja też byłem częstym gościem, tyle że zbyt mało mównym jak na ich gust i dlatego zazwyczaj raczyli mnie 48-godzinną gościnną. Szczególnymi momentami ich nasilonej pracy były procesje, w każde Boże Ciało esbecy obstawiali Rynek, obserwując, kto idzie i z kim. Widoczni byli z daleka, bo wszyscy mieli ciemne okulary przeciwsłoneczne, zapewne żeby ich blask monstrancji nie raził. Ciekawość bezpieki wzrosła, kiedy przyjechały dary z Francji (były dwa transporty), nasiliły się też rozmaite prowokacje i pomówienia stawiające komitet w złym świetle.

Ostatnią, niestety udaną, prowokacją było ukaranie Kazika za kradzież roweru, chociaż to właśnie jemu go ukradziono spod kościoła, zostawiając w zamian starego rupiecia. A gdy Kaziu to „dziadostwo” prowadził do domu w przekonaniu, że pewnie nastąpiła pomyłka i że wymieni rowery, gdy ten ktoś się zgłosi – złapano go sto metrów dalej. Ktosiem okazał się znany w mieście ormowiec. Efektem było kolegium i w rezultacie rezygnacja Kazika z opieki nad sklepikiem.

Żeby miały być gdzie złożone, wyremontowaliśmy z Piotrem Berezą duże pomieszczenie nad zakrystią i wtedy dołączyło wiele osób do pomocy. Kobiety wysprzątały ten magazyn tip-top, łącznie z myciem szyb, do rozładunku tira zgłosiło się wiele dzieci a mężczyźni mogli wykazać się utrzymaniem porządku w trakcie wydawania darów, co było chyba najtrudniejsze. Teraz te sprawy to już historia, trzy lata minęły i po drodze tyle rzeczy się zdarzyło, ale to było kilka lat naszego życia, związane z tym kościołem, z księżmi i wieloma ludźmi, którzy wtedy z nami współdziałali.

Swego rodzaju nagrodą za naszą działalność było zaproszenie arcybiskupa Gulbinowicza na rocznicowe spotkanie „pod czwórkę”, czyli na ul. Katedralną 4, gdzie mieści się siedziba Arcybiskupiego Komitetu Charytatywnego. Tam wraz z Kaziem Żakiem, Wieśkiem Leśniańskim i Jankiem Krasowskim, po mszy św. w kaplicy Piotra i Pawła, przeszliśmy do obszernej świetlicy i przy poczęstunku wraz z innymi delegacjami komitetów charytatywnych z Dolnego Śląska rozmawialiśmy z ks. arcybiskupem. Okazało się, że jego ekscelencja jest wspaniałym gawędziarzem. Szczególnie zabawne były jego opowieści dotyczące esbeków, którzy permanentnie go obserwowali. Dało to asumpt do porównania stosunku SB do niego, wysokiego hierarchy Kościoła, oraz do nas, zwykłych śmiertelników.

Straż przed Bożym Grobem zdążyła zmienić się już kilka razy. Podejmuję decyzję, że kartki zacznę rozkładać na ławkach przy następnej zmianie. Jest głęboka noc, nie przypuszczam, żeby jakiś kapuś miał o tej porze służyć. Chociaż istnieje możliwość, że ktoś bez złych intencji narobi poruty, na zasadzie: jedna baba drugiej babie i bezpieka dowie się o tej zabawie. Chatę co prawda „wysprzątałem”, ale rewizja to nic przyjemnego, a w razie takiej denuncjacji posiedzieć „48” też trzeba będzie. A tu jak na złość z pięćdziesiąt osób w kościele, no ale nic to, ryzyk-fizyk. Właśnie wychodzi zmiana straży, trzy osoby, jeden rozprowadzający i dwoje strażników, chłopak i dziewczyna, nastolatki, 15-17 lat. Na głowach hełmy strażackie, parciane pasy, przy pasach małe toporki, też chyba strażackie. Równy krok, uprząż na nich dzwoni, toporki postukują – to oni zwracają uwagę, a ja boczkim i niespiesznie na każdej ławeczce kładę kilka kartek. Jednak kiedy przechodzę do następnego rzędu

ławek, widzę, że wszyscy już mnie obserwują. Trudno, „jadę” dalej i kończę troszkę „rozdygotany”, tym bardziej że znajomy wylatuje za mną na korytarz i komplementuje, że dobra jakość druku. Jaki to druk – myślę – akurat się znasz, przecież to odbitki z linorytu. Zresztą jeden z lepszych projektów, jaki mi wyszedł. Poprzednie też nie były złe, a mam na koncie już trzy kartki okolicznościowe i dwa plakaty, ale z tego może trochę secesyjnego projektu jestem szczególnie zadowolony.

Tamte też rozprawialiśmy z Kaziem, niektóre nawet sprzedawaliśmy, żeby mieć na papier i farbę. W przyszłości jeszcze kilka przybędzie, ale już teraz moją główną działalnością jest współpraca z wrocławskim wydawnictwem „Feniks”, będącym w strukturach Solidarności Walczącej. Dużo ilustracji zamawiają. Nawiasem mówiąc, Kazik też tam pracuje (przy składzie czcionek i druku). Jak się okazało, Wiesiek Leśniański skaperował go cichcem i przez pewien czas nie wiedzieliśmy, że działamy w tym samym podziemnym wydawnictwie, mimo że na wołowsko-lubiąskim polu też działaliśmy nielegalnie. Jednak zasady konspiracji w Feniksie obowiązywały, szef wydawnictwa Tadek Piątek już o to zadbał.

Po 15 minutach jestem w domu. Jednak akcja się udała. Nikt nie doniósł, żadnego zatrzymania ani rewizji. Mimo że tacy przebiegli, pilnują, rewidują, podsłuchują, podpatrują, prześwietlają, to jednak znowu zaspali jak te panny głupie z biblijnej przypowieści.

No cóż, i mnie się czasem coś uda. A bezpiece ich czerwony szatan tym razem nie pomógł, chociaż tak się biedaczek stara. A może w noc Zmarłychwstania ten ich diabeł nie ma władzy?

Mój bojkot komunistycznego „święta pracy” przez pracę 1 maja 1986 r.

Siedziałem przy hałdzie rozbiórkowej cegły i tłukłem młotkiem od rana. Słoneczko grzało, wokół cisza, wiosenne ptaszki śpiewają, tak właśnie sobie ten dzień wymarzyłem. Gdyby było deszczowo, mój plan by się nie udał, bo jak czyścić cegły na deszczu?

Przedemną była już niezła kupka wyczyszczonych cegieł, kiedy zaczęli pojawiać się pierwsi „świętujący”. Pojedynczo i rodzinami przechodzili obok mnie, odświętnie ubrani, jakby do kościoła. Kobiety w garsonkach, faceci w garniturach, pod krawatami, młodzież nie tak oficjalnie i raczej na krótki rękaw, bo koło południa będzie gorąco. Chociaż to droga mało uczęszczana, bo na skraju miasta, jednak kilkadziesiąt osób z naszego osiedla dzisiaj nią przejdzie.

Specjalnie włożyłem najbrudniejsze ubranie, uwalane wapnem i wystrzępione, kapelusz od tynkowania z zaschniętymi grudami wapna, na lewym kolanie duża dziura. Wszystko to dla kontrastu i demonstracji, jak bardzo mnie to święto nie obchodzi.

Moja praca ma charakter happeningowy, więc staram się tłuc szczególnie głośno w momencie, gdy ktoś nadchodzi. Oprócz tego mam przygotowany repertuar pieśni, których komuna szczególnie nie znosi: „Szara Piechota”, „Pierwsza brygada”, „O Panie, który jesteś w niebie”, „Nie chcemy komuny”, „Kadrówka”, ze szczególnym podkreśleniem zwrotki:

„... Niechaj wieść się niesie słowami wielkimi,
Że nie będzie bolszewika na piastowskiej ziemi” itp.

Ze śpiewaniem nie mam kłopotu, głos ćwiczony na niezliczonych imprezach, gdzie grywam na gitarze i jestem pierwszym zapiewajłem.

W zależności od tego, kto nadchodzi, dobieram odpowiednią pieśń i tak dla znajomych i sąsiadów donośnie wyśpiewuję teksty żurawiejek lub „Wrony zielonej”, dla nieznanym lecę bardziej kulturalną „Pierwszą brygadą”. Nadchodzącego starego ormowca, jawnego konfidenta, witam znamiennej zwrotką:

„...bagnet na broń bolszewika goń,
goń, goń, goń...”

Z oburzenia aż stanął, chyba chłopu mowę odebrało, bo słowa nie mógł wyrzucić i nie wiem, czy to efekt mojej bezczelności, czy jego kaca po wczorajszym przepiciu. Myślę, że do kaca to on nie dopuszcza, to jednak doświadczony alkoholik, a więc to moje chamstwo spowodowało ten jego stupor. Jedno jest pewne: bezpieka w najbliższych dniach dowie się o mojej jednoosobowej demonstracji. Jest mi to na rękę, bo oprócz bojkotu 1 maja, zademonstrowanego wobec zmanipulowanych, ogłupionych ludzi, jest to również moja zemsta na tych gnojach, a właściwie może nie zemsta, tylko odreagowanie mojej wściekłości za poprzednie pierwsze mają, które z ich powodu spędzałem w tutejszym areszcie.

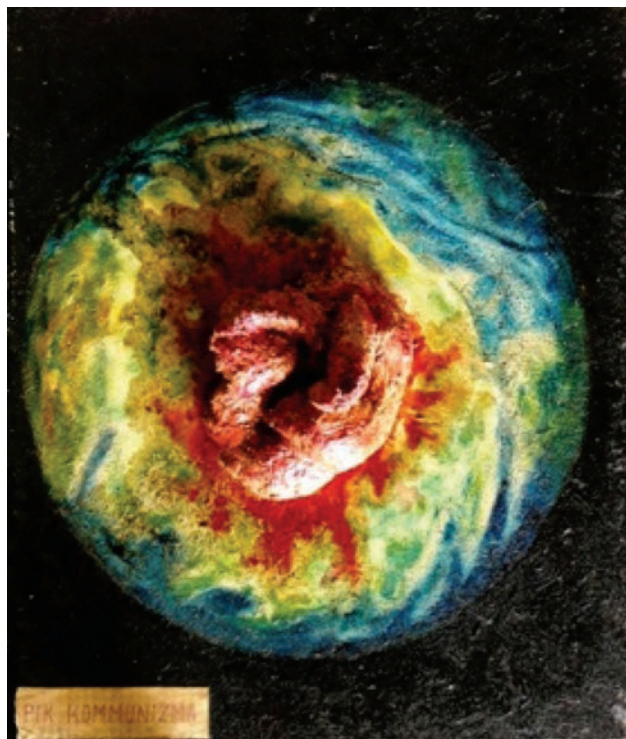
Pomijam już poprzednie dwa lata, w których mnie zamykali, ale w ubiegłym roku tuż po urodzeniu córki też mi taki prezent zrobili. Wprawdzie kilka dni przed pierwszym, ale w bardzo trudnym momencie, bo dzień po przywiezieniu żony z dzieckiem ze szpitala. Aresztowały mnie kanalie i nie obeszło ich, że żona leżąca w połogu, a dziecko kilkudniowe. Zarzuty, co prawda, po rewizji, ale bez jakichkolwiek podstaw ani zarzutów. Jedyne, do czego SB-ek się przyczepił, to obraz mojego autorstwa wiszący nad łóżkiem pt. „Pik kommunizmu”, a ponieważ nie chciałem go zdjąć, a sam nie mogłem dosięgnąć, obraz nie został zarekwirowany jak

kilka innych na poprzednich rewizjach. Jednak w ramach odwetu ubek mnie zamknął na 20 godzin. Na szczęście żoną i dzieckiem zajęła się teściowa, a i mnie wielkiej krzywdy nie zrobili, bo nieprzespaną noc przy dziecku i chorej żonie mimo zimna w celi odespałem do syta.

Zresztą na mój stosunek do SB nakładają się oczywiście i inne aresztowania, rewizje, groźby, których w poprzednich latach nie brakowało, ciągle śledzenie i podpatrywanie, że o kolegium z niesłusznymi zarzutami nie wspomnę.

Czasem sam się sobie dziwię, jaka wściekłość we mnie drzemie, i dziś jest ta rzadka chwila, która pozwala mi ją odreagować. Mam niekłamana frajdę i satysfakcję, gdy kolejni „pochodowicze” zwracają się do mnie z naganą w głosie: „Ależ w takim dniu nie wypada pracować”, „Na pochód byś chociaż poszedł”, albo pytanie demaskujące ich obawy: „A nie boisz się tak na widoku tu robić?”

To ostatnie doskonale oddaje myśli większości tych ludzi, przecież już za dwa, trzy lata oni sami ani pomyślą, żeby iść na jakiś pochód i zajęci będą własnymi sprawami, dalekimi od świętowania „święta pracy”.



„Pik Kommunizma”, płyta paździerzowa, cement, olej 1983 r.

dzisiaj w głowie im się nie mieści, że mogliby złamać nakaz obywatelskiego świętowania. Idą jak przysłowiowe cielecia do rzeźni, ze strachu, choć sami nie wiedzą przed czym, z przyzwyczajenia do „nowej świeckiej tradycji”, z oportunizmu, z chęci podlizania się swoim kierownikom czy innym pomniejszych „towarzyszom”. A może po prostu dla rozrywki, bo będzie fajnie, bo napiją się piwa, bo spotkają znajomych, bo będą tam, gdzie są wszyscy, a w szczególności tam,

gdzie ci najważniejsi. Zresztą za kilka czy kilkanaście lat będą opowiadać o swoim, nie tylko biernym, ale i czynnym oporze w czasach komuny, a im więcej i barwniej będą mówić, tym bardziej będziemy im wierzyć, i w ostateczności zostaną kombatantami, a dla młodego pokolenia wręcz starymi wiarusami. Niektórzy być może zostaną nawet odznaczeni, co utwierdzi ich w prawdziwości własnych opowieści.

Około południa zbieram graty i idę na obiad. Myję się i przebieram, chcę poświęcić resztę dnia rodzinie. Zrobiło się gorąco, odpocznę i pod wieczór pójdziemy na spacer. Swoją demonstrację skończyłem. Kto po pochodzie wrócił na obiad, jeszcze widział mnie przy robocie, a reszta poszła pewnie na piwo, wrócą dopiero wieczorem. Będą zapewne mocno zamroczeni i mało ich będą obchodziły wszelkie demonstracje, manifestacje i pochody. Ich zainteresowanie będzie skierowane na to, żeby dopić, doprawić się na cacy. Nazajutrz w pracy skacowani będą mogli pochwalić się, że uczciwie świętowali „święto pracy”.

Łączniczka

Dziewczyna znalazła się w szpitalu psychiatrycznym, mimo że nie była chora. Zresztą nikt tego nie wie na pewno, czy była całkiem zdrowa. W każdym razie zachowywała się normalnie. Personel to docenił – dopuszczono ją do bliższej koligacji.

Była „w porządku”, więc mogła pić kawę czy herbatę z pielęgniarkami. Siadała przy stoliku i była za pan brat z salowymi i instruktorkami, nawet psycholożka patrzyła na nią przychylnie. Z innymi pacjentkami nie miała wspólnego języka. Musiała z nimi jeść i spać, ale rozmawiać nie miała o czym. Schizofreniczki ją otaczające były albo „rozkrecone”, jak mawiał personel, czyli w fazie kompletnego wariactwa, albo zamknięte w swojej chorobie. Ich zachowanie było jej zdaniem często bezsensowne i obrzydliwe, więc nic dziwnego, że wzbudzały w niej wstręt i obawę. Zresztą rzeczywistość nie była najgorsza. Spacery, sala gimnastyczna, pracownia plastyczna, książki, wieczorami wyjście do klubu. Bardzo szybko oddano jej własne ubranie, nie musiała chodzić w pizamie i obszarpanym szpitalnym szlafroku, a jadąc tutaj obawiała się wszystkiego najgorszego. Po więzieniu i przesłuchaniach skierowanie do „psychiatria” uważała za kolejny, wyższy stopień tortur. Przed oczami miała elektrowstrząsy i lobotomię z filmu „Lot nad kukułczym gniazdem”. Myśli te nie nastrajały pozytywnie. Być może w założeniu bezpieczeństwa miało tak być, a już na pewno miało ją pozbawić pewności i wiary w siebie.

Pacjentka „psychiatria”, a więc wariatka, czyli śmieć, odpad, nikt o taką się nie upomni, nikt z wariatką nie będzie chciał mieć nic wspólnego, a już



Znaczkę okolicznościową, którą my, organizatorzy otrzymaliśmy od aktorów Teatru Współczesnego dającego przedstawienie w lubińskim szpitalu w 1983 r.

na pewno nie zatrudnią jej w podziemnej robocie. Do załamania nerwowego spowodowanego przez forsowne przesłuchania, nocnych lęków miała dojść alienacja społeczna.

Tymczasem los napisał inny scenariusz. W miarę upływu czasu rozeszła się pocztą pantoflową pogłoska o jej podziemnej działalności. Najpierw odwiedził ją psycholog z innego oddziału, chyba z trójki, przyjemny facet. Rozmawiała z nim szczerze i otwarcie, pomyślała potem, czy nie nazbyt otwarcie. Esbeckie przesłuchania zostawiły w niej tę nieufność – czy kiedyś się jej pozbędzie?

Później przyszło jeszcze dwóch, trzech innych młodszych brodaczy mniej dopytujących się, ale zorientowanych w jej sprawach, nietrudno jej było zgadnąć, że współdziałali z tamtym psychologiem, tworząc zapewne jakąś tutejszą solidarnościową komórkę. Dzisiaj też dostała wiadomość od Fiszera – tak nazywa się ten psycholog – o wizycie któregoś z jego znajomych, który miał zająć się bezpieczną ewakuacją po jej wypisie ze szpitala.

Była obawa, że bezpieka zwinie ją zaraz po wyjściu. Kończył się czas leczenia, dziewczyna miała wyjść na wolność za tydzień. Bała się. Ubecja

obiecała jej, że zajmą się nią, bo nie wszystkie informacje im przekazała. Najbardziej interesowali się kontaktami RKS-u z Solidarnością Walczącą, a szczególnie z Kornelem Morawieckim, a ona nawet nie pamięta, czy go widziała. Była jednak przekonana, że ludzie z podziemia będą ją omijać jak trędowną. Poszła przecież wiadomość, że załamała się w śledztwie, a to środowisko jest szczególnie wrażliwe na takie informacje.

*

Nie lubiłem żeńskich oddziałów – kobiety są bardziej agresywne i bezczelniejsze od mężczyzn. Ale po telefonie od Wieska Fiszera uznałem, że nie można się ociągać. Łączniczka RKS-u mająca styczność z samym przewodniczącym jest u nas w szpitalu i trzeba jej pomóc.

Pewnie młoda, ładna i bystra dziewczyna – takiej pomagać to sama przyjemność – myślałem, idąc do sali ogólnej, gdzie naznaczono spotkanie.

Przy stoliku niedaleko okna widzę biały fartuch pielęgniarki i instruktorkę rozmawiającą z całkiem elegancką blondynką w cywilnym ubraniu. Przy przywitaniu mrugam porozumiewawczo do koleżanki i mówię, że mam sprawę do jej pacjentki, wskazując oczami na blondynkę.

Okazuje się, że strzeliłem kulą w płot, bo ta właściwa siedziała niedaleko pod oknem i nie była wcale atrakcyjną blondynką, tylko szczupłą szatynką z długimi włosami i o raczej przeciętnej urodzie. Krótko mówiąc, szara myszka, na jakie faceci nie zwracają uwagi.

Siedząc sam na sam przy oknie z widokiem na szpitalny park w ciągu dziesięciu minut omówiliśmy jej sytuację i przekazałem jej, że to prawdopodobnie ja wyprowadzę ją ze szpitala po wypisie. Uścisk dłoni i kiwnięcie głową w kierunku pielęgniarek, pilnie robiących coś na szydełku, ale obserwujących skrycie naszą rozmowę, skończyło tę konferencję.

*

Wreszcie idą. Widzę przez okno klatki schodowej Kazika Żaka z dziewczyną wchodzących do budynku oddziału III (czekam tutaj już półtorej godziny). Schodzę do nich w pośpiechu, byłem pewien, że coś złego się stało. No, bo jak wytłumaczyć to gigantyczne spóźnienie.

Kaziu, którego zadaniem było odebranie dziewczyny z oddziału, w kilku zdaniach mówi o administracyjnych perypetiach, które spowodowały, że zamiast o dziewiątej wypis skończono wpół do jedenastej. Przejmuję dziewczynę, bo jest naprawdę późno. Idziemy w kierunku bramy, chociaż pierwotnie miałem ją przeprowadzić przez tak zwaną „górkę miłości” do dziury w płocie, ale to droga okrężna i zajęłaby dodatkowych dwadzieścia minut. Nagle podbiega do nas Kaziu, oświadczając, że jednak pójdzie z nami, mimo że tego nie

było w planie. Ona przejęta i roztrzęsiona. Gdy pytam, jaki jest dalszy grafik jej podróży, w odpowiedzi pokazuje mi kartkę z dokładnym wyszczególnieniem planu: co, gdzie, o której godzinie, na dole małymi literami: „po przeczytaniu kartkę zniszczyć”. Litery drukowane, ale rozpoznaję pismo Fiszera i już wiem, kto koordynuje akcje. Pytam, dlaczego jeszcze jej nie zniszczyła, ale widzę, że kontakt mamy ograniczony (być może jeszcze działają leki). Bo kartkę schowała do kiszeni bez wyjaśnień. Próbując skierować jej myśli w innym kierunku, pytam, czy była na sztuce teatralnej pt: „Pielgrzymka 1981” wystawianej jakiś miesiąc temu w świetlicy szpitalnej przez zespół aktorów z wrocławskiego Teatru Współczesnego. Owszem, sztukę widziała, ale mimo że się jej podobała, w tej chwili nie ma ochoty o niej mówić. Wspomniała jedynie, że bardzo poruszające, wręcz mistyczne, było zejście aktorów ze sceny, aby podzielić się z widzami chlebem. Więc opowiadam, jak dostałem „cynk” o tej sztuce od znajomego (Andrzeja Jabłońskiego) i postanowiliśmy z Wieśkiem Fiszerem załatwić występ wrocławskich aktorów w naszym szpitalu. Nie wiem, czy pomogły moje zagadywanki, ale rozładowanie atmosfery jest bezwzględnie potrzebne, bo akurat mijamy dyżurkę na bramie. Myślę, że zapamiętała naszą rozmowę sprzed tygodnia, kiedy wspominałem, że na bramie dyżuruje czasem ormowiec, niejaki Dzierzkowski. Ta kanalia doniesie na każdego, bo jest ideowym komunistą, a może raczej ideowym ormowcem.

Z bramy wychodzimy na duży pusty plac przed szpitalem. Jednym rzutem oka widzę w najdalszym kącie parkingu pod „lekarzówką” dużego fiata. Nie widzę z tej odległości, jaki ma kolor, brązowy czy szary, tym bardziej że stoi w głębokim cieniu. Nie chcę się przyglądać, ale wiem jedno: jeżeli brązowy, to oni. Odwracam głowę w jej stronę i nakazuję, żeby schowała się za Kazika. Przechodzimy nie zaczepieni. Albo się udało, albo to nie oni. Wołowska bezpieka mnie zna, nie raz mnie przecież zatrzymywali, i właśnie dlatego miałem wątpliwości, czy aby na pewno jestem odpowiednią osobą do wyprowadzenia dziewczyny przez bramę. Mam tak charakterystyczną gębę (okulary, broda), że nawet ślepy ubek mnie rozpozna. Ale jakoś tak wyszło, że padło na mnie. Teraz cieszę się, że Kaziu zdecydował się jednak pójść z nami, w grupie nie tak łatwo kogoś rozpoznać. Przychodzimy pod kościół na górkę, widzę z daleka motocykl czesetkę. Motocyklista, siedząc pod płótem, grzeje się w wiosennym słońcu. Na nasz widok wstaje. Wiem, że się znamy z widzenia, ale nie daję tego po sobie poznać (to znajomy znajomego, nazywa się **Robert Mielcarek**, chłopak z Wołowa). Kaziu zamienia z nim kilka słów, życzymy obojgu szczęśliwej podróży. Przekazujemy mu dziewczynę, nadal spiętą i zdenerwowaną, jej podróż dalej trwa, nasza rola już się skończyła. Krótki uścisk dłoni kończy naszą znajomość, już pewnie nigdy się nie zobaczymy.

Chłopak odpala motor, dziewczyna chowa pod kaskiem włosy, odjeżdżają.

Później dowiedziałem się, że udało się jej zdażyć w Wołowie na pociąg do Wrocławia. Tam czekał na nią łącznik – Wiesiek Leśniański, miała go rozpoznać po czerwonym goździku i gazecie w ręce. Był on ostatnim ogniwem w tym łańcuszku i przewiózł ją bezpiecznie do zaprzyjaźnionej „meliny” u Joli i Tadzia Piątków, u których była tajna drukarnia.

Po kilku dniach dziewczyna odeszła. Miała na imię Krystyna.

Nigdy już nie dała znaku życia. Chociaż wszyscy mamy nadzieję, że żyje.

To ja, wasz ormowiec

Pierwsza impreza po wyjściu z więzienia, we wspólnym gronie, a nawet mocno poszerzonym, bo z żonami oraz **ks. Jerzym Kubikiem, Fiszerami, Danutą i Ryśkiem Grusiami**, odbyła się w mieszkaniu **Marty i Janka Krasowskich** w Starym Wołowie. Było to bardzo wesołe spotkanie, jak zawsze z antyrządowymi żartami, ze wspólnym śpiewem antykomunistycznych pieśni.



Znaczki, za które zadenuncjował mnie ormowiec w 1985 r.



Plakat z wpisywaną później ręcznie informacją o Mszy Św. za Ojczyznę. Linoryt, 1985

produkowałem te znaczki. Oczywiście, zostałem za ten proceder przykładnie ukarany 15 tysiącami zł z zamianą na 75 dni aresztu, z art. 61 Kodeksu Wykroczeń „za nielegalne posługiwanie się godłem”. Z tego powodu już w następnym miesiącu stanąłem po raz drugi przed kolegium, tym razem wojewódzkim, bo od poprzedniego wyroku się odwołałem. Tym razem wraz z uniewinnieniem kolegium nakazało orzełka oddać. Noszony był w sytuacjach szczególnych, na przykład w trakcie mszy za Ojczyznę, zrezygnowałem z codziennego noszenia, gdyż obawiałem się go stracić po raz drugi. Na co dzień nosiłem tylko eNkę (na fotografii niżej). Jednak w dniu wyborów w 1985 r. orzełka przypiąłem i zostałem zadenujcowany na MO przez portiera w szpitalu, a jednocześnie lubiąskiego ormowca, niejakiego G. Dzierzkowskiego, o czym poinformował mnie drugi portier **Bogdan Adamski**, będący z kolei solidarny z nami. Na szczęście milicja zgłoszenia nie potraktowała poważnie, jednak tekst rozmowy telefonicznej jeszcze długo krążył po Lubiążu jako przykład głupoty ormowca. Brzmiała ona mniej więcej tak:

– Kto mówi?

Zostaliśmy wtedy odznaczeni przez Ryśka Grusia pięknymi znaczkami z historycznymi (z okresu Kazimierza Wielkiego) koronowanymi orzełkami. Mam ten znaczek do dzisiaj i jest to jedyne odznaczenie, jakie kiedykolwiek dostałem. Jednocześnie przyczyniło się ono do kilku kłopotów, jakie mnie spotkały. Pierwsza przykrość spotkała mnie już 20 czerwca 1983 r., kiedy po rewizji w pracy i w domu i nocy spędzonej w areszcie, przewieziono mnie do Prezydium Powiatowej Rady, czyli wołowskiego zamku. Okazało się, że czeka tam na mnie w Kolegium do Spraw i Wykroczeń, akt oskarżenia. A orzełek ów wraz z ryngrafem i kilkoma odlewami z gipsu stanowią koronny dowód mojej działalności produkcyjnej. Z zaskoczeniem dowiedziałem się, że to właśnie ja

- To ja, wasz człowiek.
- Czyli kto konkretnie?
- No, ja, ormowiec z Lubiąża
- Jaki ormowiec? Nazwisko!
- No ja, Dzierzkowski!
- O co chodzi?
- Bo u nas na szpital wszedł taki jeden w okularach, z brodą i miał przypięte jakieś odznaki.
- Jakie?
- Jakiegoś orzelka i coś jeszcze.
- Ale jak się zachowywał, agitował, krzyczał coś?
- Nie, nic nie krzyczał. Spokojnie wszedł.
- To miejcie oczy otwarte, ale byle czym głowy nie zawracajcie. Dzisiaj wybory, wiecie, że pracy mamy w takim dniu dużo.

Pielgrzymka



Staliśmy z Kaziem, Wiesławem i Jankiem w wielkiej ciżbie przed kościołem św. Krzyża. Właśnie skończyła się msza w Katedrze i miała się formować pielgrzymka. Tłum wypełniał prawie całą ulicę Katedralną. Rozmawiamy, przypomniałem sobie o kartkach pielgrzymkowych, które odbijałem wczoraj całe popołudnie, a wieczorem, mimo że jeszcze nie wyschły, przekładałem gazetami i spakowałem do torby ze śniadaniem, żeby nie zapomnieć, gdy rano będę się spieszył na pociąg.

Moja pielgrzymka będzie trwała tylko ten jeden dzień i choć wszyscy pójdą dalej, aż do Częstochowy, ja dotrę tylko do Trzebnicy. Więc żeby nie zapomnieć oddać kartek



Fot. W. Fiszer. Pielgrzymka na Jasną Górę 1986 r. I etap. Z wózkiem Jerzy Filak, za nim my z Jankiem

Jankowi, wyciągam je, trochę teatralnym gestem i prezentuję chłopakom. Kątem oka widząc zainteresowanie młodych ludzi stojących obok, postanawiam zrobić przedstawienie. Taką niewielką autoprezentację.

– Pokazuję i omawiam – mówię, podnosząc w górę kartkę. – Co widzimy? Kawałek ruskiej gazety „Prawda”, jaka tam w niej prawda, wszyscy wiemy, ale gdy odrywamy ruskie pismo, ukazuje się nam prawda o naszej pielgrzymce.

Szybkim ruchem rozwarstwiam i odrywam prostokącik gazety od kredowego papieru z grafiką. Podnoszę jeszcze wyżej rękę, żeby jak najwięcej ludzi zobaczyło projekt mojej karty pocztowej. Nie wstydzę się, bo kartka wyszła całkiem przyzwoicie – na dnie złożonych jak do modlitwy dłoni zarys cudownego obrazu jasnogórskiej Madonny, a litery napisu – pielgrzymka wrocławska – symbolizują ludzi niosących flagę, podążających do obrazu. Słyszę słowa aprobaty nie tylko dla grafiki, ale też dla sprytnego dowcipu, wykorzystania ruskiej gazety. Prawdę mówiąc, nie do końca na nie zasłużyłem, bo ruską „Prawdę” wziąłem ze szpitala lubińskiego właśnie w tym celu, żeby zapakować kartki pielgrzymkowe, i nie było dla mnie istotne, czy gazeta jest ruska, czy polska. Ale wyszło ciekawie i wzbudziło podziw jak wszystko, co sprytne i inteligentne.

Idziemy ulicami Wrocławia. Mijamy ludzi na przystankach witających nas oklaskami, podnosimy palce w geście zwycięstwa, widzowie odwzajemniają ten gest. Janek pogania nas, żebyśmy wysunęli się na czoło grupy. Wiadomo, pierwsi zbierają najwięcej oklasków. Zbieramy więc cały splendor. Zmieniamy się z Kazikiem przy pchaniu wózka inwalidzkiego. Janek na czele naszej grupy, poważny, z wielką gęstą brodą, wieziony w wózku wygląda jak patriarcha. Czujemy się jak bohaterowie jakbyśmy szli co najmniej w manifestacji i byli narażeni na pałki ZOMO.

Ludzie – i ci idący, i zostający, tworzą jedność chrześcijańską i jednocześnie opozycyjną. Wszyscy mają świadomość, że pielgrzymka to jedyna jawna manifestacja – wszystkie inne są zakazane.

Przychylność ludzi jest widoczna przez całą drogę. W wioskach i przysiółkach przy trasie przemarszu kobiety i dzieci stoją z pomidorami, owocami, kompotem i kanapkami. Najubożsi tylko z wodą do picia, bo gorąco. Jestem zdumiony gościnnością i ofiarnością tych ludzi. Gdy wchodzimy do Trzebnicy, stojący po obu stronach drogi proponują noclegi. Oczywiście za darmo, niektórzy wręcz proszą, żeby u nich się zatrzymać. Młody facet, może trzydziestoletni, mówi, że ma miejsce dla trojga osób, a ponieważ nikt nie reaguje, prosi cichym głosem: „Wystarczy tylko się zgłosić, ja resztę załatwię”.

Wracając autobusem do domu, myślę nie tylko o rozmowach, w których dziś uczestniczyłem, ale konfrontuję moje wrażenia z ostatnio przeczytaną powieścią Dobraczyńskiego. Niby to pisarz katolicki, ale zaprzędany też Jaruzelowi jako przewodniczący PRON-u. W konfrontacji z tymi, często prostymi, ludźmi słabo wypada ten „partyjny” katolik.

Nogi bolą niemiłosiernie, czuję w nich czterdzieści kilometrów, ale akumulatory religijne mam naładowane na następne pół roku – co najmniej.



Tablica pamiątkowa z inskrypcją: „W hołdzie pomordowanym i prześladowanym za Prawdę, Wolność i Solidarność”. Zawieszona w 1990 r. w wrocławskim kościele pw. Św. Wawrzyńca.

Tablica

Miej więcej w 1987 r. Wiesiek Leśnianski zaproponował, żeby wykonać do kościoła tablicę upamiętniającą ofiary stanu wojennego. Podjąłem się za projektowania i wykonania jej. Gotowa była już na przełomie 1988/89 r., ale zawiesiliśmy ją z Kaziem Żakiem dopiero w marcu 1990 w kościele św. Wawrzyńca. Wykonałem ją z blachy miedzianej, przedstawiała orła piastowskiego na tarczy, z napisem pod nią: „W hołdzie zamordowanym i prześladowanym za Prawdę Wolność i Solidarność”. Wisiała w bocznej prawej nawie, w okolicach roku 2000 została zdjęta przez nowego proboszcza ks. Stanisława Małyse i zastąpiona inną.

Komitet Obywatelski

W czerwcu 1989, po powrocie z Austrii (byliśmy tam z Kaziem Żakiem ok. 10 dni) włączyliśmy się w akcję wyborczą, wcześniej zakładaliśmy dość dużą grupą Komitet Obywatelski.

4 czerwca w Krzelowie agitowaliśmy za kandydatami Solidarności: Karolem Modzelewskim, Romanem Dudą i Barbarą Labudą (dziś, kiedy to piszę, w 2012 r., aż się wierzyć nie chce, że takich kandydatów mieliśmy). Dopiero po około dwóch godzinach zorientowaliśmy się, że jesteśmy inwigilowani przez milicjantów siedzących na pierwszym piętrze, nad lokalem wyborczym. Myślę, że złożyli odpowiedni raport.

Akcję agitacyjną zorganizował Artur Tłuczek (Wojślawski), a szefem był Janek Krasowski.

Zwycięstwo, które odnieśliśmy, zostało potem zmarnowane m.in. dlatego, że naród odrzucił w całości listę krajową z Jaruzelskim, Urbanem i innymi, a Wałęsa ze swoim towarzystwem zgodzili się na wybory uzupełniające, które w ordynacji nie były przewidziane, tylko po to, żeby te kanale weszły do parlamentu.

*

W trakcie załatwiania formalności paszportowych w komendzie MO znowu miałem nieoczekiwane spotkanie z esbekiem Wroną. W kwestionariuszu paszportowym w rubryce karalność napisałem – niekarany i na tę okoliczność zostałem przepytany przez milicjantkę-urzędniczkę. W trakcie rozmowy włączył się głos Wrony zza ściany „Jak to niekarany? – przecież siedział”. Okazało się, że ściana oddzielająca jest tak skonstruowana, żeby umożliwić podsłuchiwanie rozmów z drugiego pomieszczenia. W krótkiej rozmowie – na stojąco – wyjaśniłem, że w świetle prawa nie byłem karany, gdyż wyrok był nieprawomocny w momencie objęcia amnestią. Po napisaniu wyjaśnienia dla

urzędniczki paszport został mi wydany przy następnej wizycie. Był początek 1989 r. i ich władza była już mocno ograniczona.

Tragiczna znajomość Krzysztofa P.

Dopóki Krzysztofa P. nie znaleziono powieszonego w dolnobrzeskim hotelu „Chemik”, był zwykłym 23-letnim chłopakiem jakich tysiące.

Może tylko zbyt mocno zaglądającym do butelki, a kiedy forsy brakowało, nie wahał się sięgać po klej butapren, żeby odjechać w krainę kolorowych snów.

Ci, co go dłużej znali, wiedzieli o jego ciagotach do ryzyka, w czasie tych eskapad ocierał się czasem o śmierć, zresztą bez żadnej potrzeby, tak jakby chodziło tylko o udowodnienie szaleńczej odwagi.

Wydawało się, że czasy przemian, które nastąpiły akurat w kraju, to najlepszy czas dla takich jak on, bo dawał okazję sprawdzenia się w działaniu. Jednak po chwilowym entuzjazmie pozostało bierno obserwowanie wydarzeń i to wtedy właśnie zaczął ostrzej popijać. Pokłóciwszy się z ojcem, też niezłym pijakiem, zamieszkał w hotelu, odsunął się od starych kolegów i znajomych.

W nowym miejscu poznał nowych, takich do wypitki. W pracy raczej lubiany, jak był przy forsie, chętnie stawiał, nie oglądając się, czy starczy do wypłaty. Efektem był chroniczny brak pieniędzy i coraz większe długi.

W wieczór poprzedzający samobójstwo miał gościa, który zapewne przyniósł flaszkę wódki, gdyż P. już od kilku dni nie śmierdział groszem, a do wypłaty był jeszcze prawie tydzień.

Nigdy nie wyjaśniono, kim był tajemniczy sponsor półlitrowki ani jaki temat przy okazji konsumpcji był omawiany, dość że około 9 rano sprzątaczką znalazła wystygłego wisielca. Na stole zaś pustą butelkę, dwa kieliszki i pełną popielniczkę petów.

Śledztwo było krótkie. Samobójstwo było ewidentne i prokurator nie miał zbyt wiele do roboty. Zmarły zostawił wprawdzie list, ale został on wpięty do akt i oprócz śledczych i prokuratora nikt go nie czytał.

Pogrzeb się odbył, sprawę zamknięto, koniec pieśni.

Minął szybko karnawał Solidarności, stan wojenny, okres jaruzelszczyzny, nastała nowa Polska, tzw. III RP. Po wielu latach przypominałem sobie rozmowę z Krzyśkiem P. w pociągu relacji Wrocław–Wołów, która wtedy mną wstrząsnęła, a którą z czasem prawie zapominałem.

Otóż Krzyś trochę półzartem nadmienił, że być może będzie agentem kontrwywiadu i będzie tropił szpiegów tudzież innych agentów obcych wywiadów działających na szkodę Polski.

Podał przy tym wiele konkretnych informacji dotyczących zakonspirowania takiego tajnego agenta, jak np. to, że meldunki podpisuje się pseudonimem, a nie nazwiskiem, przy tym kto się kryje pod danym pseudonimem wie tylko oficer kontrwywiadu, więc zdemaskowanie agenta jest w zasadzie niemożliwe. Informacje takie w latach 70. były dla zwykłych ludzi, nawet dla dorosłych, niedostępne, a myśmy mieli po 17 lat i pojęcia o tych sprawach jeszcze mniej.

Krzysiek był antykomunistą od zawsze, czyli od wydarzeń grudniowych na wybrzeżu w 1970 r. Jego babcia mieszkała w Gdańsku, a stryjek w Gdyni Chyloni i dlatego mieliśmy informacje, można powiedzieć, z pierwszej ręki już na początku 1971. Oprócz tego, co mówiła Wolna Europa, Krzysiek dostarczał mnóstwo wierszyków, piosenek, kawałów, czyli twórczość ludową, więc taką która w RWE raczej się nie pojawiała. Dumą nas napawała ta dodatkowa wiedza. Dostarczycieli tej antykomunistycznej twórczości poznałem w Gdańsku w czasie wakacji 1973 razem z Krzyśkiem. Jego kuzyn i koledzy dokładnie opowiedzieli nam o wydarzeniach w Gdyni w czarny czwartek 1970 r., przyznając się do swego w nich udziału, czyli do rzucania kamieniami w ZOMO i plądrowania sklepów.

Wiedza ta tkwiła jak cień w naszej świadomości i chroniła nas przed bezustanną propagandą komuny. Trudno się zatem dziwić, że zaszokowała mnie jego deklaracja w tym pociągu.

Oprócz zafascynowania Krzysztofa powieściami detektywistycznymi i szpiegowskimi nie miałem pojęcia, że ktoś może za tym stać. Przekonany byłem, że naczytawszy się Agaty Christie, Edgara Alana Poe, Arthura Conan Doyle'a i innych Przymanowskich, wymyślił sobie kolejną przygodę, by wcielić się w fascynującego go bohatera, jednak przeraziło mnie to, że miałby być agentem w peerelowskich strukturach. Czyli być podwładnym jakiegoś oficera wojskowego czy milicjanta, dla mnie jeden grzyb, dość powiedzieć: komucha.

Ponieważ po tym wydarzeniu nie nastąpił jakiś ciąg dalszy, a Krzysiek obrócił sprawę w żart, rozmowa została zapomniana.

Oprócz różnych zainteresowań Krzys P. trenował boks. Zaczął już w pierwszej klasie zawodówki, chodził wtedy do wrocławskiej szkoły żeglugi śródlądowej przy ul. Brücknera. Czas wolny po lekcjach spędzał na treningach w starej, jeszcze przedwojennej hali sportowej naprzeciwko wołowskiego „Ruskiego placu”.

Trener Zielonka wyciskał z chłopaków siódme poty, a oni się cieszyli, bo ich trud zaczął przynosić efekty w postaci wygranych pojedynków i meczów, nawet z teoretycznie lepszymi drużynami. Krzys chodził w wadze koguciej do 54

kg i był niezły. W ciągu roku stoczył kilka-naście walk, tylko jedną przegrał i dwie zremisował. Trener kładł nacisk na technikę, przede wszystkim pracę nóg i przynosiło to całkiem dobre efekty. W następnym roku doszedł do półfinału ogólnopolskich rozgrywek młodzieżowych, gdzie przegrał z byłym mistrzem Polski. Bardzo przeżył tę porażkę i od tej pory zaczęło się dziać coraz gorzej. Opuszczał treningi, popijał, zaczęły się kłopoty z utrzymaniem wagi. Prawie przed każdym meczem musiał ją zbijać. A więc kilkudniowe głodówki, sauny, forsowne treningi doprowadzające do odwodnienia, żeby w momencie ważenia nie przekroczyć limitu. Było to i wyczerpujące, i na dłuższą metę niemożliwe do kontynuowania, a przejście do kategorii wyższej nie wchodziło w grę, bo pierwsza walka w wadze piórkowej skończyła się sromotną porażką.



Akwaforta, 1983

I tak cichcem się skończyła kariera boksera, bo też kondycji nie przybywało od piwa i papierosów.

Jednak w trakcie sportowych wojaży nawiązał wiele znajomości. Takie przyjaźnie i znajomości w oczywisty sposób pomagają w życiu, ale czasem bywają niebezpieczne a nawet zabójcze. Myślę, że taką destrukcyjną osobą w życiu P. był bokser z Klubu Sportowego „Rokita” z Brzegu Dolnego, „chodzący”, co prawda w innej wadze, ale na co dzień pracujący w milicji.

W rozmowach P. kilka razy wspominał o fajnym koledze i dobrym bokserze z „Rokity”, Waldku W; spotkałem go kilka lat później, już w stanie wojennym, jako chorążego SB, uchodził wtedy za pijaka i wyjątkową kanalię. Oczywiście boksu już nie uprawiał, co najwyżej trenował cios na przesłuchiwanym.

Krzysiek już po szkole i kilkumiesięcznym epizodzie w odrzańskej stoczni remontowej we Wrocławiu przeniósł się do dolnobrzeskiej „Rokity”, gdzie pracował jako spawacz.

Gdy w sierpniu 80 zaczęła się Solidarność, „kolega Waldek” przypomniał sobie, że w największym zakładzie w okolicy pracuje P.

Oczywiście informacje, co też knuje Solidarność bardzo by się przydały Waldiemu, żeby wykazać się przed zwierzchnością. I gwiazdka z czasem przybędzie za takie informacje, a wraz z nią podwyżka, bo jak wiadomo z historii, pieniądze wymyślili Fenicjanie, ale według Waldka wymyślili ich stanowczo za mało. Jednak szkopał w tym, że P. nie działał w żadnych

strukturach samorządu robotniczego i w związku z tym żadnych tajemnych informacji nie miał. Bardzo możliwe, że celowo nie angażował się w tę działalność, żeby jak najmniej wiedzieć i żeby tego rodzaju „Waldki” jak najmniej się go czepiały. Właśnie w takich chwilach człowiek zaczyna żałować tych dziecinnych marzeń o pozostaniu Sherlockiem Holmesem, szczególnie jeśli cyrograf z diabłem został wcześniej podpisany.

Jednak Waldek W. jako rasowy ubek nie rezygnował przy byle niepowodzeniu, przecież jego praca polegała na przekonywaniu ludzi. Tego uczyli w szkole milicyjnej i tego wymagali szefowie: żeby delikwenta przekonać do współpracy. Masz szeroki wachlarz możliwości – od namowy przyjacielskiej, motywacji obywatelskiej, szantażu, poprzez handel informacjami, aż po zastraszenie. Dlatego nie zamierzał odpuszczać i stąd jego nagabywania i spotkania z Krzysztofem.

I być może ubek nic by nie wskórał, gdyby jego delikwent miał oparcie w rodzinie przyjaciółach i przede wszystkim nie był początkującym alkoholikiem. A może już nie takim początkującym?

Krzyś przyjął ofertę wypicia wódki ze starym kolegą i jak się okazało, nie tylko kolegą, ale agentem SB chcącym przejąć entuzjastycznie nastawionego niegdyś do współpracy figuranta. Jak wyglądała rozmowa, nie dowiemy się już nigdy, ale wiemy, jaki był jej efekt. Metoda łamania kręgosłupa, zastosowana przez Waldemara W., musiała odnieść skutek dla niego, pożądaný jednak po wszystkim delikwent nie wytrzymał.

Przypuszczalnie po dwóch setkach wlanych na pusty żołądek i odpowiedniej motywacji lub szantażu Krzysztof pękł i zgodził się zostać tajnym współpracownikiem, ale po chwilowym zamroczeniu, pewnie już po wyjściu SB-ka, pożałował swego kroku. I pewnie wszystko dałoby się jeszcze odkręcić, gdyby nie podpisane zobowiązanie do współpracy. Bo przecież rasowy funkcjonariusz, jakim był W., o takich sprawach nie zapomina. A taki podpis delikwenta to przecież doskonały argument szantażu. Nie chcąc donosić na kolegów, a jednocześnie obawiając się ujawnienia przez bezpiekę podpisanego przez siebie „cyrografu”, nie znalazł innej drogi niż ucieczka. Gdyby miał pieniądze lub możliwość ich zdobycia, mógłby wyjechać i zacząć nowe życie w innym miejscu. Zanim by go znaleźli, minęłoby wiele czasu, a może nie znaleźliby go nigdy, tym bardziej że sytuacja była dynamiczna i wszystko mogło się zmienić. Jednak w jego przypadku nie łatwo było znaleźć jakieś dobre wyjście. A alkohol zadziałał tym razem destrukcyjnie i spośród różnych możliwości wyjścia z tej matni Krzyś zobaczył tylko pętlę. W jego mniemaniu pozostawało tylko samobójstwo. Wyrwany z lampki nocnej kabel, przywiązany do klamki, załatwił ten problem od strony technicznej.

Czynności te świadczą o dramatyzmie tej w pośpiechu podjętej decyzji.

Śmierć Krzysztofa P. obciąża aparat bezpieczeństwa, w tym przypadku konkretnego funkcjonariusza, a przecież była to niejedyna śmierć spowodowana przez tę instytucję. Znana była jeszcze jedna sprawa z tego okresu, mianowicie historia Jurka Masalskiego przewodniczącego „S” w ZMiCH-u (Zakładzie Mechanizacji i Chemizacji Rolnictwa w Wołowie), członka MKK, który popełnił samobójstwo z niewyjaśnionych przyczyn we wrześniu 1982. Wiadomo jednak, że SB „deptała mu po piętach”.

Czy SB-cy pośrednio odpowiedzialni za spowodowanie tych śmierci mają jakiegokolwiek wyrzuty sumienia? Wątpię. Żyją sobie spokojnie na swych „zasłużonych” emeryturach, niektórzy jeszcze prowadzą biznesy, piją gorzałę i cieszą się życiem w III RP, która jest przedłużeniem PRL-u.

Narzekają pewnie na odebrane im dwa lata temu dodatki za „ciężką pracę”, a z ludzi, którzy byli ich ofiarami, co najwyżej kpią, mając przy tym niezły ubaw, oczywiście, jeśli ich w ogóle pamiętają...

Tekst przedstawia prawdopodobną wersję zdarzeń.

Sylwetki działaczy

Bogdan Adamski 1961-2013



Fot. 2010 r.

Mieszkaniec Lubiąza, współpracował z Wiesławem Fiszerem i Bogdanem Lipowiczem. Jego działalność nie ograniczała się do akcji lokalnych, bo oprócz tego był kolporterem bibuły i dostarczał matryce do druku. Razem z Fiszerem bywał na spotkaniach z Frasyniukiem, kiedy ten się ukrywał. Pełnił też rolę wywiadowcy, pracując jako portier w lubińskim szpitalu razem z ideowym ormowcem, przekazywał Fiszerowi informacje o posunięciach i planach lokalnego ORMO.

Piotr Bereza

Aresztowany 10 listopada 1982 r. za udział w akcji kolczatkowej. Internowany na Komendzie Wojewódzkiej MO. Na początku grudnia tymczasowo aresztowany i przeniesiony do Aresztu Śledczego przy ul. Świebódzkiej 1. Pobity w śledztwie przez funkcjonariuszy SB.

Po wyroku – 1 rok i sześć miesięcy w zawieszeniu na 3 lata, angażuje się w tworzenie Dekanalnego Komitetu charytatywnego przy wołowskiej parafii. Przez pierwsze miesiące prowadzi sklepik z książkami i dewocjonaliami, z którego zysk przeznaczony był na pomoc dla więźniów sumienia i ich rodzin. Wielokrotnie przesłuchiwany i poddawany rewizji. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaangażował się w kolportaż prasy podziemnej, a następnie uczestniczył w wydawaniu regionalnej gazетки „Echo Terenu”. Przed aresztowaniem wstawił się wraz z Wiesławem Krawcem zawieszeniem flagi Solidarności na kominie wołowskiej gorzelni. A jeszcze przedtem wkopali razem krzyż na starym cmentarzu, obok komendy MO, upamiętniający ofiary stanu wojennego.



Fot 1983/84 r.

Odnaczony w 2009 r. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski – Polonia Restituta nadanym przez Prezydenta Lecha Kaczyńskiego.



Piotr Bereza, działacz Solidarności, wielokrotnie prześladowany i aresztowany. Zawiesił sztandar narodowy na kominie wołowskiej gorzelni – co spowodowało represje SB wobec działaczy opozycji w Wołowie. Jako jeden z 5 wołowskich opozycjonistów był aresztowany i internowany podczas stanu wojennego

Piotr Bereza, były internowany działacz Solidarności

– Otrzymał pan Order Odrodzenia Polski, Polonia Restituta – jedno z najwyższych polskich odznaczeń cywilnych, nadawane za wybitne osiągnięcia. Początki demokracji też nie były dla pana najlepsze. Został pan zwolniony z urzędu gminy za rozwieszanie plakatów wyborczych podczas pracy.

– Ale rozprawę sądową wygrałem. Trudno mi o tym mówić, kiedy trzymam ten order nadany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Ale nie będę oceniał burmistrza Wołowa w świetle jego ówczesnych działań. Moja rodzina odcierpiiała swoje. Paradoksalnie burmistrz zrobił mi przysługę. Zajmuję się czymś innym, mam więcej czasu dla swoich bliskich, a w pracy urzędnika było trochę monotonii. Jednak ta historia sprzed 7 lat odcisnęła piętno na mojej rodzinie.

– Ma pan żal, że walcząc o lepszy system, sam padł jego ofiarą?

– Nie spodziewałem się, że w nowym systemie spotka mnie tyle przykrości ze strony byłego kolegi, ówczesnego burmistrza. Zwolnił moją córkę z pracy. Zwolnił mnie z pracy. Ale ta niespotykana agresja pomogła nam. Za komuny działania SB też integrowały bardziej naszą rodzinę.

– Co pan teraz robi?

– Najczęściej zajmuję się moim chorym synem. Teraz moja żona realizuje się w samorządzie i w życiu społecznym.

Natomiast ja chciałbym podziękować wszystkim tym, którzy pomagali nam w latach stanu wojennego. To był ksiądz Franciszek Bosak i jego organista – bardzo odważny człowiek, Wiesław Krawiec, który dużo zrobił dla Solidarności.

Notatka „Kurier Gmin”, 2009 r.

Władysław Białowas

W czasie legalnej działalności został przewodniczącym Solidarności w wołowskim STW. Pracując w tej firmie jako zaopatrzeniowiec, mógł w czasie stanu wojennego poruszać się po kraju (miał stałe pozwolenie, wystawione przez zakład pracy), co było pomocne w podziemnej pracy kolporterskiej, którą zajmował się przy okazji swoich obowiązków. Znana jest jego akcja dostarczenia do Wołowa dużej ilości papieru do drukowania, którą wraz ze **Stanisławem Sawlewiczem** przeprowadzili na samym początku stanu wojennego. Papier ten posłużył m.in. do wydawania gazetki „Podaj Dalej”, do drukowania której też się przyczynił. Na początku listopada 82 był uczestnikiem zebrania, w czasie którego powstał plan włączenia się naszego rejonu w akcję strajkową przygotowywaną na 10 listopada 1982. Nie ominęły go rewizje i przesłuchania, jednak SB nie zdecydowało się go aresztować.



Fot. St. Ryczek, 2014 r.

Wiesław Fiszer



Fot. St. Ryczek, 2014

Psycholog, zastępca przewodniczącego Solidarności w lubińskim szpitalu, faktycznie to on był motorem działań Związku nie tylko w Lubiążu, ale również w Wołowie. W stanie wojennym organizator, jeżeli nie wszystkich akcji, to na pewno większości z nich. Spotykał się z W. Frasyniukiem, a po powstaniu Solidarności Walczącej również z Kornelem Morawieckim. Organizował papier do druku, drukował i współredagował pierwszą lokalną gazetkę „Podaj Dalej”. Uczestniczył w zebraniu w sprawie planowania działań 10 listopada 1982 r. (akcja kolczatkowa, flagi na kominach). Współorganizował powstanie Komitetu Charytatywnego w Wołowie. Będąc ciągle pod obserwacją bezpieki, nigdy nie dał się złapać, nie licząc standartowych rewizji i aresztów 48-godzinnych. Lubił dowcipnie zakpić z bezpieki, gdy się nadarzyła okazja. Znana była jego akcja happeningowa z ujawnieniem się, gdy zjawił się na wołowskiej komendzie

z gitarą, by zagrać esbekom kpiącą z Jaruzelskiego piosenkę „Na Wojtusia z wieży Spaskiej Łońka chytrze mruga”. Nie wiedzieli, co z tym fantem zrobić.

O sobie

W dobrym tonie jest się przedstawić, gdy się jest nieznanym. Może i nie jestem całkiem nieznanym, ale ze względu na wagę sprawy, o której poniżej – pozwolę sobie na autobiografię:

Pochodzę z Wiednia (z linii ojca) oraz Lwowa (z linii matki). Urodziłem się w Kluczborku, 100 km od Wrocławia, ale poczęty zostałem w transporcie, tak więc po raz pierwszy byłem „nielegalny” już w łonie matki. Drugi raz przekraczałem nielegalnie granicę po inwazji na CSRS w 1968. Był to wrzesień – chciałem coś zobaczyć, ale nie dać się złapać.

I udało się: zapamiętałem napis na granitowym tatrzańskim zboczu:
Słužit už neni vul!

Potem poleciało już samo: za organizowanie tzw. rozruchów marcowych w Krakowie mam założoną pierwszą „teczkę Wildsteina”, za napisanie niewydanej dotąd książki o tychże wydarzeniach mam drugą teczkę i aresztowanie (wspólna cela z Michnikiem i Kuroniem). Podczas Solidarności współzakładałem dwie komisje zakładowe służby zdrowia (szpital Lubiąż i ZOZ Głogów).

Następnie (zgodnie z apelem Wałęsy żeby brać sprawy w swoje ręce) zostałem dyrektorem naczelnym specjalistycznego szpitala nerwic MSW Barcinek w Cieplicach. Po dwóch latach zostałem stamtąd zwolniony dyscyplinarnie, z wilczym biletem na dalszą karierę zawodową. Jako ciekawostkę dodam, że ufając w siłę Solidarności, organizowałem (mój trzeci już) komitet założycielski NSZZ „S” w tymże szpitalu MSW. Po czymś takim – już tylko dyscyplinarka z wilczym biletem na 10 lat.

Nie umiałem korzystać ze znajomości – nikt mi nic nie dał. Nawet po medal jubileuszowy „S”, przyznany w Wołowie, nie pojechałem (bo nie było za co!). Wszedłem do szarej strefy i budowałem z całą rodziną przez 15 lat własny dom, a w nim jednocześnie Klinikę Redukcji Stresu. Teraz jako emeryt otrzymałem nareszcie pożyczkę z banku i finalizuję budowę.

Nie proszę o jakiekolwiek wsparcie ani o uznanie zasług. Teraz jesteśmy silni swoimi bojuwaniami. Spotykamy dookoła tych, którym wyszło na dobre zaangażowanie w podziemie S, albo i nie wyszło.

Ufamy wciąż, że uda znaleźć drogę rehabilitacji poprzez pomoc zorganizowaną przez tych, którym wyszło, na rzecz tych, którym nie wyszło.

W sierpniu 2000 roku odznaczony przez biskupa Janiaka medalem Milenium Biskupstwa Wrocławskiego.

W grudniu 2015 roku odznaczony medalem „Niezlomni”, nadanym przez Solidarność Dolny Śląsk.

W lutym 2017 roku odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności nadanym przez Prezydenta Andrzeja Dudę za udział w Porozumieniach Rzeszowsko-Ustrzyckich jako ekspert.

Ryszard Gruś



Fot. ok. 1990 r.

Przewodniczący Solidarności leśników w 1980 r., wybrany na przewodniczącego Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej (MKK) w Wołowie. W stanie wojennym zdegradowany z adiunkta na stanowisko drwała. Wielokrotne rewizje i przesłuchiwanie w pracy i w domu. W 1982 r. zatrzymany na 48 godzin, m.in. za złożenie kwiatów na grobie zastrzelonego w Lubinie Mieczysława Poźniaka (w skład delegacji składającej kwiaty wchodził oprócz niego dr J. Warszawski oraz zięć dr Huczkowej). Brał udział w konspiracyjnych spotkaniach z Markiem Muszyńskim i Kornelem Morawieckim. Utrzymywał kontakty z RKS-em, z ROPCiO (Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela) i KPN-em (Konfederacja Polski Niepodległej). Drukował i kolportował bibułę, m.in. „Podaj Dalej”. W kolportaż zaangażowana była również jego żona Wiktoria Danuta oraz nastoletni wtedy syn Sylwiusz. Przez pewien czas pracował w drukarni u Tadeusza Piątka w RW Feniks. Był w grupie działaczy planującej działania w Wołowie i Lubiążu na 10 listopada 1982 r., wraz z W. Fiszerem, J. Krasowskim, F. Kaduszkiewiczem i W. Białowąsem (zablokowanie dróg wyjazdowych z Wołowa za pomocą kołców oraz wywieszenie flag Solidarności na kominach gorzelni w Wołowie i kotłowni w Lubiążu). Do końca lat osiemdziesiątych prowadził punkt dystrybucji bibuły i największy kanał dostaw nielegalnych wydawnictw z Wrocławia.

W 2014 r. nagrodzony medalem Niezlomni przez Solidarność Dolny Śląsk, w sierpniu 2000 r. odznaczony przez ks. biskupa Janiaka medalem Milenium Biskupstwa Wrocławskiego.

Zasłużony dla Krajowego Sekretariatu Zasobów Naturalnych Ochrony Środowiska i Leśnictwa NSZZ Solidarność 2015 (z okazji 35. rocznicy powstania Związku Solidarność).

Wyróżniony Odznaczeniem Zasłużony dla Krajowej Sekcji Pracowników Leśnictwa NSZZ Solidarność.

O sobie

Z Wołowem związany jestem od 1 czerwca 1979 r. Wtedy podjąłem pracę na stanowisku adiunkta ds. zagospodarowania lasu w nadleśnictwie Dębno (od 1983 r. zmieniono nazwę na Wołów). W środowisku wołowskim funkcjonowałem stosunkowo krótko. Większość ludzi poznałem, pracując w Lasach Państwowych oraz w dużej mierze dzięki działalności w NSZZ Solidarność, z racji pełnienia funkcji przewodniczącego Międzyzakładowej Komisji Koordynacyjnej (MKK) NSZZ Solidarność Ziemi Wołowskiej.

Po wprowadzeniu stanu wojennego działalność była kontynuowana przez wielu ludzi, których wcześniej poznałem. Przede wszystkim w miejscu pracy, środowisku zawodowym oraz w oparciu o rodziny i życie towarzyskie.

Z autopsji i własnych obserwacji z pełną odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że w niektórych wypadkach angażowały się całe rodziny, z dziećmi włącznie. Prawdopodobnie znacznie więcej osób było zaangażowane w tę działalność, jednak nie wszystkie nazwiska pamiętam, był to bowiem czas, że robiono to z potrzeby serca, ponieważ uważano, że należy zachowywać się przyzwoicie, zgodnie ze swoim sumieniem i systemem wartości, w oparciu o które się funkcjonowało wówczas i dziś.

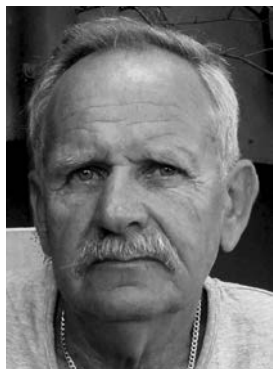
Wiktoria Danuta Gruś

Kolporterka bibuły i łączniczka na gruncie wołowskim. W stanie wojennym pracownica nadleśnictwa Dębno. Przeżyła kilka rewizji w mieszkaniu z powodu męża Ryszarda, przewodniczącego MKK w Wołowie i działacza konspiracyjnej Solidarności. W środowisku znane są jej utarczki z bezpieczeństwem, których zwieńczeniem było odzyskanie zabranej w trakcie rewizji książki pt. „Zapiski więzienne” kardynała Wyszyńskiego. Wielokrotnie ocalała męża od aresztowania, twardo stawiając skołowanym esbekom swoje warunki co do przeszukania. Na przykład stwierdzała, że do pokoju dziecięcego ich nie wpuści, bo w tej chwili dzieci śpią, albo: „Moja bielizna w tej szafie jest elegancko poskładana i po skończeniu ma być ułożona tak samo”, a funkcjonariusze nie wiadomo dlaczego czuli przed nią respekt.



Fot. lata 90.

Wiesław Jarmoliński



Wiesław Jarmoliński,
2015 r.

Pracował jako kierowca zaopatrzeniowiec w Wołowskiej Rejonowej Spółdzielni Pracy, czyli popularnie zwanych „kabelkach”. Wybrany początkowo wiceprzewodniczącym „Solidarności” później został przewodniczącym. Był delegatem na I Walnym Zjeździe Delegatów Regionu Dolnego Śląska razem z innymi delegatami z Wołowa. Już wtedy był śledzony przez wołowską bezpiekę, bo wraz z nimi był tajny współpracownik SB Olejnik, reprezentujący wołowskie nadleśnictwo. Po rozpoczęciu stanu wojennego przesłuchiwany i mimo nacisków kapitana SB Krzysztofiaka (straszącego internowaniem) nie podpisał „lojalki”. Wielokrotnie przesłuchiwany i poddawany rewizji jednak bez efektów. Jego szwagierka **Helena Kanoza**, mieszkająca we Wrocławiu przy ul. Prostej, prowadziła punkt dystrybucji bibuły. Właśnie do niej kierował kolporterów, którzy dostarczali ulotki do mieszkania Ryszarda Grusia. I dopiero od niego Wiesiek dostarczał je do „kabelków”. Bezpieka przekonana była, że Jarmoliński



WIESŁAW JARMOLIŃSKI

W latach 80. pracownik Wołowskiej Rejonowej Spółdzielni Pracy, Członek Solidarności, w zakładzie pełnił funkcję wiceprzewodniczącego, następnie przewodniczącego związku. Pracował jako kierowca, zaopatrzeniowiec. Delegat na I Walny Zjazd Delegatów Regionu Dolnego Śląska, działacz podziemnych struktur związku.

Po ogłoszeniu stanu wojennego milicja zarekwirowała dokumenty i „podejrzane rzeczy”. Wiesława Jarmolińskiego zabrano na komendę MO w Wołowie, gdzie był przesłuchiwany. Straszili go internowaniem, funkcjonariusze namawiali do napisania oświadczenia o lojalności wobec rządu i stanu wojennego. Nie udało im się. W pracy również miał problemy, szukano na niego czegoś, co umożliwiłoby jego zwolnienie. Oskarżono go o spowodowanie wypadku, rzekomej stłuczki na parkingu we Wrocławiu oraz ucieczkę z miejsca wypadku. Po kilku sprawach sądowych nie mu nie udowodniono, na żadnej sprawie nie było poszkodowanego. Jak wielu, nie zgadzał się z nową rzeczywistością, jednak nie wszyscy znaleźli w sobie siłę i odwagę, by się tej rzeczywistości przeciwstawić.

przywozi ją służbowym Żukiem, więc rewidowali auto po prawie każdym kursie z Wrocławia, oczywiście bez rezultatu. Z inicjatywy SB została mu wytoczona sprawa przed kolegium za rzekomy wypadek-stłuczkę na wrocławskim parkingu, jednak udało mu się oddalić oskarżenie.

Ferdynand Kaduszkiewicz

Organizator strajku solidarnościowego w sierpniu 1980 r. w wołowskim PKS-ie. Był to pierwszy strajk w powiecie wołowskim, rozpoczął się 28 sierpnia i trwał do dnia podpisania porozumienia w Gdańsku, czyli do 31 sierpnia. Zrozumiałe jest, że od tego czasu Ferdynand znalazł się na celowniku bezpieki. Wybrany przez załogę do zarządu związku Solidarność do tej pory (2017 r.) pełni obowiązki przewodniczącego. W stanie wojennym nie zaprzestał działalności mimo zastraszania ze strony SB, jednak tak jak wszyscy zmuszony był przenieść ją do „podziemia”. Wraz z J. Krasowskim



Fot. St. Ryczek, 2016 r.



Tablica upamiętniająca strajk 1980 w wołowskim PKS-ie

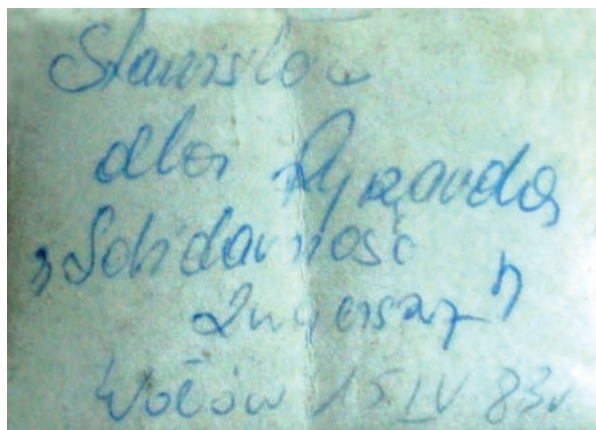
uczestniczył w powstaniu gazetki „Podaj Dalej”, nie tylko redagując ją, ale również drukując. Po aresztowaniu Jana Krasowskiego przewiózł sprzęt drukarski do Sułowa pod Miliczem, gdzie z Bronisławem Bienkiewiczem nadal prowadzili robotę. Skazany w 1982 r. przez wołowskie kolegium za noszenie znaczka „Solidarność” na wysoką grzywnę, z zamianą na trzy miesiące aresztu, pod rygorem wpłaty grzywny w ciągu czterech godzin. Dzięki pomocy kolegów z PKS-u pieniądze zostały wpłacone w terminie. Prowadził kolportaż i rozprawdzał bibułę. Rewizje i przesłuchania zdarzały

się dość regularnie, uzależnione od częstotliwości pojawiania się ulotek w wołowskim PKS-ie. Mimo ostrożności „Freda” został on zatrzymany w milicyjnym areszcie dwa razy na 48 godzin i raz we Wrocławiu na 24 godziny. Brał udział w planowaniu akcji na 10 listopada 82 r. (akcja kolczatkowa i flagi na kominach).

W sierpniu 2000 r. odznaczony przez ks. biskupa Janiaka medalem Milenium Biskupstwa Wrocławskiego.

Stanisław Kielar

Przewodniczący Solidarności w wołowskim PBRolu. Internowany na początku stanu wojennego z powodu donosu ormowca o dostarczaniu ulotek do Wołowa. Przez ok. miesiąc więziony w „internacie”, po wyjściu decyduje się na wyjazd do rodziny mieszkającej we Francji. Dostaje bilet w jedną stronę, czyli bez prawa powrotu do Polski. Wyjeżdża w kwietniu 1983 r.



Tuż przed wyjazdem Stanisław Kielar zostawia na odwrocie swego zdjęcia przesłanie dla Ryszarda Grusia: „Solidarność Zwycięży”.

Marta Krasowska

Wtajemniczona była w większość jego działań męża, Jana Krasowskiego. Przeciwna była akcji kolczatkowej, natomiast akceptowała działania bardziej pokojowe, walkę słowem. W bibliotece szkolnej w Starym Wołowie, czyli w jej miejscu pracy, drukowane były gazetki „Podaj Dalej”, czym zajmował się jej mąż wraz z Fredem Kaduszkiewiczem. Po aresztowaniu męża 10 listopada 1982 r. nadal prowadziła skrzynkę kontaktową; przywożona bibuła była składowana u niej i następnie wydawała ją kurierom, którzy zajmowali się dostarczaniem jej do konkretnych zakładów pracy lub osób.



Fot. ok. 2000 r.

Doświadczyła wielu przykrości ze strony wołowskiej SB, przeżyła też zamach dokonany prawdopodobnie przez ormowców, którzy zajmowali się inwigilowaniem jej domu i rodziny. Wielki kamień, roztrzaskując okna, upadł niedaleko jej głowy, działo się to w nocy, kiedy domownicy spali. Rodziną Krasowskich, a szczególnie ich dziećmi głęboko wstrząsnęło to wydarzenie.

Jan Krasowski 1952-2003

Od 1980 r. pełnił funkcję przewodniczącego Solidarności nauczycielskiej. Wchodził w skład wołowskiego MKK. Zaraz na początku stanu wojennego 14 grudnia wraz z grupą działaczy wołowskich przesłuchiwany przez komendanta MO Rymera. Brał udział przy powstaniu i wydawaniu wołowskiej podziemnej gazetki „Podaj Dalej”. Aresztowany 10 listopada 1982 r. w związku z akcją kolczatkową został internowany, a następnie tymczasowo aresztowany. Po ogłoszeniu wyroku: 2 lata więzienia w zawieszeniu na 3 lata, w dniu 4 lutego 1983 r. wyszedł na wolność wraz z całą grupą pięciu współoskarżonych. Już w kilka tygodni po zwolnieniu był w grupie inicjatywnej zakładającej Dekanalny Komitet Charytatywny w Wołowie pod patronatem ks. dziekana Franciszka Bosaka.



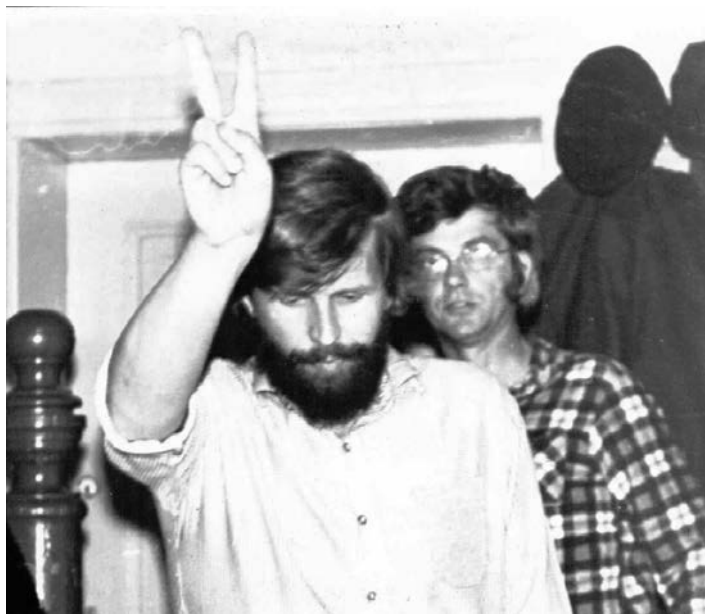
Fot. 1983/84

Wielokrotnie wzywany na przesłuchania, inwigilowany w miejscu zamieszkania.. W 1988 r. został przewodniczącym Wołowskiego Komitetu Obywatelskiego skupiającego starych i nowych działaczy chcących przyczynić się do akcji wyborczej w pierwszych prawie wolnych wyborach 1989 r. Po wyborach do rad narodowych w 1990 r. zostaje przewodniczącym rady miejskiej w Wołowie.

Zmarł 7.02. 2003 r.

Odznaczony w 2000 r. medalem Milenijnym Biskupstwa Wrocławskiego przez ks. biskupa Janiaka.

W 2013 r. pośmiertnie medalem Niezlomni przez Solidarność Dolny Śląsk.



Jan Krasowski i Wiesław Fiszer 1983/84

Wojciech Krawczuk

W tamtym czasie (1983/84 r.) uczeń Zespołu Szkół Zawodowych we Wrocławiu. Kolporter bibuły z Wrocławia. Ulotki i inne wydawnictwa bezdebitowe odbierane były w Domu Studenckim przy ul. Wittiga i po przewiezieniu pociągiem do Wołowa dostarczane do Ryszarda Grusia. W styczniu 1986 r. powołany do wojska, po 21 miesiącach zwolniony ze względu na stan zdrowia (przewlekłe zapalenie ucha). Na początku stanu wojennego zajmował się tzw. małym sabotażem – niszczenie komunistycznych obwieszczeń, zrywanie czerwonych flag, pisanie na murach haseł antykomunistycznych itd.



Fot. 2017 r.

Wiesław Krawiec 1959-2006



Fot. SB, 1982 r.

W 1982 r. wraz z Piotrem Berezą drukowali i rozrzucali małe ulotki z hasłami. Były to odbijane za pomocą pieczęci hasła typu: „Uwolnić Lecha, zamknąć Wojciecha”, „Precz z juntą Jaruzela, pachółka Moskwy”. W listopadzie 82 na cmentarzu obok komendy MO wkopali krzyż poświęcony ofiarom stanu wojennego. 9 listopada znów z Berezą, uczestniczył w zawieszeniu flagi Solidarności na kominie gorzelni. Po rozrzuceniu kolców na drogach wyjazdowych z Wołowa 10 listopada w nocy został aresztowany już o godzinie szóstej rano, ponieważ w drodze powrotnej z akcji został rozpoznany przez ormowca. 11 listopada podczas przyjmowania pobity pałąk na dyżurce komendy wojewódzkiej MO we Wrocławiu, jeszcze przez 1,5 roku uskarżał się na drętwienie ręki. Tak jak inni uczestnicy tej akcji został internowany na około trzy tygodnie, a następnie tymczasowo aresztowany i w dniu 23 grudnia przewieziony do aresztu przy ul. Świebodzkiej. Po wyjściu na wolność 4 lutego, z wyrokiem: 1 rok w zawieszeniu w zawieszeniu na 3 lata, nie włączył się w działania Komitetu Charytatywnego, wyjąwszy pomoc przy rozładunku darów z Francji. Jeszcze przez ok. dwa lata był na celowniku bezpieki.

Pobity ze skutkiem śmiertelnym, zmarł w dolnobrzeskim szpitalu 26 maja 2006 roku o 5 rano.

W szpitalu nie otrzymał należytej pomocy, w związku z czym przez następne dwa lata toczyła się sprawa sądowa. Winnych zaniedbań ani sprawców pobicia nie znaleziono.



WIESŁAW KRAWIEC

W czasach powstania Solidarności pracował w fabryce mebli, pisał postulaty. Następnie przywoził do Wołowa tygodnik "Mazowsze" - już jako instruktor terapii zajęciowej w szpitalu w Lubiążu. Razem z Piotrem Berezą drukowali ulotki za pomocą prowizorycznej "drukarni" w kuchni Krawca. Do akcji z których jest dumny zalicza wkopanie krzyża katyńskiego 1 listopada na cmentarzu koło komendy MO, oraz rozsypanie kolców w dzień odzyskania przez Polskę niepodległości, które zatrzymały autobusy wiozące robotników do KGHMu. Wspomina również wspólne (z Piotrem Berezą) wieszanie na kominie gorzelni flagi wykonanej przez Barbarę Bohonos. Wpadł 10 listopada, wtedy dopiero SB się nim zajęła, wcześniej był "czysty". Po 3-miesięcznym areszcie zaangażował się w wolontariat, pracował przy rozładunku darów z Zachodu. Potem wycofał się z działalności, jednak mimo iż SB uprzykrzała mu życie na każdym kroku, niczego nie żałuje.

W. ORŁOWSKI, EWA RYCZEK

„Kurier Gmin”, 30 sierpnia 2005 r.

Wiesław Leśniański

Od 1982 do 1987 r. pracownik podziemnego wydawnictwa RW Feniks, będącego w strukturach Solidarności Walczącej, prowadzonego przez Tadeusza Piątka. Dzięki jego rekomendacji do wydawnictwa zostali wprowadzeni działacze z Wołowa: Kazimierz Żak i Ryszard Gruś w charakterze drukarzy oraz Stanisław Ryczek jako grafik, ilustrator. Spotkania przedstawicieli wołowskiej Solidarności z Kornelem Morawieckim dochodziły do skutku dzięki jego kontaktom w Solidarności Walczącej. W pewnych okresach działał jako kolporter biuły oraz wydawnictw bezdebitowych (wydawanych w podziemiu poza cenzurą). Współpracownik



Fot. St. Ryczek, 2016 r.

Dekanalnego Komitetu Charytatywnego w Wołowie. Działacz Wołowskiego Komitetu Obywatelskiego, czynnie uczestniczący w akcji wyborczej w 1989 r. Aresztowany 11 października 1985 na 48 godzin (akcja przedwyborcza SB), nie ominęły go również rewizje. W latach 1985-87 intensywnie śledzony przez bezpiekę w związku z kontaktami wrocławskimi.

W 2015 r. odznaczony medalem „Niezlomni” przez Solidarność Dolny Śląsk.

Bogdan Lipowicz

Przewodniczący Solidarności w szpitalu psychiatrycznym w Lubiążu. Przez cały okres stanu wojennego czynnie uczestniczył w konspiracji. Począwszy od drukowania „Podaj Dalej” i kolportowania bibuły (specjalnie w tym celu zakupiono motocykl WSK i kask, z zysku sklepiku DKCH w Wołowie), a skończywszy na udziale we wrocławskich manifestacjach. Jego dziełem było wieszanie flag Solidarności na terenie lubiąskiego szpitala. Zawiesił ich dwie: jedną na maszcie na centralnym skwerze (31 sierpnia 82), a drugą 10 listopada 82 r. na kominie kotłowni. O ile pierwszą zdjęto natychmiast, bo skrzypiący kołowrotek obudził stróża-ormowca, który wszczął za Bogdanem pościg, o tyle druga wisiała aż do przyjazdu saperów z Wrocławia, bo załączony był do niej pakunek z ostrzeżeniem o znajdujących się w nim materiałach wybuchowych, co oczywiście było bluffem.



Fot. lata 80.

Elżbieta Mandat

Jako mieszkanka Wołowa pełniła rolę łączniczki z działaczami „S” w zakładach chemicznych „Rokita” w Brzegu Dolnym, gdzie była zatrudniona.

Z pracy została zwolniona za udział w strajku w dniu 10.11. 1982

Wraz z nią zostały zwolnione inne laborantki z Zakładu Badawczego: **Krystyna Olszewska, Elżbieta Drzewiecka, Zofia Mielniczek, Anna Jaruga, Wiktor Miszczanowicz, Krystyna Pendolska** (ps. „Iza” łączniczka z RKS-em), **Mirosława Suchodolska-Batycka**. Po pewnym czasie po obniżeniu zarobków Elżbietę wraz z częścią osób przyjęto na powrót. Po strajku

przesłuchiwana była przez szefa wołowskiej bezpieki, kapitana Kszysztofiaka.

1 maja 1983 leżała w szpitalu, ale zaraz po wyjściu osobom skazanym za udział w nielegalnej pierwszomajowej manifestacji w Brzegu Dolnym przekazywała przed kolegium w Wołowie pieniądze „S”, by mogły zapłacić zasądzoną karę i tym sposobem nie trafić do aresztu.

W 1986 r. z koleżanką z pracy i przedstawicielem RKS pojechali do Suchowoli w odwiedziny do rodziców zamordowanego dwa lata wcześniej ks. J. Popiełuszki. Zawieźli prezenty (pościel i rzeźbę-metaloplastykę, którą umieszczono w izbie pamięci kościoła w Suchowoli).

W trakcie pracy w wołowskim LO (1987-1990) śledzona demonstracyjnie przez esbeka Mieczysława Jurczaka. W wyborach 1989 r. była mężem zaufania z ramienia Komitetu Obywatelskiego w Szkole Podstawowej nr 3.

W latach 1986-89 uczestniczyła w tzw. tajnych kompletach (wykłady dot. m.in. samorządów) odbywających się w wrocławskim kościele św. Elżbiety przy ul. Grabiszyńskiej.

W 2012 r. odznaczona przez Solidarność Dolny Śląsk medalem „Niezlomni” .



Fot. lata 80.

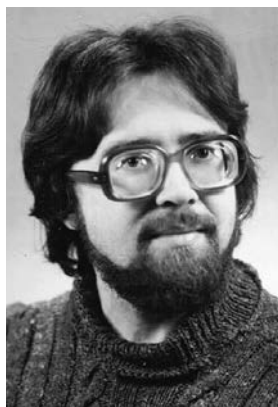
Antoni Opacki



Fot. Ryczek, 2011 r.

Przewodniczący Solidarności w POM-ie (Państwowy Ośrodek Maszynowy) w Starym Wołowie. Aresztowany w listopadzie 1982 r. z zarzutem pomocnictwa w akcji kolczatkowej. Internowany przez okres trzech tygodni w areszcie Komendy Wojewódzkiej przy ul. Łąkowej we Wrocławiu. Na początku grudnia tymczasowo aresztowany, a przed świętami Bożego Narodzenia przeniesiony do aresztu przy ul. Świebodzkiej. Po wyroku: 1 rok więzienia w zawieszeniu na 3 lata, wychodzi na wolność. Jednak jako jedyny z sześciu skazanych w tej sprawie zostaje zwolniony z pracy. Mając na utrzymaniu żonę i troje dzieci przez około pół roku nie może znaleźć pracy. Gdy w końcu się to udaje (w PKP) okazuje się, że jest to praca na najniższym stanowisku i za najniższą płacę.

Stanisław L. Ryczek



Fot 1983 r.

Aresztowany 10 listopada 1982 r. za udział w akcji kolczatkowej. Internowany na Komendzie Wojewódzkiej do 2 grudnia 1982 r., następnie tymczasowo aresztowany i przeniesiony 23 grudnia 82 r. do Aresztu Śledczego przy ul. Świebodzkiej. Po ogłoszeniu wyroku: 1 rok w zawieszeniu na 3 lata, wychodzi na wolność 4 lutego 1983 r. Już w marcu wraz z Janem Krasowskim, Piotrem Berezą, Wiesławem Fiszerem i innymi zakładają Dekanalny Komitet Charytatywny przy parafii wołowskiej pod patronatem ks. dziekana Franciszka Bosaka. Od połowy 1983 do lipca 1984 r. prowadzi sklepik z dewocjonaliami i książkami przy kościele. Na przełomie 1984/85 rozpoczyna współpracę z będącym w strukturach Solidarności Walczącej, wrocławskim wydawnictwem RW Feniks prowadzonym przez Tadeusza Piątka. Wykonuje tam grafiki (linoryty) do wydawanych pozycji książkowych. Współpraca trwa aż do wpadki wydawnictwa w 1987 r. Wstępuje do tworzącego się w 1988 r. Komitetu Obywatelskiego pod przewodnictwem J. Krasowskiego i bierze udział akcji wyborczej 4 czerwca 1989 roku. Siedmiokrotnie zatrzymywany w areszcie wołowskiego komisariatu MO i poddawany rewizji w miejscu zamieszkania oraz w pracy (Wojewódzki Szpital dla Psychicznie i Nerwowo Chorych w Lubiążu). W czerwcu 1983 r. ukarany przed Kolegium do Spraw i Wykroczeń w Wołowie „za produkując orłów w koronie” na karę 15 tys. zł, z zamianą na 75 dni aresztu. Oskarżenie nieprawdziwe, spreparowane przez SB, udało się jednak wygrać w kolegium wyższej instancji. Twórca kartek okolicznościowych oraz plakatów z logo Solidarności, rozprowadzanych lub rozklejanych w Wołowie, wraz z Kazimierzem Żakiem w latach 80. W 1988 r. zaprojektował i wykonał tablicę pamiątkową poświęconą prześladowanym i zamordowanym za Prawdę, Wolność i Solidarność w wołowskim kościele św. Wawrzyńca.

Odnaczony w 2015 medalem Niezlomni przez Solidarność Dolny Śląsk.

Wojciech Stróżyk

W latach siedemdziesiątych jako student na KUL-u rozprawdzał bibułę w Lublinie. W wołowskiej MKK zaczął pracować w 1981. Jako sekretarz przewodniczącego Ryszarda Grusia był jedynym etatowym pracownikiem Solidarności w Wołowie (wszyscy inni pracowali społecznie). W kilka dni po nastaniu stanu wojennego został aresztowany i przewieziony do komendy wojewódzkiej we Wrocławiu. Spodziewano się, że jego zeznania przyczynią się do skompromitowania w jakiś sposób głównych wołowskich działaczy.

Jednak przesłuchanie nie spełniło ich oczekiwań i po odsiedzeniu 48 godzin został zwolniony.

Współpracował później z DKCh przy rozdziale darów. A w Komitecie Obywatelskim pracował na rzecz wyborów 1989 r. Papier do drukowania dostarczony z Wrocławia przez W. Białowąsa i S. Sawlewicza przechowywany był na strychu domu Stróżyków w Sławowicach.



Fot. St. Ryczek, 2004 r.

Joanna Szulc-Drębkowska



Fot. St. Ryczek, 2016 r.

14 grudnia 81 r., dzień po wprowadzeniu stanu wojennego Joanna ze swoją matką **Rafałką Szulc**, działaczką Solidarności (zm. w 1987 r.), przystąpiły do ewakuacji biblioteki Solidarności Nauczycielskiej. Zanim przyjechała milicja, część zbioru uratowały, później przekazały go ks. dziekanowi F. Bosakowi. Prowadziły kolportaż ulotek w swoim środowisku.

W 1984 r. Joanna zaczęła działać w Dekanalnym Komitecie Charytatywnym przy sprzedaży książek i dewocjonaliów w sklepiku. Miała rewizję w mieszkaniu, a następnie przesłuchanie. Bezpieka słusznie podejrzewała, że zysk ze sprzedaży szedł nie tylko na wspieranie ubogich, ale również na podziemia solidarnościowego.



Rafała Szulc lata 70.

Janusz Warszawski

Chirurg w szpitalu powiatowym w Wołowie. Działacz Komisji Zakładowej Solidarności wołowskiej służby zdrowia. Internowany na początku 1982 r. przyczyną miało być złożenie kwiatów pod pomnikiem ofiar 1956 r. w Poznaniu. Przypuszczalnie był to tylko pretekst a o prawdziwy powód trzeba by spytać SB. Po wyjściu z głogowskiego więzienia po ok. miesiącu internowania, postanowił wyjechać do Niemiec Zachodnich. Wołowscy działacze pamiętają, że pierwsze nielegalne zebranie 13 grudnia 1981 odbyło się właśnie u niego, w wołowskim szpitalu na oddziale chirurgii.

Artur Wojsławski

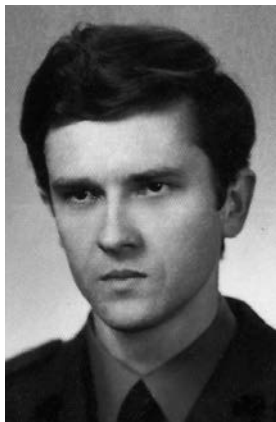
W latach 1988/89 uczeń szkoły średniej we Wrocławiu. Zaangażowany w akcje Pomarańczowej Alternatywy „Majora” Frydrycha. Przenosi idee tego ruchu na teren Wołowa, organizując trzy happeningi: „Konkurs na najładniejszy rysunek tajniaka” – impreza dla dzieci, „Sprzątanie Wołowa” i „Przywitanie nowego roku” w noc sylwestrową 1988/89. Za dwa z nich (pierwszy i trzeci) zatrzymany do przesłuchania, ostrzeżony, ale nie aresztowany.

Od początku brał udział w pracach Komitetu Obywatelskiego, zostając jego wiceprzewodniczącym. Wraz z kolegami z wołowskiej Pomarańczowej Alternatywy zajmował się informacją i propagandą wyborów do sejmu 1989 (ulotki, rozklejanie plakatów, akcje informacyjne, organizowanie zebrań na wsiach itd.)



Fot. 2016 r.

Stanisław Zabłocki



Fot. 1980 r.

Nauczyciel, należał do wołowskiego KIK-u (Klub Inteligencji Katolickiej), przed stanem wojennym był zastępcą przewodniczącego Solidarności Rolników Indywidualnych. Do roboty konspiracyjnej został zaangażowany przez Jana Krasowskiego. Uczestniczył w kolportażu bibuły na terenie Wołowa ale także dostarczał ją z Wrocławia, z punktu przy ul. Świerczewskiego 10. Współpracował z DKCH przy rozdzielaniu darów z Francji. Współpracował z Rafałą Szulc i jej córką Joanną. To do ich mieszkania dostarczył konspiracyjną maszynę do pisania tekstów do gazetki „Podaj Dalej”.

Edward Ziętek

Przed stanem wojennym pracownik POM-u w Starym Wołowie. Od 1980 r. przewodniczący Komisji Rewizyjnej Solidarności w tej firmie. Aresztowany w listopadzie 1982 r. za pomocnictwo w akcji kolczatkowej. Do 9 grudnia 82 r. internowany na Komendzie Wojewódzkiej MO we Wrocławiu. Następnie tymczasowo aresztowany w Areszcie Śledczym przy ul. Świebodzkiej 1. Zwolniony 4 lutego 1983 r. po wydanym wyroku: 1 rok więzienia w zawieszeniu na 3 lata. Ojciec ośmiorga dzieci, z których żadne nie było pełnoletnie, żona nie pracowała zawodowo. W trakcie jego uwięzienia rodzina została więc bez środków utrzymania. Pomogło im przetrwać to, że posiadali kawałek pola, i pomoc ludzka.

W jego mieszkaniu odbyło się konspiracyjne zebranie, w którym uczestniczyli Barbara Labuda, Władysław Frasyniuk, Henryk Strzyż, Antoni Opacki i Jan Krasowski.



Fot.. St. Ryczek, 2016 r.

Kazimierz Żak

W 1983 r. włączył się w działalność Dekanalnego Komitetu Charytatywnego w Wołowie. Przez dwa lata (1984-86) prowadził sklepik przykościelny, którego zysk przeznaczony był dla osób prześladowanych przez komunę oraz nieformalnie dla podziemia. W 1985 r. przez pewien czas pracował we wrocławskiej drukarni RW Feniks, u Tadeusza Piątka. Wtedy też został zaprzysiężony jako członek Solidarności Walczącej. W latach 1985-86 ze Stanisławem Ryczkiem drukowali i rozpowszechniali kartki świąteczne oraz plakaty okolicznościowe z logo Solidarności. W związku z pracą w parafialnym sklepiku stał się ofiarą prowokacji MO. Fałszywie oskarżony przez ormowca o kradzież roweru stanął przed wołowskim kolegium. Jednak do wydania wyroku nie doszło z powodu oświadczenia ówczesnego protokolanta, a późniejszego mecenas Henryka Manuiła, podającego w wątpliwość absurdalny akt oskarżenia. Przesłuchiwany, poddawany rewizjom oraz dwukrotnie zatrzymywany na 48 godz. w wołowskim komisariacie MO. W 1989 r. brał udział w Komitecie Obywatelskim i bezpośrednio w pracy przy wyborach.



Fot. 2016 r.

Lista osób prowadzących nielegalną działalność oraz osób z nimi współpracujących w Wołowie i okolicach w okresie 1981-1989

Adamski Bogdan	szpital Lubiąż
Adamski Jan	Lubiąż
Aleksiewicz Bronisław	POM Stary Wołów
Bednarz Stanisław	PKS Wołów
Benedykt Adam	rolnik
Bereza Piotr	Wołów
Bernat Ryszard	WZiR Wołów
Białowas Janina	szpital Lubiąż
Białowas Władysław	STW Wołów
Białobrzaska Elżbieta	PSS Wołów
Bienkiewicz Bronisław	PKS Milicz
Bohonos Barbara	szpital Lubiąż
Brojanowski Tadeusz	szpital Lubiąż
Chojecka	dr dentysta, Wołów
Czerwiński Krzysztof	sanitariusz, Wołów
Czarny Jan	nadleśnictwo
Czepnik Jacek	nadleśnictwo
Data Monika	rolnictwo
Dumański Michał	STW Wołów
Dunal Aleksander	STW Wołów
Garbiński Alfred	PKS Wołów
Gołubowski Krzysztof	Wołów
Grabowski Zbigniew	nauczyciel, Wińsko
Grocholski Bronisław	rolnik
Gruś Ryszard	Nadleśnictwo
Gruś Sylwiusz	uczeń, Wołów
Gruś Wiktoria Danuta	Nadleśnictwo
Grzywacz Czesław	rolnik
Fil Danuta	STW Wołów
Filiński Józef	PKS Wołów
Fiszer Wiesław	psycholog, Lubiąż
Hańczyk Józef	Spółdzielnia Wielobranżowa („kabelki”)

Huczek Kazimiera	dr dentysta, Wołów
Jach Stanisław	PKS Wołów
Jagoda Stanisław	uczeń, Wołów
Janikowski Leszek	nadleśnictwo
Jankowski Bolesław	PKS Wołów
Jańczak Ryszard	POM Stary Wołów
Jarmoliński Wiesław	Spółdzielnia Wielobranżowa (kabelki)
Kaduszkiewicz Ferdynand	PKS wołów
Kaduszkiewicz Krystyna	PKS Wołów
Kalko Władysław	STW Wołów
Karwowski Tadeusz	Spółdzielnia Wielobranżowa (kabelki)
Kielar Stanisław	PBRol Wołów
Kmieć Roman	rolnik
Kolberg Teresa	PBRol Wołów
Kosiedowski Konrad	PKS Wołów
Kowalczyk Jan	PBRol Wołów
Krasowska Marta	nauczyciel, Stary Wołów
Krawczuk Wojciech	uczeń, Wołów
Krawiec Otolia	PKS Wołów
Krawiec Wiesław	szpital Lubiąż
Krzyśków Władysław	PKS Wołów
Kuśnierzewski Józef	szpital Lubiąż
Kwaśniewski Józef	Rokita Lubiąż
Kwiecień Stanisław	POM Stary Wołów
Lech Franciszek	STW Wołów
Leśniańska Teresa	Wołów
Leśniański Wiesław	PKP Wrocław
Lipowicz Bogdan	szpital Lubiąż
Łukaszewska Grażyna	PKS Wołów
Małolepszy Marian	STW Wołów
Masalski Jerzy	ZMiCh Wołów
Machowska Krystyna	Urząd Gminy
Machij Bronisław	Nadleśnictwo
Mandat Elżbieta	Rokita Brzeg Dolny
Makulus Aleksander	POMET
Markowski Henryk	Lubiąż
Matricke Piotr	PKS Wołów
Nagalewska Jadwiga	dr psychiatra, Lubiąż
Niedzielski Henryk	Wołów

Nowak Zygmunt	rolnik
Opacki Antoni	POM Stary Wołów
Owczarek Mirosław	rolnik
Plaminiak Ewa	rolnictwo
Połujańska Anna	PKS Wołów
Prus Bogdan	psycholog, szpital Kubiąż
Pszeniczny Czesław	rolnik
Rydzek Stanisław	szpital Lubiąż
Ryż Kazimierz	szpital Lubiąż
Rzeszowski Andrzej	POMET Wołów
Rzeszutek Janina	Spółdzielnia Wielobranżowa (kabelki)
Rzewuski Wincenty	Wołów (KIK)
Sarna Jacek	szpital Lubiąż
Sawlewicz Stanisław	PKS Wołów
Skrobek-Kokot Krystyna	szpital Lubiąż
Stankiewicz Witold	Zakład Karny Wołów
Stróżyk Ewa	psycholog, Wołów
Stróżyk Wojciech	Poczta Polska
Surma Bronisław	MPGKiM
Szeweluk Stanisław	Spółdzielnia Wielobranżowa (kabelki)
Szir Genowefa	STW Wołów
Szuflński Włodzimierz	Wołów
Ściepuro Teresa	STW Wołów
Świętojański Jerzy	PBRol Wołów
Wacławowicz Stanisław	PKS Wołów
Walniczek Eugeniusz	PKS Wołów
Warszawski Janusz	dr chirurg, Wołów
Wasilewski Waldemar	rolnik
Wątorska Maria	STW Wołów
Wiącek Krzysztof	rolnik
Wityk Józef	rolnik
Włosek Jacek	Weterynaria Wołów
Wojtas Jan	rolnik
Wójcik Jan	Nadleśnictwo
Wysopal Piotr	rolnik
Zabłocki Stanisław	nauczyciel, Stary Wołów
Ziętek Edward	POM Stary Wołów
Żak Jan	Wołów
Żak Kazimierz	szpital Lubiąż

**Zwolnieni z pracy w Przedsiębiorstwie Obróbki
Metali w Wołowie (POMET) za odmowę podpisania listy
lojalności i założenia munduru**

Gaweł Eugeniusz	Surma Edward
Makulus Aleksander	Tokarczyk Józef
Rzeszowski Andrzej	Żółkiewicz Ryszard
Stołyhwo Jerzy	Żukowski Marian

**Młodzież z wołowskiej Pomarańczowej Alternatywy
i ministranci pracujący na rzecz wyborów 1989 r.**

Buchbach Ireneusz	Miksza Mirosław
Chmura Dariusz	Moskwiak Tomasz
Dumański Ryszard	Pietkiewicz Paweł
Miksza Artur	Wojślawski Artur

**Młodzież z Liceum Ogólnokształcącego w Wołowie
działająca w szkolnej opozycji**

Bałachwiej Dariusz
Dziarski Janusz – wyrzucony z LO za działalność
Filipkowski Tomasz
Kulesz Arkadiusz
Kulesz Dariusz
Kwinto Stanisław

Zakończenie

De profundis – z głębokości. Z głębokości na powierzchnię wydobyte nazwiska i ich historie. Zachowane dla potomnych. By nie zapomnieć. Bo brak pamięci daje kłamstwu wolne pole działania. A w kłamstwie chyba nikt nie chce żyć. Tym bardziej w zapomnieniu, o którym Marek Aureliusz pisał, że „wnet zapomnienie o wszystkim przyjdzie na ciebie. I wnet zapomnienie wszystkich o tobie”.

Lekarz, robotnik, nauczyciel, rolnik, uczeń, pracownik leśny... Ludzie różnych profesji, wykształcenia, mieszkańcy wioski i miasta. Łączyła ich jedna idea – dać odpór systemowi zła. Walka o życie w wolnej Polsce, sprawiedliwej, prawej i zasobnej. Jeśli nie dla siebie, to dla swoich następców. By nie pluto na groby swoich przodków. Ci ludzie nie stawiają siebie w roli bohaterów – „robiłem tak, bo tak należało robić”, mówił jeden z nich. Dzisiaj nie wołają o zasługi, nie tworzą wokół siebie otoczki męczeństwa, kombatantstwa, tego wszystkiego, co teraz określa się mianem PR. Żyją cicho, w cieniu wydarzeń „wielkiego świata”. Niektórych już nie ma z nami. Inni, niewymienieni, zostają anonimowi, bo „jaki tam ze mnie był konspirator, raz czy dwa przeniosłem prasę, daj spokój”. Raz czy dwa, a może wiele razy, co za różnica. Ważne, że to zrobiłeś. Sam o tym zapomniałeś, nie mówiąc o innych, którzy nie pamiętają, a może nawet nie wiedzą.

Niniejsza publikacja powstała dzięki inicjatywie Stanisława Ryczka, jednego z uczestników wydarzeń lat 80. w Wołowie. To był Jego pomysł, by zebrać wspomnienia działaczy „Solidarności” i wydać *pro publico bono*. To był także jego trud pracy, aby dotrzeć do jak najliczniejszej grupy, nakłonić do wspomnień, a potem zebrać i złożyć w całość. I w tym momencie należą się Staszce Ryczce podziękowania.

Publikacja nie rości sobie pretensji do miana pracy naukowej. Nie ma tu aparatu badawczego, nie ma zestawu literatury przedmiotu itd., nawet w IPN brak jest części źródeł, bo w 1995 roku zniszczone zostały dokumenty rozpracowywania wołowskiej opozycji (teczka o kryptonimie „Jeż”). To jednak nie ujmuje jej wartości poznawczej. Mam nadzieję, że dzięki tej publikacji powrócą wspomnienia, może niektóre fakty zostaną „wyprostowane”. Liczę też, że książka spotka się z żywym przyjęciem, a słowa krytyki pomogą w lepszym poznaniu historii naszego regionu i historii naszego państwa.

Andrzej Manasterski

Miejsce dla zapomnianych działaczy

Jeżeli nie zostałeś ujęty w tej książce, dopisz w tym miejscu swoją działalność. Żadna historia nie powinna być zapomniana.

Celem niniejszej książki jest przedstawienie ludzi działających na terenie Wołowa i okolic w czasie stanu wojennego oraz później, kiedy formalnie został zniesiony, jednak jego restrykcje nadal obowiązywały, czyli od 13 grudnia 1981 do 4 czerwca 1989.

Był to czas, gdy za przewiezienie paczki ulotek można było trafić do więzienia czasem na kilka lat. Działacze walczący z komunistycznym reżimem nie robili tego dla chęci zysku czy innej nagrody i w istocie była to walka nie tylko o wolne związki zawodowe SOLIDARNOŚĆ, ale przede wszystkim o WOLNĄ POLSKĘ. Była to walka, która nie wróżyła zwycięstwa za ich życia, bo nikt nie spodziewał się upadku Związku Radzieckiego i tym samym końca komuny w Polsce. Jednak mimo perspektywy bezterminowego internowania, wyroku więzienia, rewizji, przesłuchań albo pobicia, nie mówiąc już o tym, że w skrajnych przypadkach mogli pojawić się „nieznani sprawcy” lub „seryjny samobójca”, mimo tych zagrożeń robili swoją robotę.

W trakcie tych nielegalnych działań zdarzały im się przygody, które dziś wydają się zabawne, jednak wówczas mogły skończyć się źle i tak czasem się kończyły. W książce tej opisane są niektóre z nich. Autorzy zastrzegają, że nie wszyscy działający wtedy zostali tu wymienieni – z prostych powodów, ówczesne wymagania konspiracji i długi czas, jaki upłynął od tych wydarzeń, nie sprzyjają pamięci. Ale żeby czas zupełnie nie zatarał tamtych wydarzeń i ludzi, powstała ta książka.

Stanisław Ryczek

W dłuższej perspektywie trwać, rozwijać się i pomnażać wartości mogą tylko takie społeczności, których członkowie gotowi są do działań i wyrzeczeń w imię wspólnego dobra. Tylko takie, za którymi stoi siła i słuszność tego, co wyznają, głoszą i stosują.

Kornel Morawiecki

ISBN 978-83-64195-39-6

